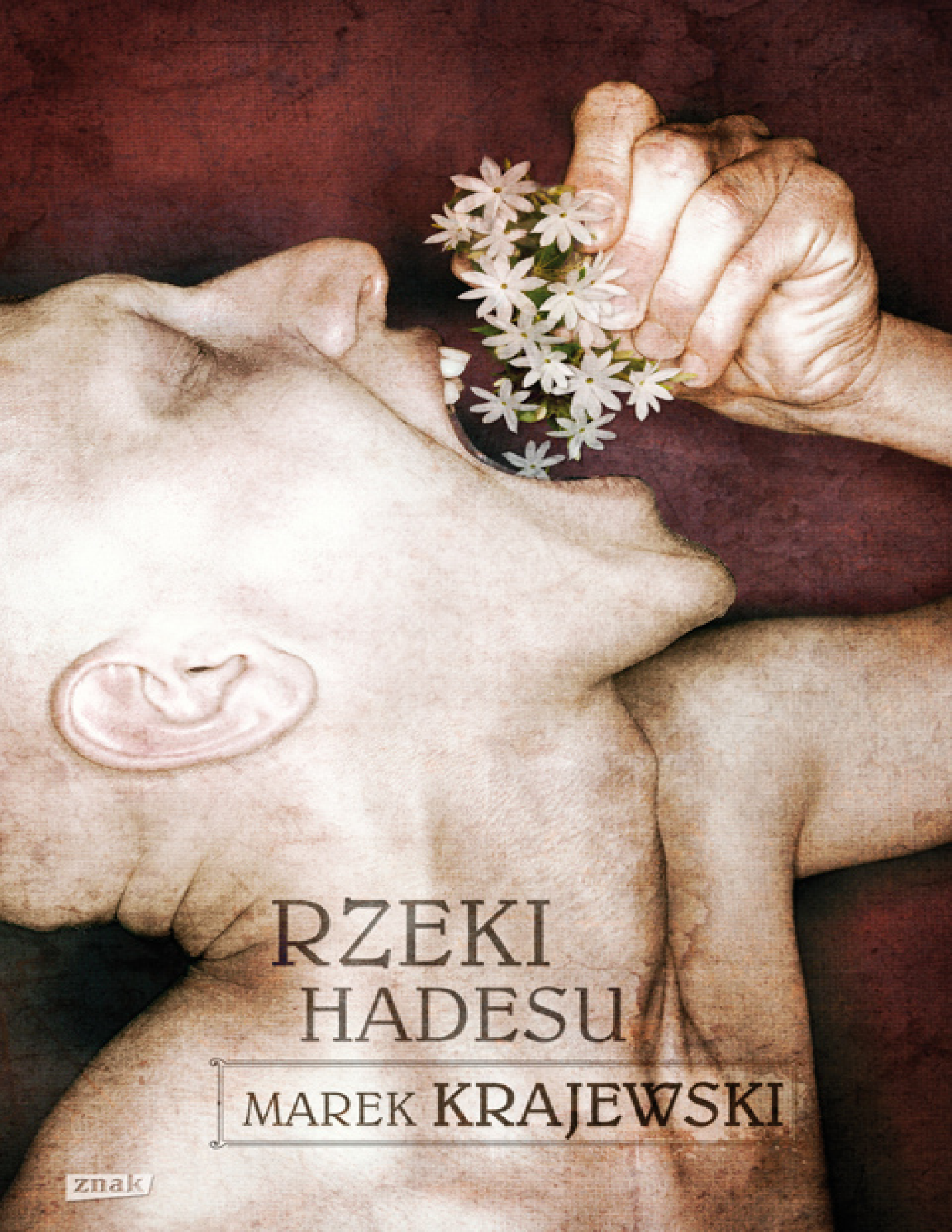
RZEKI
HADESU
MAREK KRAJEWSKI
znak

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

RZEKI HADESU

MAREK KRAJEWSKI

Wydawnictwo Znak · Kraków 2012

Motto

Des Todes Fluthen hatten mich umgeben;
es schreckten mich des Schattenreiches Ströme.

Otoczyły mnie fale śmierci;
przeraziły mnie rzeki królestwa umarłych.

II Księga Samuela 22, 5
w przekładzie Antoniusa Thaddäusa Deresera (1827)

Prolog

Wrocław 1946

KAŁO CIUREJA ROZPOCZYNAŁ SWÓJ ZWYKŁY DZIEŃ PRACY we wrocławskim Urzędzie Wojewódzkim zawsze tak samo – wyciągał z teczki kanapki zawinięte w torebkę po cukrze, termos z herbatą, liniowany zeszyt, naostrzone ołówki i nabity pistolet. Ten ostatni przedmiot, na który miał urzędowe pozwolenie, był przez niego traktowany prawie jak żywa istota. Był głaskany, pojony smarem, ubierany w miękką flanelową szmatkę i noszony prawie cały czas na sercu, w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Pistolet był ochroną i przed wrogimi pobratymcami, którzy w głębokiej pogardzie mieli jego właściciela – pełnomocnika do spraw „produktywizacji ludności cygańskiej” – i przed „gadziami”, którzy okazywali mu całe spektrum niechęci: od ulicznych zaczepek po okrucieństwo bezpośredniego ataku.

Kało Ciureja kochał zatem swojego przyjaciela i miał się zawsze na baczności. Był podejrzliwy i nieufny, a jego zwierzchnicy – o czym doskonale wiedział – nie wróżyli mu olśniewającej kariery urzędniczej. Najchętniej by go zwolnili i zlikwidowali jego jednoosobowy departament w Wydziale Osiedleńczym Urzędu Wojewódzkiego, gdyby nie naciski „z góry”. Otóż owa „góra”, a ściśle mówiąc, funkcjonariusze ideologiczni z Wydziału Politycznego, widzieli w Ciurei swoisty listek figowy. Zawsze mogli się nim pochwalić jako człowiekiem propagującym świadomość klasową pośród cygańskiego zabobonu. Choć skutki jego działalności

okazały się mizerne, to były, co bardzo ważne, również niesprawdzalne. A zatem – kiedy jakiś aparatczyk z Warszawy rzucał gromy na kiepskie postępy walki klasowej, wzywano Ciureję i kontrargumentowano żarliwie: „Proszę spojrzeć, oto towarzysz Ciureja, który skutecznie i wybitnie propaguje marksizm-leninizm wśród ludności cygańskiej!”.

Ta ideologiczna zasłona była mu na rękę, ponieważ mógł – co było dla niego najważniejsze – pomagać swym braciom w ich codziennych troskach. Zamiast przekonywać ich, by porzucili koczowniczy tryb życia, albo wywodzić, że wytwarzanie patelni i kowalstwo są przejawem mentalności drobnomieszczańskiej, wolał organizować szczepienia dla ich dzieci, wyrywać ze skąpych zasobów publicznych pieniądze na opiekę lekarską, a także łagodzić ich waśnie i spory. Mimo zatem pewnej niechęci wśród przywódców najbardziej radykalnych taborów Kało Ciureja cieszył się na ogół życzliwością rodaków, którą zawdzięczał głównie swojej powadze i pielęgnowaniu tradycyjnych wierzeń.

Ta cecha z kolei zapewniała mu szacunek otaczających go w pracy ludzi, którzy oficjalnie każdą religię uznawali za „opium dla ludu”, a nieoficjalnie prosili Ciureję o pośrednictwo pomiędzy sobą a jakąś znaną cygańską wróżką.

Ludzie, którzy teraz weszli do pokoju, dzielonego przez Ciureję z żydowskim kolegą Aronem Wulachem, najpewniej nie wierzyli we wróżby. Byli młodzi, pewni siebie i zaczepni. Nosili dobrze skrojone ubrania, długie płaszcze z szerokimi ramionami i nasunięte na czoło kapelusze.

– Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego – wycedził wyższy z nich, patrząc znacząco na Wulacha. – Chcemy mówić tylko z towarzyszem Ciureją...

– Na podwórku przy Piwnej – powiedział drugi, kiedy już Wulach opuścił pomieszczenie – obok kuźni i stajni, w której wasi rodacy trzymają swe konie, znaleziono trupa. Pokazaliśmy go celem identyfikacji jednej Cygance, nazwiskiem... – spojrzał do notesu – nazwiskiem Genowefa Kwiek. Ta zaczęła coś krzyczeć w waszym języku. Tak się darła, że wszyscy dokoła słyszeli...

– No i tak się Cyganiuchy przestraszyły tego – wszedł mu w słowo drugi – co to babsko wrzeszczało, że nikt już nie chciał identyfikować trupa. Ciągnęliśmy ich do niego na siłę, a ci zasłaniali twarze, nie chcieli nawet spojrzeć. Musimy wiedzieć dlaczego, towarzyszu Ciureja...

– I musimy wiedzieć, co im powiedziała tamta baba – dodał pierwszy.

Pełnomocnik się zasępił. Niewidzącym wzrokiem wodził po dymiących ruinach wokół zniszczonego mostu linowego, po których ciął ostry deszcz.

– Muszę zobaczyć tego trupa – oznajmił w końcu Ciureja.

– No to idziemy, towarzyszu – powiedział wyższy ubek. – Tylko weźcie płaszcz i kapelusz, bo coś się zimno ostatnio zrobiło.

Poprzedzany przez funkcjonariuszy Ciureja zszedł po schodach, a potem wyszedł tylnym wyjściem.

Na nadodrzańskim bulwarze, na tyłach potężnego teutońskiego gmachu urzędu stał wózek przykryty prześcieradłem. Obok niego dreptał jakiś człowiek w czapce i z papierosem w zębach.

– Pokażcie no! – Niższy ubek uczynił gest ręką ku górze. – A wy, towarzyszu, mówcie, co to! Wy wiecie wszystko o cygańskich porachunkach.

Człowiek odsłonił prześcieradło. Ciureja przyglądał się zwłokom przez dłuższą chwilę.

– Wiem, co mówiła ta Cyganka – rzekł w zamyśleniu. – Że w tym człowieku siedzą złe duchy. I że wzięły one we władanie jego ciało.

Dlatego nikt nie chciał podejść i go zidentyfikować. Ze strachu przed duchami.

FLEGETON

Phlegethon, Gr. Φλεγέθων, einer der höllischen Flüße, welcher an statt des Wassers mit Feuer floß, und in demselben grosse Steine und brennende Stücken Felsen mit schrecklichen Gerassel fort trieb. (...) *Er hat den Namen von φλέγω, uro* (...).

Phlegethon, po grecku *Φλεγέθων*, jedna z rzek piekielnych, w której zamiast wody płynął ogień i w której ze straszliwym łoskotem przesuwały się wielkie kamienie i płonące kawałki skał. (...) Bierze ona swoje miano od [greckiego słowa] *φλέγω*, [co po łacinie znaczy] *uro* [płonę] (...).

Phlegethon, [w:] Johann Heinrich Zedler, *Grosses vollständiges Universal-Lexicon* (1732–1754)

I

KIEDY LEOKADIA TCHORZNICKA OTWORZYŁA OCZY, czerń nieba wiszącego nad Wrocławiem utraciła głębię i poddawała się zalewowi szarości, który nadchodził od wschodu. Kontrast wycinający przedmioty w ponurej poświacie był na początku rozmyty, lecz po chwili wyostrzył się w nowym różowym kolorze. Na jego tle odcinały się ruiny miasta – podziurawione pociskami fasady domów, wypalone okna, urwane w połowie spirale schodów i kikuty belek stropowych nad rumowiskiem. Pośród tych dymiących tu i ówdzie ruin, zepchniętych dla umożliwienia ruchu na pobocza ulic, zdarzały się budynki i dzielnice, których rany były tylko powierzchowne.

Tak było właśnie w północnej dzielnicy Kleczków. Tutaj światło poranka przesuwało się po ocalałych kamienicach, w których teraz budziki podrywały na równe nogi ludzi ściśniętych na żelaznych łóżkach i na zapluskwionych siennikach. Tutaj wydłużały się cienie drzew rosnących przy Wybrzeżu Conrada-Korzeniowskiego, tutaj promienie rozpalały glazurowane żółtawe cegły szpitala psychiatrycznego i czerwony więzienny mur.

O świcie rozpoczął się poranny ruch. Ludzie, tłoczący się przy przystanku tramwajowym na Trzebnickiej, robotnicy pierwszej zmiany śpieszący do pracy w elektrowni przy Łowieckiej, handlarze wynurzający się ze swoimi wózkami z ulic okalających „mały szaberplac” przy Dworcu Nadodrze – wszyscy oni szykowali się do codziennego znoju i patrzyli z niechęcią na bezlitosny spektakl wrocławskiego poranka. Pragnęli, aby trwała noc i by mogli jeszcze spać – nie chcieli dać się miażdżyć

w przepełnionych tramwajach, zapuszczać w kaniony rumowisk, wdychać śmierdzącego dymu wijącego się nad ziemią i trupiej woni piwnic.

Leokadia Tchorznicka oddałaby jednak wiele, aby móc oglądać poranny pejzaż zrujnowanego miasta – ułamane belki, skarpy rumowisk, wiszące skrzydła okien – i cokolwiek innego niż niewielki trójkątny dziedziniec więzienia przy Kleczkowskiej. Zakratowane okienko pozwalało jej jedynie ujrzeć kilkadziesiąt czerwonych cegieł muru i dwa okna jednego z budynków więziennych. Wiedziała, że gdyby zdradziła pewien sekret, gdyby przekazała jedną informację, to wszystko by się odmieniło i jej oczy napawałyby się pięknymi widokami i pejzażami.

Wstała i lawirując pomiędzy dwiema śpiącymi na podłodze współwięźniarkami, podeszła do wiadra stojącego w rogu celi. Podniosła zakrywający je dekiel. Wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia.

Metaliczny dźwięk, choć cichy, obudził młodocianą prostytutkę Felę. Dziewczyna odgarnęła strąki włosów z czoła i przyglądała się Leokadii uważnie. Jej uśmiech był szczerbaty, jej dziąsła przekrwione, jej spojrzenie nienawistne. Nienawidziła Leokadii całą mocą klasowej pogardy. Śledziła każdy jej ruch, słuchała każdego jej słowa – a wszystko po to, by odnaleźć jeszcze jakąś słabość „hrabiny”, jak się do Leokadii ironicznie zwracała. Gdybyż tylko wypatrzyła albo usłyszała coś ważnego, o czym mogłaby donieść władzy! To, co do tej pory przekazała o Tchorznickiej, owszem – dobrze nastawiło do Feli śledczych i umożliwiło jej nawet syte kolacje raz na jakiś czas. Było to jednak zbyt mało, aby władza łaskawie pozwoliła jej powrócić do dawnego świata. Gdybyż tylko mogła powiedzieć o Leokadii coś naprawdę istotnego, czym by ją śledczy złamali! Wtedy nastałby dla Feli dzień wolności i wyszłaby znów na ulicę Gwarną, gdzie w tandetnej sukience i z kwiatami we włosach wypinałaby swe biodra w stronę każdego nadchodzącego mężczyzny.

Fela nie zdawała sobie sprawy, iż podejrzliwość i intuicja Leokadii były niezawodne. Ta z miejsca przejrzała konfidentkę i przybierała wobec niej dwie maski – odgrywała rolę albo wyniosłej damy z kamienną twarzą, albo łagodnej i wyrozumiałej pani chcącej moralnymi pogadankami sprowadzić upadłą dziewczynę na drogę cnoty. Trwało to kilka dni, aż rzeczywistość więzienna bezlitośnie odarła Leokadię z obu masek i obnażyła jej słabą stronę – niepohamowany wstręt, z jakim reagowała na obrzydliwości codziennego bytowania w plugawych warunkach. Kiedy prostytutka Felka, rozkraczywszy się szeroko nad wiadrem, zasmradzała powietrze celi, kiedy z chorych uszu Stefanii, łączniczki z Szarych Szeregów dzielącej z Leokadią siennik, wypływała ropa, kiedy na ścianę wypełzały karaluchy, a na posłanie wszy, wtedy usta Leokadii wykrzywiały się bezwiednie, a skóra napinała się boleśnie na jej kościach policzkowych.

Ten grymas wstrętu Felka zauważyła u Leokadii już kilka dni po jej aresztowaniu. Postanowiła natychmiast donieść o swoim spostrzeżeniu porucznikowi Arturowi Wajchendlerowi. Przy najbliższej okazji, w czasie pożywnej kolacji w jego gabinecie doniosła mu o pełnych obrzydzenia reakcjach współwięźniarki na smród, robactwo i wydzieliny. W czasie gdy Felka z ogromnym apetytem pochłaniała kaszankę i ogórki kiszone, porucznik zastanawiał się nad praktycznym wykorzystaniem zdobytych informacyj. Kiedy Felka siorbała herbatę, oznajmił jej z uśmiechem, że kolejna ważna wiadomość być może odmieni jej los i sprawi, że władza ludowa odstąpi od zwykłej surowości w karaniu nierządu i przymknie oko na godne pożałowania praktyki „panny Felicji”. Machnięciem ręki odprawił pełną nadziei konfidentkę, sporządził plan dalszych przesłuchań i wysłał go swojemu przełożonemu, kierownikowi Wrocławskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, pułkownikowi Placydowi Brzozowskiemu.

Szef zaaprobował metody Wajchendlera i następnego dnia przystąpiono do działań zdecydowanych. Najpierw sześćdziesięciotrzyletniej Leokadii Tchorznickiej ogolono głowę. Gęste włosy, które – mimo jej wieku – prawie wszystkie zachowały naturalną barwę, zostały zebrane i podpalone, a ona sama, przyduszona do popielnicy ciężką ręką otyłej strażniczki, dusiła się od smrodu skręcających się i trzaskających w ogniu włosów. Potem strażniczki zdarły z niej elegancką przedwojenną garsonkę, w której ją aresztowano, i rozebrały kobietę do naga. Rzuciły jej za to zawszone i zapocone łachmany, jakie przedtem nosiła pewna więźniarka, która dostawszy pomieszania zmysłów, przez kilka tygodni robiła pod siebie. Kiedy Leokadia odmówiła włożenia sztywnej od fekaliów bielizny, do celi wszedł porucznik Wajchendler i uderzył ją po raz pierwszy. Upadła, a on pochylił się nad leżącą kobietą i dokładnie zgasił papierosa na jej ogolonej głowie. Na jego rozkaz dwaj mężczyźni wnieśli do celi przesłuchań wielkie lustro. Ubowiec z obrzydzeniem podniósł oszołomioną Leokadię z podłogi, posadził ją przed lustrem, stanął za nią i cichym łagodnym głosem zapytał o miejsce pobytu jej kuzyna Edwarda Popielskiego, byłego komisarza reakcyjnej sanacyjnej Policji Państwowej i uzurpującego sobie tytuł oficerski zbrodniarza AK o pseudonimie Cyklop.

Sadzał ją przed lustrem przez kolejne dwa miesiące i zmieniającym się tonem – od łagodnego szeptu do ordynarnego ryku – ponawiał to pytanie uparcie, a Leokadia Tchorznicka, starając się nie patrzyć w swe odbicie, aby nie widzieć postępującej degeneracji swego torturowanego ciała, odpowiadała niezmiennie, że miejsce pobytu Popielskiego jest jej nieznane. Mówiła to mocnym głosem, kiedy miała na to jeszcze dość sił, wykrzykiwała to w bólu i w nienawiści, kiedy Wajchendler gasił kolejne papierosy na jej czaszce, bełkotała to niezrozumiale, kiedy po jej twarzy lała się zawartość nocnika, wychlustana przez oprawcę. Szeptała tę

odpowiedź, stojąc nocami na jednej nodze, wpatrzona na rozkaz ubowca w świecącą żarówkę, mruczała to zapewnienie, kiedy ją wnoszono do celi i rzucano na przegniły siennik obok schorowanej i zobojętniałej na wszystko łączniczki z powstania warszawskiego i prostytutki bekającej soczyście po proszonej kolacji.

„Miejsce pobytu Popielskiego jest mi nieznane”. Szeptała to i powtarzała jak poranny pacierz także tego ranka, kiedy powstawszy z wiadra, zatrzasnęła jego dekiel. Po kilku sekundach z korytarza dobiegły o wiele głośniejsze dźwięki. Walenie w drzwi cel i wrzaski strażniczek oznajmiały początek nowego dnia.

Felka leniwie wstała, przeciągnęła się i podrapała po pachwinach, Stefania przetarła oczy i zaczęła układać w kącie sienniki, a Leokadia pokuśtykała pod okno, ukucnęła i spojrzała na swoje opuchnięte kolana. Żadna z więźniarek nie powiedziała drugiej „dzień dobry”. Felka – ponieważ żądała, aby to jej pierwszej mówiono, Stefania – bo uważała to pozdrowienie w kazamatach UB za znaczeniowy absurd, a Leokadia – bo chciała pozdrawiać tylko Stefanię, która i tak nic by nie usłyszała przez zaropiałe uszy.

Drzwi celi otwarły się z łoskotem. Wkroczyła przez nie gruba strażniczka zwana przez więźniarki „maciorą”. Stanęła w drzwiach, dłonie zacisnęła w pięści i wbiła je w swoje potężne biodra pod szerokim wojskowym pasem. Patrzyła na więźniarki bez słowa. Nagle zadarła do góry głowę, a jej kanciasta broda, pokryta kilkoma szorstkimi włoskami, wskazała Leokadię.

Tchorznicka stanęła na baczność.

Oddziałowa Alfreda Zawiślan przecisnęła się pomiędzy framugą a Maciorą. Zgrabna czterdziestoletnia farbowana blondynka w idealnie skrojonym mundurze kiwnęła palcem. Leokadia podeszła do niej

z zaciśniętymi zębami, zachowując przepisową wyprostowaną postawę. Nie pozwoliła sobie na kuśtykanie, by ulżyć obrzmiałym kolanom. Alfreda Zawiślan uśmiechnęła się przyjaźnie do Leokadii.

– Posłuchaj, stara kurwo – powiedziała, owiewając więźniarkę wonią kwiatowych perfum. – Już przestajemy być dla ciebie wyrozumiali. Czeka na ciebie sam szef. Jeśli mu nie powiesz tego, co chce, pójdziesz do specjalnego pokoju. To pomieszczenie ciemne i tak niskie, że będziesz musiała siedzieć na podłodze. Są tam pająki. Spędzisz tam wiele nocy zupełnie naga. Nie będziesz mogła się wyprostować, będziesz musiała siedzieć. A wtedy pająki będą w ciebie wchodzić. Po stopach, udach pełzać, do twojej starej cipy się wgryzać... – Strzeliła palcami.

– Idziemy! – warknęła Maciora na ten znak.

Leokadia poczuła w przełyku gorący kartofel, wciągnęła do płuc zepsute powietrze celi, spojrzała w zakratowane okienko, ucałowała Stefanię i podreptała korytarzem popychana przez Maciorę. Za sobą słyszała szloch obu współwięźniarek. Szła powoli i nie widziała zbyt wiele przez łzy, jakie wypływały na jej rozpalone policzki.

Prędzej zginie za Edwarda, niż ją złamią. Jej niezłomność ma jednak pewne granice, o których oni nie mają jednak – dzięki Bogu! – najmniejszego pojęcia. Nie wiedzą, że chętnie dałaby się złamać, gdyby tylko usłyszała jedną jedyną propozycję. Ale oni nigdy jej nie wymyślą, nigdy nie wpadną na to, dla czego zdradziłaby ubowcom wszystkich i każdego z osobna, nawet Edwarda. Była pewna, że wydałaby swego kuzyna bez wahania, gdyby propozycja oprawców brzmiała: powiedz nam, gdzie on jest, a w nagrodę pojedziesz do Lwowa i będziesz mogła patrzeć na żółte jesienne liście Ogrodu Jezuickiego.

Ale te słowa nie padną. Szef wrocławskiego UB nie wiedział o jej ukrytym pragnieniu. Na szczęście dla Edwarda Popielskiego.

II

DWUNASTOLETNIA LUCYNKA BRZOZOWSKA, zwana przez wszystkich Lusią, była dzieckiem szczęśliwym i radosnym. Do wojny mieszkała z obojgiem rodziców najpierw w dalekim turkmeńskim Czadzuj, a później w Kujbyszewie. Tam mieszkali w koszarach, tu – w jednopokojowej komunałce. I tam, i tu tato wychodził codziennie do jednostki. Aż nadszedł dzień, kiedy została tylko z mamą. Pewnego ranka Lusia dowiedziała się od razu po przebudzeniu, że jej tatuś, świeżo upieczony oficer Armii Czerwonej po specjalnym kursie, udał się na wojnę. Wtedy dziecko wtuliło twarz w poduszkę i zapłakało rzewnymi łzami. Już po chwili jednak zwyciężyła radosna strona natury Lusi. Pobiegła na nadwołżańską plażę, gdzie chlapała się przy brzegu, bawiła lalkami w szpital i słuchała tęsknych dumek śpiewanych przez praczki. W ciepłych miesiącach roku było to jej ulubione zajęcie, któremu oddawała się przez cztery kolejne szczęśliwe lata swojego dzieciństwa.

Był to czas urozmaicany listami i prezentami od tatusia, który dzielnie walczył z faszyzmem. Pewnego dnia, kiedy bohaterskie oddziały Armii Czerwonej zbliżały się do Berlina, zamiast listu w mieszkaniu Brzozowskich przy Wołżskim Prospekcie zjawił się wysoki, ubrany w skórzany płaszcz oficer, który zamknął się z mamą w pokoju i długo z nią o czymś konferował. Po tej rozmowie nastąpiły bardzo istotne zmiany w rodzinnym życiu – miejsce nadwołżańskich plaż zajęły plaże nadodrzańskie, a jednopokojowa komunałka w Kujbyszewie uległa przemianie w duży, piękny wrocławski dom wypełniony obrazami i rzeźbionymi meblami. Lusia przyzwyczaiła się bardzo szybko do nowych warunków, ponieważ tym, co było dla niej najważniejsze – zabawa na

plaży, kąpiel w rzece i wspinanie się po drzewach – wciąż mogła się cieszyć. Byli poza tym przy niej legendarny, bohaterski i wytęskniony tatuś, troskliwa mama i niezmordowany w zabawach pies Czudak. Owszem, w nowym mieście, w którym tato był, jak powiedziała mama, „pierwszy po Bogu”, mówiono głównie po polsku, do nadrzecznej plaży było nieco dalej niż w Kujbyszewie, za to drzew w pobliskim parku było znacznie więcej.

Właśnie tego ciepłego wrześniowego dnia 1946 roku Lusia – jak zwykle po południu – wybrała się do parku w towarzystwie Czudaka i swojej nowej koleżanki Zoi, córki ich sąsiada, radzieckiego kapitana. Zasmucona tym, że zamiast ulubionego drzewa zobaczyła jedynie jego urezany pień, usiadła na trawie i otworzyła paczkę cukierków czekoladowych, którą tatuś włożył był jej tego dnia rano do tornistra w tajemnicy przed mamą. Zoja i Czudak nie spuszczali oczu z jedzącej. W końcu zlitowała się nad koleżanką i poczęstowała ją cukierkiem. Duży kundel z długimi łapami i z wiecznie najeżoną sierścią musiał się jednak obejść smakiem.

– A ja mogę mu coś dać? – zapytał jakiś męski głos. – On jest taki głodny...

Wysoki łysy pan, ubrany mimo upału w wojskowy płaszcz i oficerki, trzymał w dłoni kawałek kiełbasy. Lusia spojrzała na niego – był sympatyczny i uśmiechnięty – i skinęła przyzwalająco głową. Pies podszedł nieufnie i obwąchał kiełbasę. Szybko rozwarł szczękę i pochłonął przysmak, omal nie odgryzłszy mężczyźnie palca. Położył się na trawie obok Lusi, wysunął język z pyska i ciężko dyszał z ukontentowaniem.

– Widzisz, jaki był głodny – mówił powoli nieznajomy. – Zobacz, jak mu teraz dobrze, kiedy sobie podjadł... Zasypia...

Zoja i Lusia przyglądały się ze zdziwieniem Czudakowi, który rzeczywiście opuścił łeb na wyprostowane przednie łapy i mrugał sennie

oczami, by w końcu całkiem je zamknąć.

Lusia poczuła nagle na swej szyi kościste palce. Nie mogła ruszyć głową. Znalazła się w powietrzu. Pod brzuchem poczuła kanciaste ramię. Wisiała głową w dół. Trawa uciekała jej przed oczami. Dziewczynka zaczęła krzyczeć. Kątem oka zobaczyła jakieś kwiaty, które wysypały się z kieszeni płaszcza. Dostrzegła też Czudaka, wstającego, lecz chwiejącego się na swych łapach, Zoję wrzeszczącą i wyjącą oraz jakichś dwóch ludzi, którzy najwyraźniej wyszli do parku po opał, bo mieli w rękach piły i siekiery. Obolałe mięśnie szyi Lusi zwiotczały i dziewczynka cała zawisła na ramieniu uciekającego, które wrzynało się w jej brzuch. Zwymiotowała gwałtownie, brudząc płaszcz nieznajomego. Przez łzy widziała najpierw trawę, potem poskręcane korzenie drzew, a potem bruk ulicy. Usłyszała trzask drzwi samochodowych. Po chwili już nic nie widziała. To, co właśnie się zdarzyło, było pierwszym nieszczęściem w jej dotychczasowym radosnym życiu.

III

EDWARD POPIELSKI SZEDŁ ULICĄ SŁOWIAŃSKĄ w stronę placu Powstańców Wielkopolskich, nazywanego powszechnie Wyższą Szkołą Handlową lub nowym szaberplacem, by go odróżnić od starego szaberplacu, czyli od placu Grunwaldzkiego, gdzie niedawno zlikwidowano kwitnący i wszechogarniający handel. Przed skrzyżowaniem z Ołbińską minął dwie owocarnie i restaurację Pod Jedynką, przeszedł szybko przez ulicę i wyszedł wprost na szyld „Dr Mojżesz Wolfstein, lekarz ogólny, przyjmuje codziennie od 8 1/2 do 3 1/2”. Przybywa polskich szyldów – myślał Popielski – Wrocław tętni nowym życiem, szybko się rozwija i pięknieje – jak wyfiokowany i upudrowany trup.

Nie odczuwał oficjalnie zadekretowanej radości z szybkiego i spontanicznego rozwoju miasta, ponieważ w tej pieśni o podnoszeniu z gruzów pobrzmiewała fałszywa nuta o bratniej pomocy, jakiej w odbudowie i w codziennych troskach udzielały mieszkańcom wojska radzieckie. Ta propagandowa i natrętna radość wywoływała u Popielskiego reakcje gwałtowne.

– Łaski nam Moskale nie robią! – mówił wściekły sam do siebie podczas lektury codziennych gazet. – Zabrali nasz Lwów, a to zniszczone przez siebie miasto rzucili nam jak ochłap! A my mamy się radować pomocą tych kacapów! A zresztą jaką pomocą?! – unosił się i bił dłonią w płachtę gazety. – Tym, że rabują i wywożą wszystko do Rosji? Od framug okien po całe linie produkcyjne fabryk!

Popielski nie mógł się powstrzymać od takich komentarzy, które były dla niego – ściganego i przez UB, i przez NKWD – nadzwyczaj niebezpieczne, zwłaszcza że wygłaszał je nierzadko w miejscach

publicznych, w których roiło się od agentów bezpieki. Najwyższe zagrożenie stąd płynące nie wynikało jedynie z treści tych komentarzy, które można było we Wrocławiu słyszeć powszechnie z ust wygnanych ze swej ziemi lwowiaków, lecz raczej z ich formy. Popielski nie mógł powstrzymać się od okraszenia ich grubym słowem, a to natychmiast mogło wzbudzić u szpicli najwyższe podejrzenie. Wulgaryzmy nie licowały bowiem zupełnie z jego obecną tożsamością – z jego fałszywym statusem społecznym i zawodem.

Popielski rozumiał doskonale, że ludzie nie chcą już wojny i starają się ułożyć sobie życie na nowo w tym obcym mieście, że pragną rozrywki, że chcą tutaj mieć dzieci i celebrować spokojną i bezpieczną codzienność. Ale dla niego wojna się nie skończyła, on pragnął krwi Sowietów i ich kolaborantów, torturujących jego dzielną kuzynkę. On nade wszystko chciał powrotu do wspaniałych parków i łagodnych pagórków Lwowa, odrzucał *a limine* to cmentarne miasto, z którego piwnic wysypywały się nocami roje szczurów spasionych ludzkim ścierwem. Zrozumienie u niego znajdowali ludzie tacy jak on – leśne wilki, likwidatorzy zdrajców, mściciele kresowiaków mordowanych przez UPA, niepokorni żołnierze AK, nieufni i rozgoryczeni postanowieniami traktatu poczdamskiego. Gardził szczęśliwymi mieszkańcami Wrocławia, tak jak gardzi się włóczęgami wijącymi sobie gniazda na cmentarzu i udającymi, że to ich odwieczna ojczyzna. Ojczyzna Popielskiego była podeptana sowieckim butem i leżała daleko, odcięta nowym szlabanem granicznym przez zdrajców, fałszywych przyjaciół i zastraszonych przywódców alianckich mocarstw. Mocno wierzył, że – wbrew ostatnim zapowiedziom angielskiego posła Zillaciusa – za kilka lat powróci do Lwowa i zrobi to, o czym marzył – stanie ze swym odnalezionym wnuczkiem Jerzykiem na balkonie ukochanego mieszkania i

w promieniach słońca będzie podziwiał płomienną jesień Ogrodu Jezuickiego.

Teraz też świeciło słońce, które podkreślało szpetotę dzikiego, zabłoconego targowiska na placu pod Dworcem Nadodrze, ograniczonym brzydkimi czynszowymi kamienicami i kolejowym wiaduktem. Handlarze sprzedawali owoce, warzywa i nabiał w obskurnych budach, na obitych papą ladach, niekiedy je po prostu rozkładali na kamieniach albo trzymali w rękach. Nikt nie czekał biernie na klienta. Wszyscy wrzeszczeli głośno, a Popielski z zainteresowaniem rejestrował w myślach fonetyczne i znaczeniowe właściwości różnych polskich dialektów. Słychać było i piękny lwowski zaśpiew, reklamujący „meszty” i „szczeniaczki prawi rasowy”, i szelest gwary krakowskiej, gdy jakiś drab odganiał innego pogardliwym „a idze, idze!”, i górne tony intonacji poznańskiej w reklamowaniu „szneki z glancem”, i groźbę przetrącenia „kulosów”, rodem z Polski środkowej. Sprzedawcy, nie przerywając konwersacji i zachwalania swych towarów, mieszali kiepską śmietanę, która podchodziła wodą, na wierzchu brudnych i zepsutych jaj układali jajka czyste i duże, a przy tym śmiali się, pokrzykiwali i łapali klientów za rękawy, przyciągając ich do swych straganów. Żadna jednak brudna ręka nie wyciągnęła się w stronę Popielskiego. Ludzie pozdrawiali go, a niektórzy nawet zdejmowali przed nim czapki.

Zatrzymał się przy starodrukach ułożonych na kamieniach. Sprzedawał je potężny brodacz w cyklistówce. Popielski zaczął je powoli kartkować, nie poświęcając uwagi ani graczom w trzy karty, ani dwóm niewysokim Żydom, którzy oferowali trzewiki, eksponując je na sztucznych nogach utworzonych z rajtuzów wypchanych piaskiem. Koncentrował się na szepcie sprzedawcy książek, który powiedział mu cicho z silnym śląskim akcentem:

– Na prawo od baby z pierogami. Hasło „Oskar Ullmann”.

Popielski pokiwał głową, odłożył piękne osiemnastowieczne wydanie *Janua Hebraeae Linguae Veteris Testamenti* z pieczątką miejskiej biblioteki w Wałbrzychu i ruszył we wskazanym kierunku. Szybko natrafił na wspomnianą budę, w której – sądząc po pijakach leczących kaca bimbrem zaprawianym sokiem malinowym – nie tylko pierogi sprzedawano. Na prawo od niej stała mała budka, której dach ledwo co okrywał dziurawą, zbitą z desek ladę i siedzącego za nią mężczyznę. Na ladzie piętrzyły się dary z Unry – puszki z kawą, budyniem, kompotem i konfiturami, konserwy mięsne, papier toaletowy i tabletki do odkażania wody.

Popielski podszedł do lady, a sprzedawca wstał z szacunkiem. To uczucie było obce pijącym bimber młodym mężczyznom, którzy przyglądali się całej scenie z głupawymi i wyzywającymi uśmiechami.

– Patrz, Józiu, tych skurwysynów to stać na wszystko, nawet na dary z Unry – krzyknął jeden z nich, patrząc na Popielskiego. – I z czego oni mają forsę? Mają, kurwa, bez pracy!

– Jestem od Herberta antykwariusza – szepnął Popielski, nie zwracając uwagi na zaczepki. – Oskar Ullmann.

– Wiem, co mam dać – powiedział sprzedawca. – Herbert mi mówił. A pan wie, ile mi zapłacić.

Wyjął spod lady gazetę, zwinął ją w trąbkę i wrzucił do niej flakonik z pastylkami odkażającymi wodę oraz cztery buteleczki luminalu, leku na epilepsję, po czym zagiął sprawnie brzegi gazety, tworząc zgrabną paczkę.

Popielski kupował lek właściwie z obowiązku, ataki padaczki prawie już ustały i nie musiał się już zabezpieczać przed nimi ciemnymi okularami. Był jednak zbyt przezorny, by pozwolić sobie na chwilę zapomnienia – choroba mogła wrócić w najmniej spodziewanym momencie i go zdemaskować.

Położył na ladzie cztery banknoty pięćsetzłotowe i szybko odszedł poganiany przekleństwami pijaków, którzy z każdą sekundą stawali się coraz bardziej zuchwali. Jeden z nich wydał się Popielskiemu znajomy. Nieuświadomiony ciąg skojarzeń trwał kilka sekund i skończył się sukcesem.

Jak to dobrze – myślał – pilnie obserwując cygańskich kieszonkowców okrążających jakiegoś chłopa dźwigającego klatkę z gołębiami, że nie muszę już nosić ciemnych okularów. Gdybym je miał, to ten lwowski żulik, kacap i komunista, jak mu tam, Antek Rozlepiło, natychmiast by mnie rozpoznał. To paradoks – ludzie noszą ciemne okulary, by ukryć swoją tożsamość, a ja właśnie dlatego ich nie noszę. Ale mam na sobie coś innego, co mnie ukrywa jeszcze skuteczniej. Bez tego rozpoznałby mnie każdy lwowski łachabunda, każdy kirus z Kliparowa, a tych nie brakuje przecież w tym szwabskim mieście!

Wyszedł z szaberplacu i ruszył pod wiadukt kolejowy. Na rogu Trzebnickiej i Kleczkowskiej kupił od małego gazeciarza najświeższy numer „Pioniera”. Czekając na tramwaj, przeglądał ogłoszenia. Pierwsze wywołało na jego twarzy lekki uśmiech.

„Uwaga słuchaczki Uniwersytetu Wrocławskiego! Dam komfortowo urządzony pokój wraz z całkowitym utrzymaniem i dopomogę finansowo przystojnej akademiczce. Pierwszeństwo studentki medycyny. Sprawę traktuję poważnie”.

Inne ogłoszenie miało charakter pokutny.

„Za zajście z milicjantem dnia 2 września składam 1000 zł na dzieci poległych milicjantów. Szymoniak Wacław”.

Nadjechała jedynka – od kilku dni jeżdżąca jako skład dwuwagonowy. Nie panował w niej wielki tłok, bo było już dawno po porannym szczycie

komunikacyjnym, a poza tym większość pasażerów wysiadała właśnie tutaj – przy najpopularniejszym wrocławskim targowisku.

Popielski zwinął gazetę i wsiadł do wagonu. U konduktora chciał kupić bilet, ale ten uśmiechnął się i powiedział ze lwowską intonacją:

– Ali ni trzeba, ni trzeba.

Popielski podziękował mu, oparł się o szybę na tylnym pomoście i przeczytał kolejne ogłoszenie.

„Dnia 23 września w parku Szczytnickim została uprowadzona dwunastoletnia Lucyna Brzozowska, uczennica klasy piątej. Ubrana była w sukienkę w granatową kratę, różową chustkę i wysokie buciki z nieprzemakalnego płótna. Na każdego, kto przekaże zrozpaczonemu i zamożnemu ojcu informację mogącą pomóc w odnalezieniu dziewczynki, czeka bardzo wysoka nagroda”.

Poczuł i dławiący niepokój, i przypływ nadziei. Odwrócił głowę i zapatrzył się w okno. Z zamyślenia wyrwała go jakaś babina, której jasna, zawiązana pod brodą chustka przypominała strój ukraińskich wieśniaczek. Dotknęła rękawa jego sutanny i szepnęła:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków, amen – odpowiedział Popielski, poprawił koloratkę i pobłogosławił kobietę.

IV

GABINET PORUCZNIKA WAJCHENDLERA BYŁ SCHLUDNY i prawie pusty. Zaopatrzone w firanki okna były rozświetlone słońcem. Jego promienie padały na niewielki regał na akta, stolik z poniemiecką maszyną do pisania marki Continental i na biurko, na którym stały dzbanek z kawą, słoik dżemu i talerzyk z rogalikami.

Za biurkiem siedział wysoki mężczyzna w opiętym na brzuchu mundurze. Na jego zaciśniętym pod szyją kołnierzu bielił się oficerski wężyk, na epoletach widniały dwa paski i trzy gwiazdki. Funkcjonariusz miał nadmiernie rozrośnięty podbródek, nieco skośne oczy i siwe gęste włosy układające mu się ponad jego czołem w małe fale, które co chwila automatycznie i jakby pieszczotliwie przyklepywał wielką dłonią. Spod niskiego czoła patrzyły oczy – inteligentne, uważne, zamglone. Skóra na jego twarzy i rękach była gładka i wypielęgnowana, zęby nierówne i szeroko rozstawione. Z kwadratowymi i spękanymi paznokciami wyraźnie kontrastowały wyprasowane rękawy jego nowiutkiego munduru. Szyku dopełniały błyszczące oficerki.

Wskazał Leokadii krzesło stojące naprzeciwko biurka pod wielką palmą i przyglądał się jej przez chwilę. Obserwowała ją również młoda kobieta siedząca za maszyną do pisania. W jej rumianym szerokim obliczu błyszczały duże chabrowe oczy, które były w nieustannym ruchu, rzec by można, wahadłowym – raz spoglądały z bojaźnią na szefa, raz ze współczuciem na Leokadię.

– Pułkownik Placyd Brzozowski – przedstawił się oficer i szuflą swej mięsistej dłoni wskazał urzędniczkę przy maszynie. – A to panna Jadwiga Mulakówna, protokolantka.

Oficer uniósł nakrochmaloną sztywną serwetę i oczom Leokadii ukazały się dwie filiżanki.

– Nawet w tym szambie pozostała pani damą. – Nalał kawy do jednej z nich.

Panna Mulakówna wstała i podeszła do biurka lekko i radośnie.

– To nie dla ciebie, Jadziu – powiedział dobitnie pułkownik. – Kawa jest dla dam, a ty nie jesteś damą! W porównaniu z panią Leokadią Tchorznicką ty jesteś jedynie dobrze wypucowaną dziewuchą od krów. – Protokolantka zacisnęła usta, usiadła za swoją maszyną i nie patrzyła teraz na nikogo. Brzozowski sięgnął łyżeczką do cukiernicy. – Ile pani słodzi?

– Dwie łyżeczki. – Głos Leokadii był suchy i zgrzytliwy.

– Może rogalika z dżemem? – Śledczy wbił czubek noża w skórkę bułeczki.

Chrupnęło i na blat biurka posypały się smakowite okruchy.

– Dziękuję, nie! – ostatkiem woli wydusiła z siebie Leokadia.

– Spójrz, Jadziu, na przesłuchiwaną panią i ucz się hartu ducha. – Brzozowski posmarował masłem i dżemem pulchny miąższ. – Nasze świnie mają lepsze jedzenie niż ta pani w swej celi, a mimo to ona teraz gardzi najlepszym rogalikiem od Spychały. Jednak nie odmawia kawy. A wiesz dlaczego? Bo dobra kawa jest dzisiaj luksusem i przystoi osobie z luksusowej sfery, a bułka to coś bardzo pospolitego... A czy ty, Jadziu, oparłabyś się tej wspaniałej bułce? – Poplamione nikotyną zęby miażdżyły kęsy rogalika. – Po miesiącu podłego jedzenia, kaszy i sinej koniny, po której w magazynie łażą muchy ścierwice? Co, oparłabyś się? – Protokolantka milczała, Brzozowski jadł i mieszał cukier w kawie, Leokadia przełykała instynktownie przypływy śliny. – Czy ty odrzuciłabyś ciepłą kąpiel i perfumy? – Podsunął Leokadii filiżankę. – Po miesiącu przebywania w brudnej celi, wśród smrodu kibla, ropy i kwasoty rzygów? –

Leokadii zrobiło się niedobrze. Odstawiła kawę na brzeg biurka i znów przełykała ślinę, teraz jednak świadomie, by nie zwymiotować. – A wiesz, Jadziu, dlaczego panna Leokadia Tchorznicka to wszystko wytrzymuje? Bo kocha człowieka, o którego ją pytamy! Bo kocha nad życie Edwarda Popielskiego i nie chce nam go wydać! A ty masz kogoś, Jadziu, dla kogo byś tyle wycierpiała? – Znów cisza. Panna Mulakówna z zainteresowaniem i z żalem patrzyła na Leokadię. Przesłuchiwana najwidoczniej odgoniła mdłości, bo z przyjemnością wypiła resztkę kawy. – A tymczasem pan Edward Popielski, porucznik AK, pseudonim Cyklop – Brzozowski zdjął z palca obrączkę i kręcił nią młynki na blacie biurka – nie zasługuje nawet na odrobinę tak wielkiej miłości! Spójrzmy do akt i zobaczmy, jaką był kanalią! – Otworzył teczkę Popielskiego i włożył na nos druciane okulary. – Szesnastoletnia Praksedia Pawłoza, córka ukraińskiego księdza ze wsi Arłamowska Wola, powiat Mościska – czytał – zeznała, że po zajęciu wsi w nocy z 15 na 16 marca 1943 roku przez polskich bandytów ich dowódca, po zamordowaniu jej rodziców, przebywał z nią do rana i zmuszał pod karabinem do wielokrotnych czynów ohydnych. Został on zidentyfikowany przez jednego z mieszkańców wsi jako przedwojenny lwowski policjant, zwany Łyssy. Obydwoje doskonale wiemy, kim jest Łyssy. Mam czytać dalej, pani Tchorznicka? Chce się pani dowiedzieć, co robił z tą dziewczyną pani uwielbiany kuzyn?

– Nie wiem nic i nie chcę nic wiedzieć ani o wojennych losach, ani o godnych potępienia czynach Edwarda Popielskiego – rozległ się słaby głos Leokadii na tle stukotu Continentala. – Nie utrzymuję z nim kontaktów od dawna i nigdy nie będę utrzymywać z powodu jego podłych występków.

– Pani kłamie, pani wciąż go kocha, a on kazał szesnastoletniej dziewczynie całować się po genitaliach! – syczał Brzozowski. – Ten łotr i weneryk kazał młodej, niewinnej dzieweczce lizać się po owrzodzonym

przyrodzeniu! I tak całymi godzinami! Do samego rana! Dziewczyna wymiotowała, a on przyciągał ją do siebie za włosy!

Leokadia przycisnęła ręce do brzucha i zaczęła się krztusić. Otworzyła usta, lecz – ku westchnieniu ulgi Brzozowskiego – nie bluznęła z nich treść żołądka, lecz wypłynęło tylko kilka nitek śliny. Po chwili torsje przestały szarpać przesłuchiwaną.

Ubek dał znak pannie Jadzi. Ta podeszła do niej z wiśniową chustą z ukraińskim haftem. Założyła ją na głowę więźniarki i zawiązała rogi chusty pod szyją.

– Taka dama jak pani nie może chodzić z ogoloną głową – powiedział cicho oficer. – Proszę zatrzymać tę chustkę i zawsze w niej przychodzić na rozmowę ze mną! To prezent.

– Ładnie w niej pani. – Maszynistka się uśmiechnęła.

– Może jeszcze kawy? – Brzozowski wskazał pannie Jadzi jej miejsce przy maszynie do pisania. – A może jednak rogalika z powidłami śliwkowymi?

Leokadia pokręciła przecząco głową. Wbrew temu odmownemu gestowi Brzozowski nalał kawy do jej filiżanki, rozkroił rogalik i łyżeczką rozprowadził słodką masę po jego miękkim białym wnętrzu. Jedzenie i kawę ustawił na tacy, którą następnie przysunął na skraj blatu. Potem wstał, odciągnął swój obrotowy fotel od biurka i potoczył go na kółkach, aż znalazł się przed Leokadią.

– Proszę tu usiąść!

Kiedy powoli i niechętnie wykonała jego polecenie, stanął za nią i przysunął ją z fotelem do samego brzegu biurka, gdzie stały śniadaniowe specjały.

– Smacznego – powiedział cicho, odwrócił się do okna i patrzył na więzienne podwórze.

Od strony biurka dochodziły odgłosy pośpiesznego zaspokajania głodu. Brzozowski wypalił spokojnie papierosa i odwrócił się do Leokadii.

– Pani myśli, że ja jestem tępym ubekiem, którego mózg został napchany propagandą... Tak? Tak właśnie pani sądzi? A tymczasem ja, podobnie jak pani, pochodzę z terenów dzisiejszej radzieckiej Ukrainy, wiele wiem i wiele widziałem... Boleję nad pohańbieniem tej ukraińskiej dziewczyny przez pani kuzyna, ale widziałem też, jak Ukraińcy hańbili Polki, jak rozcinali im brzuchy i wrzucali tam żywe koty i króliki... Widziałem na Wołyniu ludzi rozciętych wpół piłą... Wie pani, kto to robił Polakom?

– Nie wiem...

– Banderowcy. Słyszała pani o banderowcach? O ukraińskich faszystach, kolaborantach Hitlera? O ich straszliwych zbrodniach?

– Tak, słyszałam.

Brzozowski oparł się o biurko i uważnie patrzył na Leokadię. Uniósł akta Popielskiego i postukał w nie zakrzywionym pękniętym paznokciem.

– Kilka miesięcy temu banderowcy napadli na Hrubieszów. Z ukraińskimi faszystami ramię w ramię walczyli polscy faszyści z WiN. Rozumie pani? Ryzuny z UPA, którzy chłeptali krew polską, mieli Polaków za swych towarzyszy! Pluton egzekucyjny WiN rozstrzelał dwóch polskich żołnierzy. Chce pani wiedzieć, kto dowodził tym plutonem? – Zapadła cisza przerywana okrzykami strażników na więziennym dziedzińcu, szczekaniem psów i brzękiem wiader, z których dyżurni z cel wylewali nocne nieczystości wprost do kanału. Przez lufcik wdarł się smród kloaki. – Jemu jest wszystko jedno, kogo zabija. – Brzozowski cedził słowa. – W czasie wojny był egzekutorem, palił ukraińskie wsie, a teraz wspólnie z banderowcami morduje polskich patriotów. Niechże mi pani powie, gdzie się ukrywa ta krwiożercza bestia!

– O miejscu pobytu mojego kuzyna Edwarda Popielskiego – powiedziała cichym głosem Leokadia – nie mam najmniejszego pojęcia.

Pułkownikowi Placydowi Brzozowskiemu łzy stanęły w oczach. Po kilku sekundach opanował się, grubym palcem wytarł zaczerwienione oko, poprawił pas, przyklepał włosy i wyszedł z gabinetu. Kiedy zamknął za sobą drzwi, protokolantka panna Mulakówna podeszła do Leokadii i pochyliła się nad nią. Pokonując wstręt, szepnęła jej do ucha.

– Pułkownik nie może o tym mówić, bo tu ściany mają uszy. Ale... jego córeczka Lusia została wczoraj porwana. To dlatego pułkownik taki dla mnie dziś nieprzyjemny... Małą porwał wysoki łysy mężczyzna, może to pani kuzyn? Może pan pułkownik chce wymienić panią za Lusię... Naprawdę jemu teraz już nie zależy na Popielskim, nie chce go już złapać. Zależy mu tylko na dziecku, a Popielskiego może nawet puści wolno albo ułatwi mu wyjazd za granicę, jeśli ten tego zażąda. Byle odzyskać dziecko! A przy tym zapłaci, dużo wam zapłaci! Nie będzie się mścił... Widziała pani? On łagodny, nawet się popłakał... Będzie pani żyć z Edwardem bardzo wygodnie, bez żadnych trosk... Niechże pani powie chociaż mnie, gdzie on jest, a ja wszystko dalej poprowadzę! Po cichu, w tajemnicy...

Leokadia pomyślała o jesiennym Ogrodzie Jezuickim. O secesyjnej restauracji w stylu zakopiańskim w jego centrum, gdzie podawano najlepsze lwowskie lody. O dębach Grottgera w najwyższej części parku. Dlaczego nikt jej jeszcze nie zaproponował powrotu do Lwowa? Widoku parku? Dlaczego nikt na to nie wpadł? Czy ma teraz wykrzyczeć swoją prośbę w te chabrowe naiwne oczy, w tę szeroką, szczerą, chłopską twarz? W jakie słowa ma to ująć?

Nagle ją olśniło. Choćby powiedziała pannie Jadzi o jesiennym Ogrodzie Jezuickim, to przecież niczego nie zrozumie ta młoda maszynistka, której umysł jest równie płaski jak pola rozciągające się za

oknami jej rodzinnej wiejskiej chaty! Ona nie utraciła swojego ukochanego miasta! Jej nie wygnano z ogrodu do rumowiska! Panna Jadzia opuściła swoją wielkopolską albo mazowiecką wieś z dziką radością w poszukiwaniu lepszego życia – klusek i kotletów wieprzowych w niedzielę, miłego i wesołego kawalera, który lubi śpiewać i tańczyć, oraz przytulnego mieszkania z czystą, samodzielną ubikacją. Czyż ona może zrozumieć melancholię jej, Leokadii, której ukradziono wszystko, co było oprawą jej życia?

– Nic pani nie powiem. – Pokręciła przecząco głową.

Panna Jadzia pokiwała głową z politowaniem i również opuściła gabinet. Na korytarzu stali pułkownik Brzozowski i porucznik Wajchendler zatopieni w cichej rozmowie. Spojrzeli na pannę Jadzię z nadzieją, lecz zaraz ją stracili, widząc jej minę.

– No i nic – powiedział obojętnie Wajchendler.

– Wydrzyj jej z gardła moje śniadanie – rzekł Brzozowski i serdecznym gestem poklepał podwładnego po łysinie.

Kiedy ucichły jego kroki, Wajchendler wszedł do swojego gabinetu i kopnął z całej siły obrotowe krzesło, na którym siedziała Leokadia. Potem wyciągnął łapy, zdarł z jej głowy chustkę i wrzucił ją do kosza na śmieci.

A potem uczynił dokładnie to, co mu nakazano.

V

PRZEDSTAWICIELE WROCŁAWSKIEGO PÓŁŚWIATKA zajmowali w zrujnowanym mieście różne lokale – w zależności od swojego miejsca w hierarchii przestępczej. Przywódcy szajek handlowych zamieszkiwali domy lub kilkupokojowe willowe apartamenty na Zaciszu lub na Krzykach. O ich wysokim statusie świadczyły i wystrój wnętrz mieszkań – obrazy z pejzażami, grube dywany, gdańskie szafy – i wzmożone kontakty z Urzędem Bezpieczeństwa, które miały skomplikowany charakter – trochę służbowy, przeważnie towarzyski i nade wszystko handlowy. Członkowie tej najwyższej kasty otrzymywali od ubowców bezkarność i pomoc w sytuacjach kryminalnych, talony na benzynę oraz informacje o nierozszabrowanych jeszcze wrocławskich i dolnośląskich rezydencjach. W zamian przestępcy służyli im na trzy sposoby: donosili na przeciwników ustroju, wypłacali wysokie procenty z geszeftów i ofiarowywali różne dobra tego świata – poniemieckie srebra do ich jadalni, rodowe złote sygnety do ich szkatułek, koniaki do ich barków, czekoladę dla ich dzieci, jedwabne pończochy dla żon i kochanek.

Półświatek mniejszego kalibru i spekulanci kategorii średniej mieszkali głównie wokół ulicy Stalina na prestiżowych pierwszych lub drugich piętrach domów, interesy robili w lokalach wyszynkowych takich jak Kresowianka na tejże ulicy, w stręczycielskich zagłębiach takich jak Rio na Świdnickiej czy w centrach dansingowych takich jak Casanova na Mikołaja, gdzie grała słynna orkiestra Addi Rosnera. Ci utrzymywali z ubekami stosunki znacznie luźniejsze – czasem dzielili się z nimi niewielkimi zyskami, robili im drobne podarunki, a w zamian otrzymywali

obietnice szybkiej reakcji, w razie gdyby do ich mieszkań dokwaterowano jakichś nowych lokatorów.

Najniżsi w hierarchii przestępcy mieszali się z innymi mętami społecznymi. Szajki złodziei rozkręcających na części maszyny w fabrykach, oszuści grający w trzy karty na szaberplacu, handlarze samogonem i pornografią tworzyli w ciemnych, wilgotnych, zarobaczonych izbach wspólnoty mieszkalne z pijakami, prostytutkami i syfilitykami. Bardzo często nie można było odróżnić jednych od drugich. Wszyscy oni starali się jak ognia unikać milicji i bezpieki, ponieważ nie byli w stanie niczego tym instytucjom zaoferować i dlatego byli przez nie traktowani nie lepiej niż karaluchy, których roje gnieździły się w brudnych ubikacjach i odpadkach gnijących na podwórzach.

Niżej od nich byli tylko ludzie zwani szczurami, którzy dzielili swe lokum właśnie z tymi zwierzętami. Zamieszkiwali oni piwnice zrujnowanych domów, pili denaturat i palili najgorszą machorkę. Kije ze szmatami nasączonymi olejem służyły im jako pochodnie. Oświetlając sobie nimi drogę, przebijali dziury w piwnicznych ścianach pomiędzy kamienicami. Szukając nieukradzionych jeszcze dóbr i ukrytych skarbów, ryli podziemne korytarze, przez co często porównywano ich do górników. Do przedstawicieli tej profesji upodabniały ich również nieustępliwość, brudna praca i wielki szacunek do szczurów, które swym zachowaniem sygnalizowały im niebezpieczeństwo.

Jednym z wrocławskich szczurów był Antoni Majgier, wysoki, kościsty i bardzo silny chłop, który bezdomność poznał dobrze we Lwowie, w podziemnych kanałach nad Pełtwią. Piwnica, w której teraz mieszkał, była jedyną pozostałością po ładnej niegdyś kamienicy na ulicy Żelaznej. Nad podziemną siedzibą Majgra wznosiła się góra gruzów, w której wydrążył on wejście. Następnie wyrzucił stamtąd spuchnięte i wilgotne

trupy, wyszykował sobie zgrabną pakamerę i rozpoczął nowe życie. Zajął się miejskim zbieractwem, buszował wśród ruin i znosił stamtąd do swej jaskini złom, dętki rowerowe i hydrauliczne resztki. Kiedy jednak po kilku miesiącach zauważył, że inne wrocławskie szczury odkryły zamaskowane wejście i spoglądają zazdrośnie na znoszony do nory dobytek, postanowił całkiem się przenieść do podziemnego świata, co nie było trudne z uwagi na doświadczenia tego lwowskiego kanalarza.

Majgier nie znosił intruzów i chronił autonomię swojego królestwa. Rzadko wynurzał się na powierzchnię, żywił się kompotami, suchą kiełbasą i zawekowanym mięsem, które to skarby – podobnie jak kilka kartonów papierosów Bergmann Privat – znalazł w prowizorycznym niemieckim bunkrze. Majgier spożywał te dary Boże z radością, lecz oszczędnie, i w poszukiwaniu skarbów rył dalej pod zrujnowanymi domami. Stał się jednym z najlepszych znawców podziemnej dzielnicy. Kwartał piwnic pomiędzy Żelazną, Zbożową, Grochową a Jemiołową nie miał już przed nim żadnych tajemnic. Wtedy postanowił zbadać dalszy teren, choć zdawał sobie sprawę, że jego mieszkańcy mogą nie lubić intruzów i nie będą przyjmować ich zbyt gościnnie. Nie bał się. Podlwowskie kanały wyleczyły go z wszelkich lęków.

Tego wrześniowego dnia udało mu się skruszyć łomem kilka cegieł w murze i przecisnąć się do korytarza piwnicy na ulicy Kwaśnej. Szedł powoli, trzymając przed sobą zapaloną pochodnię. Spod stóp pierzchały mu szczury z nikłym piskiem. Nagle usłyszał pisk ludzki. Ktoś cicho łkał. Majgier przysiągłby, że to głos kobiety lub dziecka.

Wlazł z powrotem na swoje terytorium, stanął przy murze granicznym, cegłami zabezpieczył płonącą pochodnię przed upadkiem, po czym powrócił na *terra incognita*. Nasłuchiwał.

Ciche łkanie rozległo się znacznie bliżej, niż przypuszczał. Ruszył w całkowitej ciemności. Posuwał się bardzo wolno, badając stopami grunt i rozsuwając nimi szmaty, butelki i inne śmieci zalegające na klepisku.

Po kwadransie skradania się ujrzał promień padający z jakiegoś otworu pod sufitem. Majgier podszedł do źródła światła, wspiął się cicho po wystających cegłach i podciągnął się wysoko, aż jego broda znalazła się nad brzegiem małego okienka, chronionego przed szczurami mocną siatką.

– Lepij niż u mni – szepnął do siebie, patrząc na urządzenie pokoju, które swym standardem dorównywało mieszkaniom na powierzchni.

W pomieszczeniu stał porządny okrągły stół, niewielka komoda służąca jako spiżarka oraz kozetka przykryta czystą pościelą. Wystrój wnętrza i zapasy spiżarni nie wydały się Majgrowi specjalnie interesujące – w odróżnieniu od właścicieli tego mieszkania. Tworzyli oni dziwną parę, a zachowywali się jeszcze dziwniej.

Wysoki łysy mężczyzna zdjął z nosa dziewczynki leżącej na kozetce białą szmatkę. Do nozdrzy Majgra doszła dobrze mu znana woń chloroformu, którym się odurzano w kanałach nad Pełtwią.

Powieki dziecka opadły. Łysy usiadł obok dziewczynki i dotknął jej sukienki. Powoli podwinął ją wysoko, odsłaniając podkolanówki i bieliznę. Rozpiął guziki wojskowego płaszcza i spodni. Potem rozrzucił szeroko nogi i wciągając brzuch, zanurzył palce w swych majtkach. Na jego czole pojawiły się krople potu.

Nagle wstał z łóżka, podskoczył do komody i nalał sobie szklankę wódki. Wypił ją prawie jednym haustem. Zapiął rozporek i obciągnął sukienkę dziewczynki.

Majgier poczuł obrzydzenie, a potem ulgę. Opuścił się znów na klepisko piwnicznego korytarza. Odszedł szybkim krokiem, nie zważając na chrzęst szkła pod podeszwami. Nie zamierzał interweniować. Co go to

obchodzi, że jakiś drań chce sobie pohrumać? Nie będzie się mieszał w nie swoje sprawy. Podlwowskie kanały nauczyły go czegoś jeszcze – dobrych manier.

VI

WROCŁAWSKI RYNEK JEST PROSTOKĄTEM wyznaczonym przez cztery pierzeje, ciągi kamienic, które stosunkowo niewiele ucierpiały w czasie walk o wrocławską twierdzę. W tym dużym prostokącie zawiera się mniejszy czworobok z własnymi pierzejami. Dla pocztowego odróżnienia kamienic dużego i małego czworokąta, te pierwsze za niemieckim wzorem otrzymały adres Rynek, drugie zaś – Rynek Ratusz. Równie dobrze można by nazwać te czworoboki rynkiem wewnętrznym i zewnętrznym lub małym i dużym.

Na krańcach pierzei północnej małego rynku był lokal handlowy z szyldem „Dewocjonalia”.

Tego ciepłego sobotniego poranka 1946 roku dzwonek u drzwi sklepowych rozdzwonił się po raz drugi. Właściciel zakładu pan Edward Kosk skłonił się uprzejmie wchodzącemu – swojemu stałemu klientowi księdzu Franciszkowi Łysiakowi – i pozdrowił go uroczystym „*Laudetur Iesus Christus*”. Usłyszawszy „*In saecula saeculorum*”, całą swoją uwagę znów poświęcił dwóm starszym damom i małemu chłopcu, który był przez nie przebierany w coraz to nowe ministranckie komeżki. Obie panie, nazywane przez dziecko ciociami, przestawiały malca po wszystkich kątach sklepu, by przebranemu w strój liturgiczny lepiej się przyjrzeć. Kręciły nim dokoła, naciągały mu przez głowę kolejne komeżki, a mimo to nie mogły się zdecydować na żadną z nich. Sklepikarz wobec ich rozterek wykazywał wielką wyrozumiałość. Nie odczuwał przy tym żadnego dyskomfortu z powodu pozostawienia księdza samemu sobie. Wiedział bowiem, że ten bibliotekarz i pełnomocnik administratora apostolskiego archidiecezji wrocławskiej księdza infułata Karola Milika niechętnie patrzy na przesadną

troskliwość sprzedawcy i woli sam przeglądać alby, stuły i cingula. Niechęć księdza do bycia adorowanym świetnie zatem korespondowała z potrzebami chwili obecnej. Pan Kosk za nic nie chciał bowiem ani na chwilę pozostawić bez swej opieki wybrednych klientek, które ministrantowi *in spe* chciały kupić nie tylko komeżkę, ale i złoty krzyżyk, a może jeszcze i medalik... Zajął się zatem damami i nieco ogłupiałym chłopcem, a ksiądz Łysiak, korzystając z zaufania właściciela, wszedł za ladę i spokojnie oglądał makatki z łacińskimi cytatami z Pisma Świętego.

Wtedy dzwonek u drzwi zabrzęczał już po raz trzeci tego dnia. Do sklepu wszedł przystojny mężczyzna pod czterdziestkę ubrany w oficerki i w upragnioną przez młodych ludzi skórzaną kurtkę angielskich lotników. Podszedł do gabloty z krzyżykami i przyglądał się im uważnie, najwyraźniej nie oczekując – podobnie jak ksiądz Łysiak – żadnych wskazówek od sklepikarza.

– Przepraszam najmocniej – zwrócił się mężczyzna do stojącego za ladą księdza. – Na tym krzyżyku jest łaciński napis. Czy ksiądz mógłby mi uprzejmie objaśnić, co to znaczy?

Sklepikarz i klientki umilkły i spojrzały ciekawie na rozmawiających mężczyzn.

– *In hac spe vivo* – odparł zapytany – oznacza „w tej nadziei żyję”.

– Dziękuję. – Pytający się uśmiechnął.

Obie panie i sklepikarz wrócili do swoich dyskusyj na temat właściwej długości komeżki i stracili całe zainteresowanie rozmową obu mężczyzn.

– No wiesz co, Stefciu? – powiedział cicho Edward Popielski z lekkim uśmiechem. – To skandal, byś nie potrafił przetłumaczyć tak prostej sentencji!

– Kilka dni temu Brzozowskiemu porwano córkę – równie cicho odezwał się Stefan Cygan, były aspirant urzędu śledczego lwowskiej

komendy wojewódzkiej.

– Czytałem o tym ogłoszenie w „Pionierze”.

– Motyw lubieżny lub okup. Ojciec ogłosił przeciwko porywaczowi prawdziwą krucjatę. Podziemny Wrocław cały wrze. Ubek zaoferował dwa tysiące zielonych za głowę porywacza.

– Co wiadomo? – Popielski z zainteresowaniem oglądał fioletową stułę.

– Wiem tyle, ile mówią w knajpach. – Cygan cmokał z zachwytu nad krzyżykiem z onyksem. – Czyli wszystko, bo po knajpach i po melinach chodzili ubecy i ogłaszali zlecenie szefa. Porwano ją w parku Szczytnickim. Bydlak działał sam. Widziało go dwóch drwali, którzy poszli do parku ściąć jakieś drzewo na opał. Ci drwale sami wzięli się do poszukiwania. Porywacz dał psu dziecka zatrutą kiełbasę, chwycił małą na ramię i uciekł. Widziała to wszystko koleżanka dziecka. Odjechał autem, chyba skodą. Był wysoki i łysy – Cygan spojrzał z lekkim uśmiechem na Popielskiego – jak ty, nie przymierzając, tyle że zamiast sutanny miał wojskowy płaszcz.

– To wszystko?

– Nie. Kiedy biegł z dzieckiem, z kieszeni tego płaszcza wysypały mu się jakieś białe kwiaty. Dużo białych kwiatów...

Pan Kosk niskimi ukłonami pożegnał swe klientki, które kupiły i komeżkę, i krzyżyk, i medalik, po czym zatarł ręce i uśmiechnął się do Cygana i Popielskiego. Nie absorbował ich swoją osobą.

– Kwiaty... – powtórzył w zamyśleniu Popielski. – Ciekawe informacje, Stefek... Jeśli będziesz jeszcze coś wiedział o ubeku i jego córce, to przyjdź tutaj zaraz po otwarciu, tak jak dzisiaj, i zostaw dla mnie wiadomość u szefa. To jest nasz nowy punkt kontaktowy w tym mieście... Wchodząc tu, nie wzbudzam podejrzeń... W odróżnieniu od ciebie! – Spojrzał krytycznie na swojego długoletniego podwładnego. – W tej angielskiej kurtce z daleka

śmierdzisz kontrrewolucją i nienawiścią do najwspanialszego na ziemi ustroju... Prawda, Edziu?

– Tak jest, panie kumisarzu – uśmiechnął się Kosk. – Pan aspirant w tych oficerkach wygląda, jakby z lasu się wykatulał. A tutaj to niebezpieczni. Szpicli wszędzi. U nas we Lwowi to dupieru było spokojni. Człowik nakirany to najwyżyj w mazak dostał na Kliparowi, a tu za byli słówku moży na ubecji trafić...

VII

WCZESNYM SOBOTNIM POPOŁUDNIEM Zygmunt Ramian, spawacz Pafawagu, postanowił uczcić dobre zakończenie tygodnia pracy, w ciągu którego wykonywał nowe i dość skomplikowane łączenia na platformach węglarek. Wraz z dwoma kolegami udał się do zakładowego kiosku, w którym – ku świętemu oburzeniu gazet piętnujących alkoholizm w miejscach pracy – można było o dowolnej porze dnia kupić wódkę, a na przegryzkę zamówić śledzia lub nawet, raz w tygodniu, kawałek gotowanego boczku na specjalny talon pracowniczy. To było przywilejem wyłącznie pracowników zakładu i spotykało się wobec tego z oburzeniem i zawiścią osób z zewnątrz, które boczek widywały na swym stole zwykle dwa razy do roku – przy obu świątecznych okazjach.

Akurat tego pięknego słonecznego dnia serwowano boczek w zakładowych kioskach Pafawagu i Zygmunt Ramian od kilku godzin nieustannie o nim myślał. Kiedy dzwon oznajmił fajrant, spawacz stanął wraz z kolegami w długiej kolejce i zabijał głód nikotyną, ściskając w dłoni menażkę i z pewną obawą spoglądając na kocioł, z którego wydzielano na talony cudownie pachnący specjał. W końcu otrzymał ćwiartkę czystej wódki, bułkę i boczek. Z dzikim apetytem zabrał się do jedzenia. Po przełknięciu kilku kęsów zobaczył dwóch mężczyzn w płaszczach i w kapeluszach, którzy poprzedzani przez zakładowego strażnika zmierzali najwyraźniej w jego stronę. To po mnie ubowcy – pomyślał – to przez tę lewą papę, którą kupiłem na dach domu.

Patrząc na nich, napychał sobie boczkiem usta i żołądek. Na zapas.

Ramian miał rację i jednocześnie nie miał racji. Tak, ubowcy przyszli go zaaresztować. Ale wcale nie z powodu papy.

***

W RESTAURACJI POD JEDYNKĄ serwowano najlepsze we Wrocławiu flaczki. Czesław Mucha tę właśnie potrawę szczególnie uwielbiał. Ten wysoki i mocno zbudowany strażak z pobliskiej komendy straży pożarnej na Ołbińskiej zakończył właśnie dwudziestoczterogodzinną służbę, w czasie której kilkakrotnie wyjeżdżał do pożarów. Najbardziej irytowały go pożary piwniczne, zaprószane przez pijaków i szabrowników. Ci ludzie, upojeni bimbrem, rzucali niedopalone pety byle gdzie z przekleństwem na ustach: „A niech szlag trafi tę szwabską zarazę!”. Nazywali tak wszelkie mienie poniemieckie, w tym domy i kamienice, choćby nie mieszkał tam już żaden Niemiec. Ludzie ci byli zmorą strażaków, podobnie jak szczury, które uciekając hordami przed dymem, rzucały się na funkcjonariuszy w panice i niejednego z nich boleśnie pokąsały.

Czesław Mucha takie emocjonujące chwile odreagowywał przy talerzu flaków lwowskich albo przy kotlecie mielonym z buraczkami na ciepło. Tych smacznych potraw nigdy tu nie brakowało, ponieważ – jak twierdzili jedni – szef restauracji miał dobre kontakty towarzyskie z kierownikami skupu żywca wieprzowego albo – jak chcieli sensaci – był bardzo wysoko ustosunkowany, a do jego dobrych znajomych należał sam Józef Cyrankiewicz.

Pana Czesława Muchę, który wpadał Pod Jedynkę jak po ogień i nigdy się tu dłużej nie zasiedział, nie interesowały ani proweniencja jedzenia, ani towarzystwo wypełniające knajpę.

Gdyby tego feralnego dnia bardziej zainteresował się bywalcami lokalu, być może uniknąłby ich twardych pięści; gdyby zwrócił baczniejszą uwagę na kelnera, być może dostrzegłby, jak wymienia on znaczące spojrzenia z ponurymi typami o wyglądzie nożowników; gdyby nie zjadł dzisiaj

podwójnej porcji flaczków, być może byłby mniej ociężały i obroniłby się przed napastnikami, którzy zaatakowali go po wyjściu z knajpy i wpakowali do dwukołowego wózka.

Niestety – kapral pożarnictwa Czesław Mucha nie zauważył tego wszystkiego, ponieważ flaczki po lwowsku z bułką tartą były tak pyszne, że nic innego się nie liczyło i cały świat wokół niego nie istniał.

***

ZBIGNIEW TARGOŃSKI CO PIĄTEK kupował kostki z dorsza i z błękitka w sklepie rybnym Gdynia na ulicy Stalina 105. Ten buchalter z przedsiębiorstwa budowlanego Odbudowa odwiedzał ów sklep nie z powodu namiętności do rybnych dań, którą chciała wrocławianom zaszczepić nachalna propaganda, nadaremnie próbując w ten sposób ukryć bolesny niedostatek mięsa na rynku. Magister Targoński był nieczuły na reklamę – w Gdyni bowiem kupował przy ladzie mrożone ryby, za którymi nie przepadał, a spod lady – węgierskie wino, które kochał.

W piątkowe wieczory siadał on z kieliszkiem wina w swym jednopokojowym kawalerskim mieszkaniu na Szczęśliwej i czytał w kółko te same francuskie powieści, które zdołał ocalić z rodzinnego dworku, spalonego na Podolu przez Sowietów.

Tego piątku nie udało mu się ani wypić wina, ani kontemplować dalszych losów pięknej Cosette z *Les Misérables* Victora Hugo. Kiedy wychodził z Gdyni, otoczyło go trzech wyrostków. Jeden z nich wyrwał mu torbę z zakupami, drugi pchnął go na nieotynkowany mur kamienicy, a trzeci zrzucił mu z głowy kapelusz i kastetem pozbawił go przytomności.

Wszyscy trzej mężczyźni, i spawacz, i strażak, i księgowy, mieli dwie cechy wspólne – byli wysocy i całkiem łysi. Jako tacy, stali się ofiarami krucjaty rozpętanej przez pułkownika Placyda Brzozowskiego. Zlecił on bowiem – i bezpiece, i wrocławskim bandytom – dostarczanie mu do domu

na Zalesiu wysokich łysych mężczyzn w średnim wieku. Od tego momentu żaden wrocławski łysielec nie mógł się czuć bezpieczny. Na szczęście po powrocie Lusi do domu, trzy dni po jej porwaniu, rysopis porywacza został znacznie bardziej sprecyzowany. Dziewczynka opisała bowiem swego ciemiężyciela jako człowieka o zrośniętych nad nosem brwiach. I w ten oto sposób Zygmunt Ramian, Czesław Mucha i Zbigniew Targoński stali się obiektami zainteresowania łowców nagród. Wszyscy oni mieli nieszczęście mieć gęste brwi zrośnięte nad nosem.

VIII

– MA ON ZROŚNIĘTE BRWI. Tak jak ty – powiedział do Popielskiego ksiądz Józef Blicharski.

Obaj – i prawdziwy duchowny, i przebieraniec – stali nad brzegiem Odry na tyłach Pałacu Arcybiskupiego i patrzyli w ciemny nurt rzeki, którą płynęły barki, łódki i wszelkiego rodzaju śmieci.

Ksiądz doktór Jan Blicharski, sekretarz infułata Milika do spraw duszpasterstwa repatriantów zza Buga, spojrzał z troską w oczy swojego gimnazjalnego przyjaciela i po raz nie wiadomo który już dzisiaj zastanowił się, czy wygolenie brwi w miejscu ich zetknięcia zwróciłoby czyjąkolwiek uwagę.

Złączone brwi Popielskiego występowały we wszystkich listach gończych, jakie gestapo rozesłało za nim w powiecie jarosławskim, gdzie Edward przez prawie dwa lata, od momentu wybuchu wojny aż do ataku Niemców na Sowiety, kierował małym wywiadem przygranicznym.

Ta cecha rozpoznawcza przez trzy lata wymieniana była z nienawiścią przez Ukraińców, których Popielski okrutnie i zdecydowanie karał za mordy na ludności polskiej wokół Lwowa, i trafiła ona w końcu w roku 1944 do akt NKWD i UB, a dla tych to instytucyj Popielski stał się poszukiwanym numer jeden.

To na złączone brwi porucznika Edwarda Cyklopa Popielskiego, zastępcy kapitana AK Mariana Irki Gołębiewskiego, patrzyli z niedowierzaniem przedstawiciele OUN Jurij Szejk Łapatyńskyj i Sergiusz Hrab Martyniuk, kiedy w maju 1945 roku w Rudzie Różanieckiej podpisywali się pod polsko-ukraińskim zawieszeniem broni i deklarowali wspólną walkę przeciwko NKWD i UB. Ukraińcy nie mogli wtedy

uwierzyć, że znienawidzony przez nich łyssy Lach, który puszczał z dymem ich wsie, staje się teraz sojusznikiem. Ten trudny sojusz był jednak zaskakująco trwały i poskutkował wspólnym triumfalnym najazdem na Hrubieszów w maju 1946 roku, który wywiadowczo został przygotowany właśnie przez Cyklopa.

Przed oczami księdza Blicharskiego przesuwała się teraz cała historia życia przyjaciela od chwili, kiedy równo pięćdziesiąt lat temu spotkali się – jako dziesięcioletni chłopcy w swych świeżo uszytych mundurkach – na mszy inaugurującej rok szkolny 1896 w cesarsko-królewskim gimnazjum wyższym w Stanisławowie, aż do momentu kiedy za zgodą infułata Milika wymyślił Popielskiemu fałszywą tożsamość i przyodział go w sutannę.

– Powinienem je ogolić, Jasiu? – Popielski dotknął swych brwi i wyciągnął w stronę przyjaciela papierośnicę. – Nie są to wprawdzie przedwojenne egipskie, ale... Ujdą w tłoku... Kupiłem na szaberplacu.

– Tak. A ponadto nie możesz wychodzić stąd bez sutanny. – Blicharski zaciągnął się z przyjemnością papierosem. – Bo jeszcze jakiś bandyta przypatrzy się tobie i któregoś dnia zaczai się na ciebie gdzieś w bramie ze swoimi kamratami. To, co teraz powiem, będzie egoistyczne... Wiem, bardzo egoistyczne...

Umilkł. Popielski spojrzał ze wstrętem na rzekę, którą płynęły napuchnięte zwłoki kobiety.

– Ta rzeka – mruknął. – To rzeka trupów, rzeka Hadesu.

– Było kilka tych rzek piekielnych. – Blicharski uśmiechnął się do szkolnych wspomnień. – Pamiętasz jeszcze, Edziu, ich nazwy? Chyba coś takiego było w *Eneidzie*, prawda?

Popielski wskazał papierosem nadodrzański bulwar pomiędzy mostem linowym a pozostałościami mostu Lessinga. Z ruin wykwitały słupy dymu, które strzelały w niebo na wysokość topól rosnących nad rzeką.

– Jeśli to miasto jest piekłem, to rzeka, która tu płynie, to rzeka ognia i dymu... Flegeton. – Popielski zdusił papierosa czubkiem starannie wypastowanego buta. – Zostawiliśmy za sobą Pełtew, lwowski Styks, i trafiliśmy tutaj... Same piekielne rzeki... Ale przerwałeś... Co jest niby egoistyczne?

– Krążą słuchy, że biedne dziecko było przez porywacza hańbione i czymś torturowane, parzone... Brzozowski podwoił nagrodę. Za gwałciciela daje cztery tysiące dolarów... – Odetchnął, jakby ta suma była odtąd ciężkim kamieniem na jego piersi. – W mieście trwa łapanka na łysych mężczyzn w średnim wieku ze zrośniętymi nad czołem brwiami...

– W średnim wieku, Jasiu. – Popielski się uśmiechnął. – Na mężczyzn w średnim wieku, a ja mam sześćdziesiąt lat...

– Myślisz, że jakieś opryszki będą ci zaglądały w metrykę? – oburzył się ksiądz Blicharski. – Wiesz, co będzie, jeśli zostaniesz złapany po cywilnemu przez jakąś bandę? Zaprowadzą cię do Brzozowskiego. A wtedy on zajrzy do zbioru listów gończych. I to będzie twój koniec... A potem, to jest właśnie mój egoistyczny punkt widzenia, nastąpi koniec mój i infułata... Zapłacimy za pomoc tobie udzieloną! – Ksiądz Blicharski miał zgrzeszyć teraz przeciwko drugiemu przykazaniu dekalogu. – Na miłość boską! Ogolić brwi i nie wychodzić bez sutanny!

Popielski się zamyślił.

– Chyba że ja sam złapię gwałciciela – powiedział powoli – i wymienię go na Lodzię... Ale sam nie dam rady, ktoś musi mi pomóc... Wiesz, o kim mówię, Jasiu?

– Wiem. Już go znalazłem. – Ksiądz Blicharski patrzył na dymy z ruin pełzające na bulwarze. – On jutro do ciebie przyjdzie.

IX

KOŚCIÓŁEK POD WEZWANIEM ŚWIĘTEGO IDZIEGO był oczkiem w głowie władz polskich – zarówno państwowych, jak i duchownych. Te pierwsze nakazały stłuc i zerwać z niego barokowe tynki i ornamenty, by dokopać się do romańskich, średniowiecznych, a więc polsko-piastowskich warstw, i na jego przykładzie pokazać, że we Wrocławiu „kamienie mówią po polsku”, dla tych drugich – był jedynym miejscem na Ostrowie Tumskim, gdzie można było od razu po kapitulacji Festung Breslau nieść okolicznym wiernym duszpasterską posługę. W jego ciemnym, chłodnym wnętrzu modlili się polscy wygnańcy z Kresów, zwani eufemistycznie repatriantami, i Niemcy, których jeszcze stąd nie wygnano – każdy w swoim języku, każdy w swojej intencji, a każdy nadaremnie. Ci pierwsi wciąż się łudzili, że powrócą do swej dawnej ojczyzny, ci drudzy – że w niej pozostaną. Wszyscy chcieli swe modły wznosić z czystym sercem i sumieniem, toteż służono im tutaj posługą spowiedzi – Niemców spowiadali franciszkanie ze zniszczonej katedry, a Polaków głównie księża przesiedleńcy.

Edward Popielski udawał jednego z nich. Wszedł do kościoła, przeżegnał się z twarzą zwróconą ku tabernakulum, po czym udał się do małego konfesjonału – jednego z dwóch stojących w załamaniach muru przed nawą główną.

Usiadł w nim i przyglądał się uważnie penitentowi, który się do niego zbliżał. W półmroku jego twarz przypominała maskę. Był to krępy, krzepki mężczyzna o zaczesanych do góry siwiejących włosach i ociężałych ruchach. Kiedy ukląkł, konfesjonał aż się lekko zatrząsł. Oblicze przybyłego z daleka skojarzyło się Popielskiemu z maską, a teraz z bliska ta

asocjacja była oczywista. Miał on bowiem na twarzy czarną jedwabną maskę, która sięgała do nosa, a więc nie mogła ukryć szerokiego szczerego uśmiechu. Popielski też się roześmiał cicho przez kratkę spowiedniczą.

– Uff, dobrze, że się nie spóźniłeś, Ebi – powiedział po niemiecku. – Jeszcze musiałbym naprawdę kogoś wyspowiadać! Co ty masz za maskę na twarzy? Na starość zamieniasz się w Zorro?

– Mam blizny – szepnął penitent. – Płonąca papa i rozpalone dachówki nie są dobrym okładem na cerę. A bombardowanie nie przypomina wizyty w gabinecie piękności.

Po tej wymianie zdań ktoś inny na miejscu Popielskiego poczułby się zakłopotany, przeprosiłby rozmówcę za swój nie najlepszy żart, poprosiłby o wybaczenie szczeniackiego wica. Tak pewnie zachowałby się ktoś, kto swego rozmówcę zna pobieżnie i nie jest do końca pewien jego reakcyj. Fałszywy ksiądz znał się jednak z zamaskowanym Zorro bardzo dobrze. Byli najbliższymi przyjaciółmi, choć spotkali się tylko dwukrotnie – we Lwowie dziewięć i siedem lat wcześniej. Nie była to zatem przyjaźń długoletnia, ale najintensywniejsza z możliwych. Razem przeżyli coś, co wiąże policjantów i mężczyzn na całe życie – wspólne śledztwo, wspólne niebezpieczeństwo, wspólne kochanki i wspólne morderstwo. Eberhard Mock, niegdyś dyrektor kryminalny wrocławskiego prezydium policji, później kapitan Abwehry i Edward Popielski, polski policjant, niegdyś komisarz urzędu śledczego lwowskiej komendy wojewódzkiej, później porucznik AK – ci obaj miłośnicy szantażu, łaciny i damskich wdzięków w roku 1937 prowadzili we Lwowie wspólne śledztwo w głośnej sprawie Minotaura – potwora, który jak jego mityczny pierwowzór mordował dziewice i częściowo je pożerał. Podczas tego właśnie dochodzenia wypili bruderszaft, wymienili się kochankami w kolejowej salonce, a dwa lata później w podziemnych korytarzach nad Pełtwią wspólnie uwolnili świat od

gada. Jednego i drugiego przeorała wojna. Żona Mocka Karen zginęła gdzieś w Festung Breslau – nie wiadomo, czy przygnieciona jej gruzami, czy zagwałcona na śmierć przez pijanych i przeżartych syfilisem Kałmuków. Dwuletni wnuczek Popielskiego Jerzyk zaginął przed samą wojną, a chorą umysłowo córkę Ritę zabili w wieku lat dwudziestu jeden rodacy Mocka, wielbiciele czystej i zdrowej psychicznie rasy, którzy w roku 1941 doprowadzali do porządku, czyli oczyszczali z obłąkanych, klinikę psychiatryczną na lwowskim Kulparkowie. Przyjaciele, którzy tyle razem i tyle osobno przeżyli i których poddano najokrutniejszym próbom, nie muszą wokół siebie tańczyć uprzejmych kontredansów, nie muszą mówić do siebie „och, jakże mi przykro” ani „przepraszam, nie chciałem cię urazić!”. Milczenie im wystarcza za gładkie słowa, spojrzenie – za wyrazy współczucia.

– Od kiedy jesteś księdzem, bracie? – Mock się uśmiechnął.

– Od czasu, gdy na wschodzie Polski – szeptał mu przez kratkę Popielski – w małym Hrubieszowie zalazłem za skórę tym, którzy i ciebie, i mnie najchętniej by dziś utopili w łyżce wody. A ty? Powiedz, mój stary, gdzie mieszkasz i jak się kryjesz przed NKWD? Przecież twoje blizny i twoja maska to, mówiąc wprost, niechybny znak rozpoznawczy. A to równa się wyrokowi śmierci albo podróży na Sybir!

– Ten znak rozpoznawczy wypalono mi na gębie w Hamburgu jesienią czterdziestego czwartego. – Mock również szeptał. – Potem długo leczyłem oparzenia w szpitalu w Dreźnie, zanim wróciłem do służby. A potem to już wojna się skończyła i austriacki feldfebel poszedł do piekła. Nie zdążono więc wpisać mojego znaku szczególnego do wrocławskich akt Abwehry, które wpadły w ręce NKWD. Żaden z dawnych wrocławskich złodziei i bandytów, którym udało się przeżyć wojnę, nie zna mojej pooranej mordy. Żyję na razie dość bezpiecznie w piwnicy mojego dawnego domu w Książu

Małym i rzadko zapuszczam się do centrum miasta. Mam kontakt tylko z kilkoma ludźmi, w tym z niemieckim księdzem z mojej parafii. To on pośredniczy w naszym osobliwym spotkaniu po latach. Doprawdy Kościół ma lepszy wywiad niż cała tysiącletnia Rzesza! Potrafi dojść do każdego. Szkoda, że nie zostałem księdzem... To zawód wprost stworzony dla mnie. Pójdę chyba do klasztoru, kiedy się ujawnię...

– Wcześniej trafisz tam, gdzie jest bardzo zimno.

– Nie. Raczej do tajnych służb nowego niemieckiego demokratycznego państwa... Wiesz, jakie tam mają wzięcie dawni oficerowie Abwehry?

Umilkli. Popielski rozejrzał się po kościele. Nie wzbudzali żadnego zainteresowania grupy kobiet, które odmawiały różaniec.

– A ty, Eduardzie. – Przerwał milczenie Mock. – Jak ty żyjesz i co tu zamierzasz robić? Spowiadać i odprawiać msze w tym księżym przebraniu?

– Jak żyję? Otóż żyję w poczuciu winy – sapnął Popielski. – Bo tajna policja polityczna, takie polsko-sowieckie gestapo, torturuje Lodzię... Chce od niej wyrwać informacje o mnie...

– Panna Leokadia – mruknął Mock. – To wspaniała, dystyngowana kobieta, choć nigdy mnie nie lubiła... Ona zna twoją nową tożsamość?

– Tak, sama pomogła mi ją uzyskać, kontaktując mnie z moim dawnym kolegą, księdzem, który jest wysoko postawionym urzędnikiem u nowego infułata. Lodzia nie piśnie o mnie słowa, choć w ostatnim grypsie napisała, że już dłużej nie wytrzyma... Ale ja ją znam. Nie wyda mnie. Aż ją zamęczą na śmierć...

Popielski obrócił się do Mocka tak gwałtownie, że aż zatrzeszczał konfesjonał.

– Ebi, muszę ją stamtąd wyciągnąć! Pomożesz mi?

– Ufasz szwabowi?

Popielski spojrzał mu głęboko w oczy. Ujrzał tam lekką ironię i ponurą pewność, silne zapewnienie i cyniczne rozbawienie.

– Słyszałeś o porwaniu córki szefa dzisiejszego wrocławskiego gestapo, Placyda Brzozowskiego?

– Mam jeszcze uszy i oczy w tym mieście. Wiem, że porywacz oddał mu dziecko, ale chyba pohańbione, bo Brzozowski – Mock z trudem wymówił to nazwisko – podwoił nagrodę za porywacza i domniemanego gwałciciela. Za żywego płaci cztery tysiące dolarów. Cały Wrocław szuka łysego mężczyzny ze zrośniętymi brwiami, cały Wrocław chce zdobyć fortunę! A najgorsze jest to, że o ile dobrze widzę przez te kratki konfesjonału, rysopis gwałciciela to twój rysopis, Eduardzie!

– Z dwóch powodów chcę go dorwać. – Popielski z niepokojem spojrzał na starszego pana, który ustawił się w kolejce do jego konfesjonału. – Chcę, po pierwsze, wymienić go na Leokadię, po drugie, bezpiecznie chodzić po ulicach. Pomożesz mi? Sam powiedziałeś, że masz jeszcze oczy i uszy w tym mieście.

– Pomogę – powiedział powoli Mock. – Ale trudno ścigać, kiedy samemu się jest ściganym. Ja prędzej czy później się ujawnię, ale ty za ten twój Hru... bie... szów... Dobrze wypowiadam tę nazwę? Możesz trafić gdzieś dalej niż na Syberię...

– Ebi, ja wiem, kim jest ten skurwysyn, który gwałci dziewczynki i rozsypuje kwiaty. Spotkałem go trzynaście lat temu we Lwowie... Musimy go tylko przyprowadzić Brzozowskiemu... Trafimy do niego dzięki najlepszemu wywiadowi w tym mieście. Kieruje nim mój ksiądz, który zlokalizował nawet twoją pieczarę na przedmieściu.

– Kim jest ten gwałciciel? – zapytał Mock.

– Wyłysiał albo wygolił swój łeb. Upodobnił się do mnie... Nie wiem, dlaczego to zrobił, ale wiem, dlaczego gwałci dziewczynki i w jakich

okolicznościach to robi. Posypuje je kwiatami... Opowiem ci, ale to długa historia... Masz trochę czasu? Ostrzegam: rozbolą cię kolana od klęczenia...

– Nie szkodzi. – Mock podrapał się pod maską. – Należy mi się długa pokuta. Trochę w życiu nagrzeszyłem.

Popielski wychylił się z konfesjonału i zawołał do starszego pana, który modlił się i dokonywał rachunku sumienia.

– Spowiedź tej duszy zbłąkanej – wskazał palcem na klęczącego Mocka – bardzo długo potrwa! Idź poszukaj sobie, synu, innego spowiednika, ja nie mogę ci dziś służyć sakramentem penitencji.

– We Lwowie było wtedy piękne lato... – usłyszał Mock po chwili, gdy mocno przycisnął ucho do kratki konfesjonału.

KOKYTOS

Cocytus, des Stygis Sohn (...) *einer von denen Höllischen Flüssen* (...). *So soll er* (...) *übrigens seinen Namen von κωκόω, fleo oder lugeo haben, weil die Sterbenden meistens ihrer im Leben begangenen Sünden halber im Tode zu klagen anfangen, oder auch, weil solche klagen, dass sie alles, was ihnen lieb ist, verlassen müssen* (...).

Kokytos, syn Styksu (...) jedna z rzek piekielnych (...). Jej miano bierze się jakoby od [greckiego słowa] *κωκόω*, [co po łacinie znaczy] fleo [płaczę] lub lugeo [smucę się] – czyli stąd, że umierający w momencie śmierci zaczynają opłakiwać swoje grzechy, popełnione za życia, albo także stąd, że wtedy ludzie płaczą, kiedy muszą zostawić wszystko, co jest im drogie (...).

Cocytus, [w:] Johann Heinrich Zedler, *Grosses vollständiges Universal-Lexicon* (1732–1754)

X

WE LWOWIE W 1933 ROKU rzeczywiście było wtedy piękne lato. Mimo porannej pory w niedzielę 11 czerwca, w czasie kulminacji lwowskich Targów Wschodnich, w parku Stryjskim panował ogromny tłok. Ludzie cisnęli się wokół Pałacu Sztuki, gdzie pod gołym niebem maestro Leon Boruński, laureat Konkursu Chopinowskiego w poprzednim roku, grał utwory lżejszego kalibru, które pisał dla warszawskich teatrzyków rewiowych. Spragnieni mocnych trunków pielgrzymowali do pawilonu Baczewskiego i wypijając gratisowy kieliszek, podziwiali słynną wieżę, zbudowaną z butelek wypełnionych różnokolorowymi likierami. Przemysłowcy chowali się przed letnim upałem w pawilonie rolniczym i rozmawiali o interesach przy limonadzie i wodzie mineralnej Naftusia. Rodziny, pokrzepione duchowo na porannych mszach, podziwiały prezentowane w tymże pawilonie wystawy kwiatów. Kobiety płynęły między kioskami w przewiewnych letnich galanteriach, dzieci opędzały się od os, które zuchwale atakowały ich lody i cukrowe waty, a mężczyźni zsuwali kapelusze na tył głowy i rozglądali się za „piwem z kotwiczką”, jak powszechnie nazywano pienisty produkt Browarów Lwowskich. Policjanci mundurowi i szpicle, pomni terrorystycznych ataków ukraińskich i komunistycznych prowokacyj w latach minionych, przyglądali się młodym, rozkrzyczanym ludziom i intuicyjnie wypatrywali wśród nich groźnych radykałów. Ten cały tłum zwiedzających kłębił się i gęstniał pośród kiosków i pawilonów wystawienniczych, natomiast rozrzedzał – w dalej położonych parkowych alejkach.

Tam właśnie spacerowały panna Ludwika Wiszniewska i trzymająca się jej kurczowo za rękę czternastoletnia Elżunia Hanasówna. Guwernantka

i jej wychowanica schodziły ostrożnie wąską i dość stromą ścieżką w kierunku stawu i pomnika Kilińskiego. Nie czyniły tego jednak zbyt zdecydowanie, ponieważ pannie Wiszniewskiej nie zależało specjalnie na spacerze, lecz raczej na znalezieniu wolnego miejsca na ławce. Chciała gdzieś usiąść i spokojnie jeszcze raz przeczytać liścik, który otrzymała dziś rano od młodego pana hrabiego Leszka Misińskiego. Ten skrawek bladożółtego papieru, opatrzony herbem, nasączony wodą kolońską i zapisany pięknym kaligraficznym pismem, budził w pannie gwałtowne uczucia, których nie potrafiła ani nazwać, ani zrozumieć. Chciała to jednak uczynić i zastanowić się głębiej nad reakcjami swego serca i nad propozycjami, obietnicami i komplementami hrabiego. Musiała zatem znaleźć wolną ławkę w jakimś ustronnym miejscu, gdzie żadne ciekawskie czy zazdrosne oko nie usiłowałoby odczytać poetyckich miłosnych wyznań. A tu nie dość, że wszystkie ławki były zajęte, to jeszcze Elżunia pragnęła przyciągnąć całą jej uwagę – wisiała u jej ramienia jak kula, blokowała jej ruchy i kierowała ku niej swe niedowidzące oczy zasłonięte ciemnymi okularami.

Dziewczynka nosiła te okulary zgodnie z zaleceniami lekarzy, którzy obawiali się porażenia chorych oczu przez światło słoneczne, oraz zgodnie z wolą własnego ojca Zygmunta Hanasa, który – w ogromnym swym bólu – nie mógł patrzeć na białawą błonę zasnuwającą gałki oczne córki. Nie mógł też znieść jej grubych nóg, na których wspierał się pękaty tułów, kaczkowatego chodu i śliny zbierającej się w kącikach ust dziecka. Nie był w stanie wciąż wysłuchiwać pisków i krzyków Elżuni, którymi ta porozumiewała się ze światem – czyli z nim, z nieobecną duchem matką oraz z panną Wiszniewską i opiekującym się dzieckiem psychiatrą wielkiej sławy doktorem Gustawem Lewickim. Hanas upychał zatem swą jedyną

córkę tym właśnie osobom i hojnie im płacił za spokój ducha swój i swej żony.

Tego czerwcowego dnia panna Ludwika Wiszniewska, dyplomowana absolwentka lwowskiego pedagogium, była bliska zrezygnowania z wysokich honorariów wypłacanych jej co tydzień przez bogatego rentiera. Nic bowiem tak dzisiaj jej nie denerwowało jak właśnie obowiązki wychowawcze. Musiała przecież wykazać się cierpliwością, podczas gdy ta mała, tłusta utrapienica wiesza się na niej i depcze ją po butach, musiała być wyrozumiała, a tutaj żar leje się z nieba i nie można nawet gdzie usiąść, by w samotności delektować się pięknymi słówkami pana hrabiego i nie narażać się na ciekawskie spojrzenia!

Nagle guwernantka odetchnęła. Ujrzała bowiem ławkę spełniającą oba jej pragnienia – stała w miejscu zacienionym i chroniłaby pannę od prawie tropikalnego żaru, a zajęta była przez jakiegoś drzemiącego staruszka, którego wyznania miłosne hrabiego Misińskiego zainteresowałyby pewnie równie mocno jak najnowsze doniesienia o damskich toczkach i woalkach.

Panna Wiszniewska usiadła na brzeżku ławki i uśmiechnęła się do staruszka, który uchylił kapelusza i pogrążył się w dalszej drzemce. Guwernantka wyjęła z torebki pachnący liścik oraz szylkretowy wachlarz, którym natychmiast osuszyła kilka kropelek potu, jakie pojawiły się na jej przypudrowanym nosku. Po chwili świat przestał dla niej istnieć.

Elżunia Hanasówna usiadła najpierw koło opiekunki, lecz widząc jej całkowitą obojętność, przysunęła się bliżej drzemiącego staruszka. Ta nieudana próba wywołania zazdrości u panny Ludwiki skłoniła dziewczynkę do bardziej zdecydowanych działań. Sięgnęła dłonią po skrawek papieru, który guwernantka czytała z lekkim uśmiechem.

Ten gest wywołał zdecydowaną reakcję. Elżunia usłyszała szelest wachlarza i poczuła na dłoni piekące uderzenie. Pisnęła głośno, budząc

staruszka i nie wywołując żadnej dodatkowej reakcji u opiekunki. Zacisnęła usta śmiertelnie obrażona i ruszyła w stronę krzaków rosnących za ławką. Przebiła się przez nie i znalazła się na małej polance. Usiadła ciężko, waląc się jak kloc w rzadką trawę i brudząc murawą sukienkę, a ziemią trzewiki. Zza jej ciemnych okularów wypłynęła gruba łza.

Wyschła ona prawie natychmiast, a usta dziewczynki rozsunęły się w uśmiechu, ukazując piękne białe zęby. Powodem tej zmiany nastroju była cicha melodia *Tango milonga* wygwizdywana przez jakąś kobietę, która zatrzymała się na skraju polany. Melodii tej Elżunia często z przyjemnością słuchała. Wstała z ziemi i ruszyła w kierunku źródła pięknych dźwięków.

Swymi zasłoniętymi błoną oczami ujrzała zarys szczupłej sylwetki, zaś jej biała miękka dłoń poczuła dotyk kobiecych wypielęgnowanych palców. Dziewczynka zapiszczała z radości i pozwoliła się poprowadzić parkowymi alejkami.

Panna Ludwika Wiszniewska wciąż czytała list i zachwycała się kunsztownymi frazami, których młody hrabia Leszek Misiński w swym ograniczonym umyśle nigdy by nie skonstruował. Całowała litery wyrazów, których nigdy był do niej nie napisał.

XI

W PONIEDZIAŁKOWE PRZEDPOŁUDNIE ZYGMUNT HANAS wyglądał na chorego. Jego nieogolone policzki, sztywne przetłuszczone włosy i napuchnięte oczy mogłyby świadczyć o chorobie poalkoholowej. Taki wniosek wyciągnęliby jednak tylko ludzie znający Hanasa pobieżnie lub nie znający go wcale. Przywódcy lwowskiego świata podziemnego – Mosze Kiczałes oraz Wiktor Żelazny – znali jednak Otrieza bardzo dobrze i wiedzieli, że nie tyka on alkoholu od pewnego feralnego dnia 1919 roku, kiedy to w nadgranicznej Dzisnej po udanej wyprawie szmuglerskiej dał się po pijanemu uwieść pięknej agentce policji. Ta chwila słabości kosztowała go później dwa trudne lata spędzone w owianym ponurą sławą więzieniu na Świętym Krzyżu. Od momentu zakończenia kary, którą sprowokowało pijaństwo i dzika żądza, Hanas stał się abstynentem i pozostał nim do dziś. Święty Krzyż nie zmienił go jednak ani na jotę w innej kwestii – okrutnikiem był takim samym jak wcześniej, a swym wrogom i przed wpadką w Dzisnej, i po wyjściu z więzienia wymierzał sprawiedliwość w jeden sposób – osobiście odstrzeliwał im głowy ulubioną bronią, od której nazwy uzyskał swój przydomek Otriez.

Ta strzelba z obciętą lufą i kolbą wisiała teraz nad jego biurkiem. Kojarzyła mu się jednak nie tyle z jego dzisiejszym wcieleniem lwowskiego zamożnego rentiera, ile raczej symbolizowała dwa lata jego życia w okolicach nadgranicznych, kiedy to on, król przemytników, wódkę pił szklankami, kobiety brał do łóżka po dwie naraz, a swym otriezem szerzył strach w szeregach konkurencji, która zresztą bardzo szybko topniała. Powodem jego *prosperity* było nie tylko wrodzone okrucieństwo tego bękarta polskiego przestępcy i uciekiniera, który uwiódł białoruską

chłopkę i rozpłynął się we mgle nad Dźwiną, lecz przede wszystkim nowatorstwo i racjonalizacja przemytu.

Pomysł tego procederu powstał w głowie Zygmunta Hanasa w roku 1915, kiedy przebywał w Gorlicach i w Krośnie jako kapral 3. Armii Rosyjskiej. Zanim pod dowództwem generała Radka Dmitrijewa wziął udział w słynnej, stoczonej na tamtych terenach bitwie, poznał miejscowe zwyczaje – zwłaszcza kulinarne i alkoholowe. Najbardziej zaintrygował go dziwny płyn, który tamtejsi robotnicy naftowi nader chętnie wlewali do herbaty. Specyfik ów, dostarczany im przez przemytników zza niemieckiej granicy, wprowadzał ich w błogi nastrój, nierzadko usypiał. Był to eter.

Dwa lata życia Hanasa, pomiędzy dezercją w roku 1917 a wpadką w listopadzie 1919, były najintensywniejsze w całej jego dwunastoletniej „handlowej” karierze. Wtedy to bowiem zapoznał chłopów ze swoich litewskich stron rodzinnych z eterem jako cudownym lekiem na wszystko. Zainteresowanie rosło gwałtownie, niezależnie od wydarzeń politycznych i zmieniających się granic. Chłopi nasączali cukier eterem, wdychali go, a nawet wlewali sobie do uszu. Ze zdobyciem towaru Hanas nie miał większego problemu ani w ostatnim roku istnienia caratu, ani w czasach polskiej młodej niepodległości – wszelkie jego ilości, jako środka do czyszczenia ubrań, i wtedy, i później dostarczała jego fikcyjnej pralni wileńska reprezentacja warszawskiej firmy chemicznej Elit. Kiedy jego rodzinne tereny w roku 1918 rozcięła polsko-sowiecka granica, nielegalny handel zamienił się w przemyt. Najpierw Hanas szmuglował towar sam, po miesiącu zatrudniał już dziesięciu ludzi, po trzech miesiącach – prawie pół setki. Sam dawał świetlany przykład swym pracownikom. Rzucał się tam, gdzie było najniebezpieczniej. Wyniesiona z domu wraz z wiarą prawosławną znajomość ojczystego białoruskiego i szkolnego rosyjskiego, spryt, okrucieństwo i szaleńcza odwaga, odziedziczone po ojcu, a nade

wszystko szczęście – to razem sprawiło, że Hanas został okrzyknięty królem eteru, a jego tryb życia stał się charakterystyczny dla takich jak on królewiąt pogranicza. Śmiał się szyderczo w oczy strażnikom, a zdrajców i szpicli albo naznaczał, obcinając im nosy lub uszy, albo eliminował, utrącając im głowy swym otriezem. Po powrocie z wypraw wraz ze swoimi kompanami ryczał w knajpach zawadiackie pieśni, walił z obrzyna po sufitach, pożerał półgęski, mażąc sobie gębę majerankiem, pił wódkę cysternami, a w nocy „bujał się na cycach”, by użyć popularnego w tamtych stronach określenia. Swych ogromnych zarobków i tak nie zdołał przetrwonić.

To wszystko trwało do listopada 1919 roku, kiedy to jedna z towarzyszek jego nocnych akrobacyj Antonina Chajdecka okazała się sieksotką, czyli siekretną sotrudnicą, jak z rosyjska nazywano policyjne agentki. Niektórzy twierdzili, że to niesprawiedliwe pomówienie i że Chajdecka wydała go z czystej zazdrości, kiedy ten potraktował ją jak zwykłą dziwkę. Ten pogląd też nie był całkiem bezpodstawny. O ile ich córka Elżunia, urodzona przez Antoninę po dziewięciu miesiącach od owej listopadowej nocy, wcale nie była owocem miłości, o tyle inne, zdecydowane i ryzykowne działania Chajdeckiej w interesie Hanasa mogły świadczyć o natychmiastowej, jednonocnej erupcji jej silnego uczucia. Odwróciła się ona bowiem od swoich dotychczasowych policyjnych mocodawców i ocaliła przed konfiskatą cały Hanasowy majątek, oddając go na przechowanie pewnemu zaufanemu paserowi z Baranowicz. Ciągana po komisariatach w zaawansowanej ciąży nie puściła pary z ust na temat kosztowności i dolarów przemytnika zdeponowanych u pasera. Nic jej nie złamało – ani bicie w brzuch, ani krótkotrwały areszt, ani obwieszczenie wszem wobec, że jest policyjną konfidentką. Część majątku wydała na adwokatów, którzy założywszy apelację, sprawnie oczyścili Zygmunta

Hanasa z zarzutu morderstw, choć nie z zarzutu kontrabandy. Dzięki temu zamiast zasądzonych wcześniej dwudziestu lat więzienia wyszedł już po dwóch.

Otriez wielkodusznie to docenił. Ku zdziwieniu, zgorszeniu czy nawet pogardzie wielu – nie tylko nie zemścił się na Antoninie za denuncjację, lecz nawet uznał jej działania za podyktowane najwyższym uczuciem. Nagrodził ją za uratowanie mu majątku i dziesięciokrotne zredukowanie kary najwyższym uznaniem, o jakim mogły tylko marzyć jego dawne i lojalne kochanki – pojął ją za żonę i powrócił z nią do dawnej profesji na pogranicze.

W roku 1921 przeniósł się na południe i zmienił bazę wypadową z Dzisnej na podolskie Podwołoczyska. Stamtąd kierował akcjami przemytniczymi na jeszcze większą skalę. Znacznie poszerzył asortyment szmuglowanych towarów, zmienił sposób działania i zatrudnił nowych zwiadowców. Do eteru doszły też inne towary – takie jak zacier, kokaina, siemię lniane, papierosy, skóry futrzane, sól i sacharyna. Zamiast przemycać towary jak dotychczas – na bandaż, czyli w dwóch workach, jednym na brzuchu, drugim na plecach, ukrytych pod ubraniami szmuglerów – zastosował system paczek i listów przewozowych na okaziciela. Jego zwiadowcami były nierzadko miejscowe dzieci, które swoją pracę traktowały jako świetną zabawę. Osobiście ryzykował bardzo rzadko, ponieważ nie chciał po raz drugi trafić na osławiony Święty Krzyż i osamotnić żony i córeczki Elżuni, którą kochał tym mocniej, im wyraźniej z dnia na dzień się okazywało, że dziecko jest odmieńcem.

Mijały lata, jego fortuna rosła, jego działalność doprowadzała do wściekłości polską i sowiecką straż graniczną, a jego najzajadlejszych wrogów wciąż nieodmiennie znajdowano w rowach i w lasach z odstrzelonymi głowami. W ciągu dziesięciu lat po wyjściu z więzienia

dawny król eteru stał się królem Podola, letkiewicz – przykładnym małżonkiem i gorliwym bywalcem cerkwi, a opój i birbant – zaprzysięgłym abstynentem.

Jego opuchnięte oczy, nieogolone policzki oraz sztywne włosy i cuchnący oddech nie były zatem tego czerwcowego przedpołudnia smutną pozostałością alkoholowej nocy, lecz skutkiem jakiegoś stanu ducha, o którym jego goście nie mieli najmniejszego pojęcia. Ani Mosze Kiczałes, ani Wiktor Żelazny nie wiedzieli, dlaczego tego dnia wczesnym rankiem zostali zaproszeni do okazałej nowiutkiej willi Hanasa na lwowskiej Pohulance. Siedzieli więc w milczeniu i czekali na wyjaśnienia – leniwie rozparci w fotelach, z lampkami francuskiego koniaku w dłoniach, z papierosami Egipskimi w zębach. Rozglądali się po gabinecie ozdobionym pasiastymi tapetami i obrazami przedstawiającymi jakieś melancholijne płaskie pejzaże.

Zygmunt Hanas wyszedł zza biurka i zajął trzeci, wolny fotel.

– Przyjaciele – rozpoczął mocnym dudniącym głosem. – Znamy się z czasów, kiedy jeszcze działałem w Podwołoczyskach. Od początku kontaktowaliście mnie we Lwowi i w Tarnopoli z kim trzeba... Mogłem dzięki wam upłynniać towar... Jesteśmy jedną ferajną! – Zapadła cisza. Hanas powoli przenosił wzrok z jednego na drugiego gościa. Zaproszeni wydawali dźwięki nieartykułowane: siorbali koniak i wypuszczali dym z sykiem. – Kiedy skończyłem z interesami na Podolu – Hanas potarł palcem zaczerwienione oczy – przyjęliście mnie tu we Lwowi jak swojego. Nie mieszam się tutaj do waszych spraw, żyję sobie spokojnie z kapitaliku, mieszkam z rodziną w tej chacie, czasami tylko wam się do czegoś przydam... Mój otriez – wskazał ręką obrzyn wiszący nad biurkiem – czasami wypali w jakiejś waszej sprawie... Pomagamy sobie nawzajem. Ale nie wszyscy tutaj traktują mnie dobrze. Spotkała mnie straszna krzywda.

Moja córka Elżunia została porwana wczoraj rano na Targach Wschodnich. Dotąd nie ma żądania okupu... Ani słowa... Dobrze, że moja żona wyjechała do Truskawca... – Kiczałes poruszył się niespokojnie, a jego dłoń z papierosem zawisła pomiędzy popielniczką a ustami. Żelazny jednym haustem dopił koniak. – Elżunia ma czternaście lat. – Hanas podał każdemu z nich plik odbitek zdjęcia córki. – A tak wygląda... Jest dotknięta na umyśle... Ufa każdemu, do każdego się przytuli... Dobre dziecko...

Oczy Hanasa zaszkliły się, a ich obwódki poczerwieniały. Żelazny wbrew swemu nazwisku współczuł mu tak mocno, że też poczuł pieczenie w oczach. Kiczałes również nie pozostał obojętny. Blizna przecinająca jego twarz zmieniła kolor z białego na czerwony.

– U nas u Lwowi taki wstyd? – Kiczałes aż poderwał się z miejsca. – Taka poruta? Ja rozumim, szpiclowi dać w mazak, nieposłusznyj dziuni w oczy nożem zaświecić, ja rozumim, mokru roboty nadać, ali żeby dziewuni porywać!? Temu bydlakowi to ja bym...

– Gały wyłupać! – uzupełnił spokojnie Żelazny. – Ślipia mu powoli wyłupywać! Łyżeczku!

– Elżunia była z guwernantką. – Twarz Hanasa pobladła. – A ta kurwa zamiast patrzeć na dziecko, czytała liściki miłosne! Ale, ale... Już zajął się nią mój Maleńkij Otriez. Przez nidzieli nie będzie mogła chodzić!

Żelazny i Kiczałes milczeli, lecz ich oczy krążyły nerwowo po gabinecie Hanasa. Każdy z nich myślał o czymś innym. Polski herszt lwowskich złodziei, kastetowców i nożowników wpatrywał się w potężną bibliotekę, w której brak książek zamaskowany był zielonymi zasłonkami z frędzlami. Skojarzyły mu się one z konfesjonałem, a ten z kolei z donoszeniem. Natomiast żydowski król prostytutek i nielegalnego hazardu przyglądał się huculskiemu kilimowi wiszącemu nad szezlongiem i zastanawiał się, czy może z góry zażądać zapłaty za przysługę.

– Pomożemy ci, Zyga. – Żelazny założył nogę na nogę i przyjrzał się swoim nienagannie skrojonym pumpom. – Ali jest kłopot ze szpiclami... Ni ma już pewnych ludzi... Wiesz, o czym bałakam, Moniek?

– Jo – odparł zapytany Kiczałes. – Ostatniu kiepsku si dzieji w Lembryku. To już nie ty czasy, kudy nasi szpicli byli tylku nasi...

– Teraz to nie wisz, Zyga – Żelazny wszedł mu w słowo – czy jakiś twój kumpan nie jest chatrakiem i zaraz nie pokatula si du pulicajów...

– Kupię granicę. – Hanas przenosił wzrok z jednego na drugiego.

Mosze Kiczałes poprawił kamizelkę i strzepał niewidoczny pyłek z rękawów białego garnituru w ledwo widoczne paski. Żelazny obracał dokoła palca sygnet ze znakiem herbowym. Obaj wiedzieli, co oznacza w języku przemytników „kupić granicę”.

– Ni przekupisz wszystkich szpicli – powiedział Żyd. – Jest beserer bagrif. Teraz nikt nie wi o porwaniu, tylku guwernant dziunia, oder? Gdzie ona?

Hanas wskazał palcem podłogę.

– Git. – Kiczałes poprawił biały kapelusz typu panama. – I tak ma być! Nikt ani słowa! Szum wort! Bo inaczy złapi go pulicja i...

– I wtedy nie wyłupisz mu gał, Zyga – wtrącił się Żelazny. – Bu un trafi du furdygarni...

– Niedoczekanie – syknął Hanas i znów wskazał na podłogę. – Gad do piwnicy! Tam się z nim policzę!

– A teraz moje ideje – oznajmił Kiczałes. – Jest pulicaj, którego kiedyś wyrzucili i który bendzi curik przyjęty. Choć un teraz priwatdetektyw, to un zna dobrzy i pulicajów, i chojraków. My z Witkim poszukamy gada, który porwał ci córkę, ali ten pulicaj też si przyda... Gad może być zbuczeńcem, a gdzie stoi o zbuczeńcach? Na Łąckiegu, w archiwie. Ali archiw policyjski

to sezam i nie każdy tam wejdzi... A Łyssy na pewno tam wejdzi, chociaż un teraz ni pulicaj!

– Wybulę, ile mu trzeba – zapewnił Hanas. – Jak on się nazywa?

– Popielski – powiedział Żelazny. – Edward Popielski. Mieszka na Kraszewskiego 3.

Zygmunt Hanas wstał, podszedł do biurka i zadzwonił na służbę. Niemal natychmiast wszedł do gabinetu stary służący, popychając barek na kółkach. Gospodarz zerwał nakrochmaloną serwetę z kryształowych salaterek, w których piętrzył się czarny kawior i kiszone ogórki. Z wysmukłej karafki nalał wódki do trzech szklanek.

– Nie piłem ćmagi od czternastu lat – powiedział uroczyście. – W furdygarni na Świętym Krzyżu obiecałem sobie, że wypiję na weselu córuni. – Zatrzęsła mu się broda, lecz szybko się opanował. – Ale teraz nie wesele! Teraz na pohybel gada!

– Gadu na pohybel! – przytaknęli goście i przechylili głowy.

Hanas podszedł do obu nich i uroczyście pocałował. Dopiero wtedy zakąsili wódkę ogórkiem i kawiorem.

Mosze Kiczałes postanowił nie burzyć podniosłego nastroju natychmiastowym i grubiańskim domaganiem się zapłaty w naturze. Tą zapłatą miał być człowiek Hanasa Tosiek, ze względu ma wzrost zwany przez swojego pana Małym Otriezem. Idealnie nadawał się on do wykonania zlecenia, które Kiczałes, król lwowskiego nierządu, spełniający wszelkie ludzkie fantazje i pragnienia, otrzymał kilka dni temu. Otóż pewien totumfacki jakiejś zamożnej rodziny chciał zamówić dla swojej pani, starszej już damy, kochanka, którego określił jako niespożytego ogiera. To była idealna charakterystyka Małego Obrzyna.

Mosze Kiczałes przełknął bułkę z kawiorem i milczał. Poprosić teraz o Tośka – to byłaby gruba nieprzyzwoitość. Nie burzył zatem patetycznej

atmosfery, w której ogłoszono krucjatę przeciwko porywaczowi.

Mały Obrzyn i tak nie mógłby oddać mu teraz przysługi. Był bardzo zajęty. Jego pan zatrudnił go do ważnego zadania. Trzy piętra pod nimi, w piwnicy, guwernantka Ludwika Wiszniewska otrzymywała zapłatę za swoją nieuwagę. Tosiek właśnie rozpinał rozporek.

XII

W POKOJU PANOWAŁ PÓŁMROK. Przez zasunięte ciężkie, kosmate zasłony nie wpadał nawet najlżejszy odblask z ruchliwej ulicy – żaden snop światła samochodowych reflektorów, żaden błysk elektrycznego wyładowania na tramwajowym pantografie. O ruchu ulicznym na zewnątrz domu donosiły jedynie dźwięki – czy to warkot silnika, czy dzwonek tramwaju, czy nieoczekiwany klakson. Przedzierały się one przez zamknięte okno i przez cicho szemrzące radio, w którym nadawano koncert życzeń.

Słyszała te dźwięki bardzo wyraźnie – jej czułe uszy wyostrzały je i potęgowały. Były dla niej jak weselne dzwony.

Jej powonienie było równie wrażliwe. Czuła zapach cygar w aksamitnym obiciu leżanki, o które z przyjemnością pocierała swój policzek, czuła oszałamiającą woń kwiatów zewsząd dochodzącą do jej nozdrzy. Była ona gęsta, lecz lekka, intensywna, lecz niedusząca.

Słabe oczy dziewczynki niewiele jednak widziały – jedynie migocący poblask światełka, które wolno przesuwało się wokół niej. Okrążało ją i otaczało przyjaznym blaskiem – jak dobry duszek, jak Anioł Stróż, o którym opowiadała jej często panna Ludwika. Uśmiechnęła się. Było jej błogo. Swoje szczęście wyraziła cichym piśnięciem.

Mężczyzna podpalił zapałką knoty trzech świec. Płomienie oświetlały szezlong, na którym leżała dziewczynka, i kilka doniczek z białymi kwiatami, rozsiewającymi ów odurzający zapach. Mężczyzna nalał sobie wina do kieliszka i wypił je drobnymi łykami. Patrzył na dziecko, które się lekko uśmiechało. Prowokuje mnie – myślał – chce, żebym już teraz to zrobił.

Podniecenie go rozsadzało. Nie dbał o to. Potrafił je tłumić, panował nad nim wszechwładnie, umiał dawać mu upust w małych dawkach. Tak zrobi właśnie teraz. Mała dawka rozkoszy. Dotknie i rozchyli jej kwiat, a potem szybko skupi się na czymś innym.

Pogłaskał dłonią jej łydkę, a potem – jak wytrawny pianista – zagrał palcami na jej udzie. Przełknął ślinę, kiedy dotknął celu. A potem nagle i świadomie się zdekoncentrował. Tak, panował nad swoją ekscytacją. Nie miał już siedemnastu lat, kiedy to po raz pierwszy poczuł zapach tych kwiatów i oszalały z żądzy, w ich dusznym zapachu stał się mężczyzną.

Spojrzał na srebrną tacę stojącą na stoliku, policzył okruchy ciasta leżące na talerzyku, kurze kości dokładnie ogryzione, kawałki galaretki przyczepione do srebrnego widelczyka. Nie mieć zapasu jedzenia dla dziewcząt – to było równoznaczne z pozbawieniem się przyjemności z obcowania z nimi. Głodne są nieufne. A nieufne są nieprzyjazne i zbuntowane. On zaś pragnął tylko dziewcząt łagodnych i bezgranicznie mu oddanych.

Sięgnął po jajko tkwiące w srebrnym kieliszku, którego brzegi oplecione były ornamentem w kształcie bluszczu. Roztłukł jajko, po czym oddzielił żółtko od białka, a to ostatnie wlał na czysty głęboki talerz.

Delikatnie zrolował jej sukienkę. Odsłonił łydki w podkolanówkach i uda w grubych cielistych pończochach. Pozwolił sobie na lekkie drgawki podniecenia. Mógł w każdej chwili je powstrzymać. Panował niepodzielnie nad swoimi reakcjami.

Zanurzył prawą dłoń w śliskim, galaretowatym białku jajka. Okrężnymi ruchami rozprowadzał je po ciele dziewczynki, ślizgał się palcami po jej brzuchu i udach, aż dotarł do centrum – do reaktora ciepła, do ogniska siły. I obudził w niej moc.

Wstał i pocałował ją czule. To było preludium, jutro nastąpi koncert.

Pisnęła cicho. Było jej błogo. Zasnęła.

XIII

PONIEDZIAŁKI WYWOŁYWAŁY U PERSONELU CUKIERNI Franciszka Iwanejki na Kilińskiego mieszane uczucia. Z jednej strony kelnerki cieszyły się ze względnego spokoju, jaki przyjemnie kontrastował z hałasem i zamieszaniem panującymi tu w niedziele, z drugiej jednak – poniedziałkowi klienci wydawali się jacyś przygaszeni, niewyspani, drażliwi, a nade wszystko nadzwyczaj wstrzemięźliwi w napiwkach.

Tej ostatniej cechy żadna z pracujących tu kelnerek nie mogłaby jednak przypisać łysemu panu w średnim wieku siedzącemu pod oknem w towarzystwie pięknej panienki. Ten dobrze zbudowany, elegancki mężczyzna w ciemnych binoklach na złamanym nosie hojny i uprzejmy był zawsze. Często też bywał uwodzicielski, lecz jego awanse były kulturalne, żartobliwe, niezobowiązujące. Połączenie tych wszystkich cech sprawiało, że był tutaj klientem ulubionym. Kelnerki znały jego dobry gust w doborze garderoby, zapach wykwintnej wody kolońskiej i aromat papierosów w błękitnej prążkowanej bibułce. Znały też jego rozkapryszoną córkę Ritę, ową piękną panienkę, którą – o czym dobrze wiedziały – wychowywał wraz ze swoją kuzynką. Był osobistością dobrze znaną lwowianom i wzbudzającą u nich sprzeczne uczucia. Dewotki pokazywały go palcami, szepcząc, że ten wdowiec żyje w grzechu z własną kuzynką, pensjonarki chichotały nerwowo, opowiadając niestworzone historie o jego pijaństwach i wszetecznych wybrykach, bandyci i złodzieje go przeklinali, a kurtyzany, mistrzowie krawieccy i właściciele sklepów z męską galanterią – wprost uwielbiali. Był bohaterem plotek i sensacyjnych doniesień prasowych, a jego podobizna nie raz i nie dwa pojawiała się w prasie bulwarowej. Jego

łysa głowa i ciemne binokle były przedmiotem drwin i kawałów batiarskich, a nawet tematem miejskiej ballady. Jego obecny status i stanowisko były zagadkowe dla wielu, lecz nie dla kelnerek mistrza Iwanejki. One doskonale wiedziały, że komisarz Edward Popielski, zwany Łyssy, jest byłym policjantem, głośnym bohaterem niedawnego procesu w sprawie makabrycznych zabójstw kobiet, a obecnie prywatnym detektywem czekającym na ponowne przyjęcie do pracy w policji. Wiedziały też, że ich klient cierpi na jakąś chorobę wymagającą noszenia w dzień ochronnych ciemnych binokli i że najbardziej ze wszystkiego lubi jabłka w kremie obficie posypane cynamonem, a kobiety, w których nadzwyczajnie gustuje, są smukłe, ciemnowłose i w żydowskim typie urody.

Kelnerki były bystrymi obserwatorkami, bo Popielski – chociaż krępował się obecnością córki i tylko nią usiłował się interesować – teraz nie potrafił ukryć zachłannych spojrzeń rzucanych na ich nową koleżankę, młodą Żydówkę pracującą tu od niedawna.

Po chwili jednak przestał się nią zajmować i całą jego uwagę przyciągnął zażywny jegomość z małym wąsikiem, rozglądający się dokoła. Pikolak odebrał od niego melonik i laseczkę i wskazał mu stolik Popielskiego. Pan roześmiał się głośno, podszedł we wskazane miejsce, stanął i otworzył ramiona. Popielski wyskoczył z krzesła, uściskał go serdecznie i wycałował.

– Wilek, ty byku krasy – zawołał. – Wreszcie w domu!

W ramionach przybyłego zniknęła Rita.

– Jak panienka wyrosła przez te dwa miesiące! – krzyknął gość. – I jak wypiękniała! No nie mogę, jak aktoreczka! Już nie Shirley Temple, a prawie jak Mary Astor! A ja coś mam dla panienki! – Sięgnął do kieszeni

i wyjął z niej małą laleczkę. – Oto drobiazg od wujka Wilhelma! Zuzia w stroju warszawskim... Kupiona na Starówce naszej stolicy!

Usiedli na giętych krzesłach, które niebezpiecznie zatrzeszczały pod ich ciężarem. Rita, onieśmielona nieco, przyglądała się zabawce. Po chwili odłożyła ją i znudzona dmuchała przez słomkę, aż lemoniada buzowała w szklance.

– Dobrze wyglądasz, Wilek. – Popielski poszedł w ślady córki i zjadł kawałek strudla. – Schudłeś, bracie, wyprzystojniałeś... Jeść ci nie dawali w tej Warszawie czy co? No mów o kursie! Z jakim wynikiem go ukończyłeś?

– Z dobrym. – Aspirant Wilhelm Zaremba zrobił zamówienie na migi: pokazał kelnerce strudel i kawę przyjaciela, a potem dotknął palcem swej piersi. – Strzelanie poszło mi najlepiej, najgorzej zajęcia sportowe... Ale posłuchaj, Edziu, o kursie to my sobie jeszcze pogadamy kiedyś przy wódeczce... A teraz to ja mam do ciebie ważną sprawę... Dlatego tak dzwoniłem... Że już dziś... Że na gwałt...

– Tatusiu, czy ja mogę jeszcze coś zjeść? Może andruty z nugatem...

Popielski wyjął chusteczkę z monogramem wyszytym przez Leokadię i wytarł usta dziewczynce. Spojrzał w jej wielkie zielone oczy, które odziedziczyła po swej zmarłej matce, i pocałował ją w policzek. Tą czułością chciał szybko ukryć wzruszenie – ba, nawet łzy! – które napływały mu do oczu, ilekroć dłużej patrzył na Ritę. Całkiem niedawno zrozumiał, dlaczego ogarnia go to gwałtowne wzruszenie, i znalazł w końcu określenie tego przemożnego uczucia. Był to żal i wyrzuty sumienia z powodu niechęci, jaką darzył to dziecko od razu po urodzeniu, kiedy obwiniał je za śmierć żony przy porodzie. Teraz jednak odrzucał to wyjaśnienie. Powodów wzruszenia szukał w miłości ojcowskiej i nie poddawał tego uczucia żadnej głębszej analizie.

– Oczywiście, kochanie. – Popielski podniósł rękę, rozglądając się za kelnerką. – Już zamawiamy andruty i lemoniadę...

– Sprawa jest bardzo ważna i straszna – powiedział Zaremba łamaną szkolną niemczyzną. – Myślałem, że przyjdziesz sam... Ale dla Rity to lepiej jest mówić po niemiecku... Ale mówię tak, jak nas przed trzydziestu laty uczył stary Marynowski, nie tak jak ty po Uniwersytecie Wiedeńskim... Ale trudno, to dla Rity...

– „Ze względu na Ritę”, to chyba chciałeś powiedzieć, czyż nie tak? – zapytał go Popielski kunsztowną akademicką niemczyzną.

– Chyba tak... No właśnie...

– Wybacz, bracie, że cię poprawiam, to taki nawyk belfra, byłego korepetytora... Poproszę andruty z nugatem dla mojej córki. – Spojrzał na ładną kelnerkę, zmieszał się i powtórzył prośbę po polsku.

– Dzisiaj idę ja do pracy po raz pierwszy od dwóch miesięcy, po kursie warszawskim, witam się z kolegami, siadam za biurkiem, myślę ja sobie „spokojnie, grzecznie zacznę dzień po dwóch miesiącach nieobecności, tego przeklętego kursu; jakaś herbatka, jakieś śniadanko u mamy Teliczkowej, kawałek szynki z ćwikłą, może małe piwko”, a tu taki nawał roboty, że... – Zaremba odprowadził wzrokiem zgrabną kelnerkę i znów przeszedł na koślawy niemiecki. – O drugiej po południu dźwięczy telefon. Znasz nazwisko Zygmunt Hanas?

– Nie.

– To były szmugler, bogacz. Mieszka od roku we Lwowie na Pohulance...

– Ten Hanas telefonował?

– Nie, jego służący, mój szpicel zresztą. W południe było zebranie na domu Hanasa... Byli Mosze Kiczałes i Wiktor Żelazny... Jego córka... Jego córka...

– Czyja? Żelaznego?

– Nie! Hanasa! No wiesz ona... Z nią coś złego...

– Co? Zamordowana? Zgwałcona?

– Nie! Brakuje mi słowa – prychnął Zaremba po polsku.

– Tatusiu – Rita pociągnęła ojca za rękaw marynarki – a może ja bym tak naleśnika z kremem i czekoladą zjadła, nie andruta? Tylko niech tatuś nic nie mówi cioci Lodzi! Ona zawsze się gniewa, gdy jemy naleśniki, bo drogie!

– Dobrze, kochanie. – Popielski założył dziewczynce pukiel włosów za ucho. – Idź do tej miłej pani – wskazał głową młodą kelnerkę – i zmień zamówienie! Zamiast andrutów naleśniki z kremem i czekoladą. No, nie wstydź się! Jesteś już dużą panienką!

Rita niepewnie popatrzyła to na ojca, to na „wujka Wilhelma”, po czym wstała i podeszła do lady, przy której kelnerka odbierała ciastka zamówione przez dwóch eleganckich akademików siedzących nieopodal.

– Porwana – Zaremba mówił szybko po polsku, chcąc wykorzystać nieobecność Rity. – Czternastoletnia Elżbieta Hanasówna została porwana wczoraj rano na Targach Wschodnich. Jest prawie ślepa i dotknięta na umyśle. Nie mówi. Dzisiaj odbyło się zebranie w domu Hanasa. Żelazny i Kiczałes obiecali znaleźć dziewczynkę i złapać porywacza. Nie dostarczą go policji. Ukarać go ma sam Hanas.

Rita podeszła do stolika i usiadła bez słowa.

– No i co? – zwrócił się do niej ojciec. – Będziesz miała naleśniki?

Dziewczynka kiwnęła głową. Była lekko nadąsana – jak zawsze, gdy tatuś poświęcał jej za mało uwagi.

– A teraz już tylko po polsku – sapnął Zaremba. – Hanas chce zatrudnić do poszukiwań ciebie, bo masz znajomości w policji i możesz je wykorzystać, na przykład przeszukując archiwum. Jesteś dla niego

bezcenny. Prywatny detektyw i ekspolicjant jednocześnie. Zaoferuje ci pewnie bardzo wysokie honorarium. On wariuje na punkcie swojej córki. Tylko to chciałem ci powiedzieć...

– Na pewno, Wiluś? Jest chyba jeszcze coś, czego nie mówiłeś, a co ja wyraźnie słyszę między słowami. To brzmi mniej więcej tak: „Ostrzegam cię, stary, nie bierz tej sprawy! Nie mieszaj się w kompetencje policji, jeśli chcesz być do niej na powrót przyjęty”. Dobrze rozumiem to twoje tajemne przesłanie?

– Dobrze, Edziu. – Zaremba przerwał na chwilę, czekając, aż kelnerka uprzątnie ze stolika puste talerzyki i zastawi go pełnymi. – Wprawdzie żadne prawo nie zabrania obywatelowi szukać swych zaginionych bliskich na własną rękę lub poprzez prywatnego detektywa bez informowania o tym policji, ale...

– A żaden prywatny detektyw nie łamie prawa... – Popielski wszedł mu w słowo – jeśli...

– Tatusiu – jęknęła Rita. – Pani mi jednak dała andruty, a ja chciałam naleśnika...

– Słoneczko – Zaremba zwrócił się słodko do dziewczynki – daj no, wujek Wilhelm zje twoje andruty, a tatuś zamówi ci zaraz naleśniki... No co mówiłeś, Edziu? Że prywatny detektyw nie łamie prawa...

– Rzeczywiście, nie łamie prawa, jeśli przyjmie takie zlecenie – uzupełnił Popielski i pogłaskał córkę po głowie. – Dlaczego więc mnie ostrzegasz? Przecież wszystko jest zgodne z prawem!

– Ale łamie prawo, jeśli nie odda porywacza w ręce policji, tylko pozwoli zleceniodawcy wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę. A poza tym Hanasem interesują się polityczni – dodał Zaremba po niemiecku. – To dlatego! Oto wszystko. A teraz idę do klopa.

– Gdzieś ty poznał ten potoczny zwrot? – zapytał po polsku Popielski i roześmiał się wesoło. – *Aufs Klo gehen!* Tego nas nie uczył stary Marynowski! Poczekaj, odprowadzę cię. Tatuś zaraz wróci, kochanie. – Odwrócił się do córki. – Z twoimi naleśnikami!

Obaj mężczyźni ruszyli przez środek cukierni. Popielski objął Zarembę za ramiona i nachylił się do jego ucha.

– Dziękuję ci, stary, za ostrzeżenie. Nie wezmę tej sprawy!

– Hanasa ma na oku „dwójka”. – Zaremba zatrzymał się i spojrzał poważnie w oczy przyjaciela. – Chyba dla nich pracował na pograniczu... Nie tykaj tej sprawy, Edziu! Hanas śmierdzi z daleka...

– Gdybyś zapytał Ritę – Popielski uśmiechnął się – czego najbardziej nie lubię, odpowiedziałaby: „żaru, brudu i smrodu”. Tak, smrodu, mój stary!

– Też coś mi o tym wiadomo – roześmiał się Zaremba. – A tak przy okazji, to dobrze poćwiczyć czasami obcy język i zjeść przy tym coś słodkiego... Już wiem – westchnął – czemu przyszedłeś tu z Ritą. Wkrótce znów znajdziesz się w policji i nie będziesz miał dla niej czasu...

– Rita ma trzynaście lat. – Popielski zerknął na córkę, która nuciła coś cicho. – Jest nadal bardzo dziecinna, jeszcze chce ze mną przestawać, ale już niedługo odsunie się ode mnie. Będzie mi wyświadczać wielką łaskę, kiedy zgodzi się pójść ze mną na ciastko.

– Widzę, że nie tylko Hanas wariuje na punkcie swej córki! – powiedział Zaremba i udał się do toalety.

XIV

PANOWAŁ NAD SWOIM PODNIECENIEM, które ogarniało go przez poniedziałkową noc i przez cały wtorek. Nie rozładowywał go w żaden sposób. Nie zawsze było ono zresztą jednakowo silne. Opadało, gdy dziewczynka nudziła się i dokazywała. Poskramiał wtedy jej kaprysy smacznymi potrawami i słodyczami. Obserwując jej ogromny apetyt, popadał w samozachwyt.

Kupił dziś nowe kwiaty i porozstawiał je wokół. Musiały być świeże i pachnące – jak w noc poślubną, jak wtedy, gdy stał się mężczyzną.

Pożądliwość wzmagała się w nim, gdy dziewczynka kładła się na szezlongu i przeciągała lubieżnie jak tłusta, ciepła kotka. Odganiał jednak wtedy erotyczne demony i czekał cierpliwie na wtorkowy wieczór, kiedy miała go spotkać nagroda za jego zdyscyplinowanie i za dobroć, jaką obdarzał swą małą przyjaciółkę.

Chwila wynagrodzenia właśnie nadchodziła. Klęczał nad Elżunią i posypywał ją kwiatami. Ich odurzający zapach wprawiał go w silne rozdygotanie. Nie martwił się nim, teraz już nie musiał się niczym ograniczać. Teraz mógł porzucić wszelkie zahamowania, które go krępowały i czyniły nieszczęśliwym, bez konsekwencyj mógł powrócić do tych dni i nocy, kiedy w wieku siedemnastu lat szczytował w odorze tropikalnych kwiatów.

Zrzucił z siebie szlafrok. Lewą dłonią sypnął obficie kwiatami. Białe płatki pokryły jego zdobycz pachnącym kobiercem. Prawą dłonią sięgnął do czarki z tłustym, śliskim kurzym białkiem. Rozsmarował je po upragnionym przez siebie miejscu jej ciała. Patrzył z góry na jej rozlane policzki i na zamglone bielmem oczy. Środek nasenny dobrze już działał.

Odtwarzając sobie później przebieg tego wieczoru, pamiętał tylko tyle, że spełnienie, owszem, nastąpiło, ale przeszyło go zaraz piekącym bólem. Przybrał on w jego wyobraźni wymierną postać – stał się ołowianą kulą, która wbrew fizyce zaczęła się wznosić i po kilku sekundach wtargnęła do jego gardzieli i zablokowała przełyk. Zaczął się dusić i przestał panować nad swoim ciałem i nad jego funkcjami. Z szezlonga runął na podłogę i pogrążył się w ciemności.

Ocknął się po dłuższej chwili. Było mu zimno. Jego skórę pokrywały czerwone wypryski. Chwiejąc się na nogach, szybko się ubrał, po czym zabrał się do wycierania z parkietu różnych wydzielin, które, gdy był nieprzytomny, wytłoczył z jego ciała nagły i niespodziewany atak duszności. Czuł wściekłość. Bolesny i krótki orgazm był upokorzeniem niegodnym wcześniejszych długotrwałych przygotowań. Skurcze przeszyły go rozkoszą, by po chwili zrzucić go na podłogę, która wnet stała się brudna i cuchnąca od jego moczu.

Z wściekłością podniósł śpiącą bezwładną dziewczynę
i wsunął jej głowę w sukienkę. Na jej ręce naciągnął rękawy, na nogi – barchanowe majtki. Z wielkim trudem i po kilku nieudanych próbach zarzucił ją sobie na ramię i wyszedł z pokoju. W korytarzu jej ciężar rzucał go od ściany do ściany. Po chwili znalazł się na podwórku. Wgramolił się z dziewczynką do auta, zapalił silnik i ruszył przez uśpione miasto.

Wjechał w boczną, ciemną i okrężną ulicę. Jechał ostrożnie i niezbyt szybko, by nie wzbudzić podejrzeń ewentualnych policyjnych patroli lustrujących te okolice, gdzie o tej porze roku nocowały różne indywidua spod ciemnej gwiazdy. Jechał tak kwadrans, najpierw gładko, a potem podskakując na srogich wybojach. W końcu dotarł do jednej z głównych lwowskich ulic, z której skręcił w lewo – w stronę cmentarza. Zwolnił przy jego bramie, gdzie słusznie spodziewał się strażników. Za koszarami skręcił

z kolei w prawo i po dłuższej chwili dostrzegł w mdłym świetle latarni cel swojej podróży. Wyłączył reflektory, zakręcił energicznie kierownicą w lewo, zgasił silnik i cicho wtoczył się na podjazd dla automobili, biegnący wzdłuż wysokiego muru, w którym była żelazna brama.

Wysiadł z samochodu i pootwierał wszystkie drzwi. Chciał przewietrzyć wnętrze. Nie znosił smrodu. Przez kilka minut obserwował najbliższe otoczenie – kwadratowe i ciemne okna fabryki z lewej oraz kamienicę z prawej. Pchnął bramę i wszedł na zachwaszczone podwórko przecięte kolejnym, niższym już murem, za którym stał parterowy warsztat przylegający swym krótszym bokiem do ściany wspomnianej fabryki. Tu też było cicho i spokojnie. Żadnego dźwięku, żadnych podejrzanych cieni.

Wrócił do auta, wyjął z bagażnika długi kawał liny, chwycił dziewczynkę pod pachy i pociągnął ją do bramy, potem wtargnął w krzaki i przepchnął się wraz ze swym ciężarem przez dziurę w drugim murze. Ciężko dysząc, wlazł do wnętrza warsztatu. Tam mocno związał przeguby rąk i nóg dziewczynki. Czynił to brutalnie, z zawziętością orząc jej białe miękkie ciało szorstkim sznurem. Zęby zaciskał na wargach, ostrymi paznokciami ranił wnętrza swych dłoni. Kiedy już skrępował ofiarę, wstał i patrzył na nią przez chwilę. Otarł pot z czoła i ze złością wymierzył jej mocnego kopniaka w żebra. Jęknęła, lecz się nie obudziła, podobnie jak dwaj kloszardzi nocujący w opuszczonym budynku.

Kwadrans później rozdzwonił się telefon w willi Zygmunta Hanasa. Pan domu odłożył papierosa i sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

– Zabierz swoją ślepą kurwę – usłyszał, zanim zdążył powiedzieć „hallo”. – Szopa w podwórku fabryki na Kochanowskiego 84.

XV

DOKTÓR IWAN PIDHIRNY BYŁ JEDNYM Z NAJLEPSZYCH medyków sądowych w Polsce. Ten szef Zakładu Medycyny Sądowej uniwersyteckiego Wydziału Lekarskiego był stałym współpracownikiem policji i ekspertem w zakresie patomorfologii. W ostatnich latach poszerzył swoją ogromną wiedzę medyczną i przyrodniczą o wielki obszar psychiatrii i psychologii zbrodniarzy. Ukończywszy w Berlinie odpowiednie kursa z zakresu tej nowej i niezwykłej dziedziny, Pidhirny odkrył w sobie nowe powołanie i postanowił napisać książkę o psychologii zbrodniarzy, zwłaszcza morderców i gwałcicieli. Wciąż jednak nie tylko miał zbyt mało danych, lecz również nie potrafił określić czynnika sprawczego, który popychałby ludzi do zbrodni. Nie mógł zatem zbudować teorii, ponieważ otrzymywał sprzeczne rezultaty szczegółowych badań. A prowadził je nad konkretnymi przypadkami sądowymi. Najpierw studiował akta i zeznania najokrutniejszych polskich morderców, później zaś sięgnął do historii kryminalistyki europejskiej. Po ponaddwuletnim pobycie w Paryżu i w Berlinie, co umożliwiły mu hojne stypendia rządów niemieckiego i francuskiego, a potem po półrocznych eksploracjach w Nowym Jorku, co z kolei zawdzięczał swym zamożnym ukraińskim pobratymcom, zgromadził mnóstwo danych, dzięki którym wnikał głęboko w umysły morderców i gwałcicieli, śledził ich fobie i idiosynkrazje oraz ich historie – zwykłe i niezwykłe, pełne sprzecznych doświadczeń z dzieciństwa poniżania i okrucieństwa, ale również rodzinnego ciepła i troskliwości. Pidhirny postawił ryzykowną hipotezę, iż skłonność do zbrodni jest jakimś ukrytym elementem, który zostaje odziedziczony. W środowiskach

przestępczych przechodziłby naturalnie z rodziców na dzieci, natomiast u morderców z tak zwanych dobrych domów byłby ukrytą skłonnością, która się budziła pod wpływem czynników zewnętrznych. Aby uzasadnić swoją tezę, doktór Pidhirny musiał ową wrodzoną i ukrytą skłonność, którą nazwał instynktem zbrodni, znaleźć u rodziców morderców z niepatologicznych, średnich i wyższych warstw społecznych, gdzie panowały zamożność, zgoda, miłość i ciepło. Tacy najbardziej go interesowali i według przybliżonej rachuby stanowili jedną piątą zbrodniarzy. Szukał ich wytrwale i starał się opisać i udowodnić swoją *idée fixe*, czyli zbić tę pozorną skorupę dobrych obyczajów i odsłonić wrodzony w pokoleniach pęd do mordu i wyrządzania krzywdy. Rozmawiał zatem z rodzicami i krewnymi morderców z tej właśnie kategorii. Na podstawie tych rozmów tworzył skomplikowane i bardzo precyzyjne ekspertyzy psychologiczne.

Była to praca niezwykle żmudna z wielu powodów. Po pierwsze, rozliczne i czasochłonne obowiązki akademickie oraz policyjne uniemożliwiały mu po wielekroć dotarcie do owych krewnych, po drugie, ci, odczuwając palący wstyd, rzadko kiedy mieli ochotę z nim rozmawiać, po trzecie zaś, byli to na ogół ludzie wykształceni, przebiegli i inteligentni, którzy potrafili przejrzeć jego pytania na wylot i odpowiadali na nie w sposób pokrętny lub mylący. Pidhirny nie załamywał jednak rąk, doskonalił i cyzelował swe psychologiczne kwestionariusze, aby stworzyć niezawodne pułapki na kłamstwa i zmyślenia swych rozmówców. Tych zaś usiłował na wszelkie sposoby przekonać, aby opowiadali mu rodzinne historie i charakteryzowali siebie i swych krewnych. Potem ył jak kret w tych opowieściach i jak archeolog morderstw starał się tam odkopać warstwy zawierające instynkt zbrodni. Jego istnienie wyczuwał jak pies węszący ślad, lecz ślad rozmywał się często wśród przeróżnych

okoliczności, a nierzadko tropiciel bywał zmuszany do rezygnacji ze swojego tropu. Frustracja była nieodłączną towarzyszką jego naukowego żywota.

Doktór Pidhirny wyczuł trop i dzisiaj, kiedy tego wieczoru, na specjalne i dobrze płatne zlecenie, zbadał w swym gabinecie czternastoletnią Elżbietę Hanasównę.

„Gwałciciel dziewczynki – pisał szybko w swym notatniku, kiedy służąca ubierała Elżunię – należał do wyższej warstwy społecznej, ponieważ zadbał o teatralną oprawę swego czynu (białe kwiaty). Jest to być może człowiek skrajności, ponieważ w swym czynie połączył symboliki odmienne i wykluczające się. Kolor kwiatów, symbolizujący czystość i dziewictwo, zestawił z moczem, którym obryzgał, czyli zbrukał sukienkę nieszczęsnej; białko jajka kurzego (chrześcijańskiego symbolu nowego życia) obok ran (wybroczyn? poparzeń?) na udach. Sprawca jest człowiekiem wykształconym, pochodzi z dobrej rodziny”.

Chciał pisać dalej, ale przeszkodził mu w tym Zygmunt Hanas, który wszedł bez pytania do jego gabinetu. Usiadł ciężko, dłonie oparł na blacie biurka, splótł kiełbaskowate palce i spojrzał na lekarza ołowianym wzrokiem.

– Przychodzę do pana prywatnie, doktorze – powiedział powoli. – Płacę bardzo dobrze, dorzucam jeszcze dwie stówy do tego, co mówiłem przez telefon. Ta sprawa ma nie wyjść nigdzie. I to nie jest mój warunek. To polecenie. Rozumiemy się?

Pidhirny poczuł gniew na tego prostaka, który ośmiela się kłaść na jego eleganckim biurku swe czerwone, odmrożone graby z czarnymi obwódkami paznokci, śmie korzenny zapach perfum, wydzielany przez niego samego, kazić smrodem przetrawionej wódy i cebuli, a przy tym głosem nieznoszącym sprzeciwu wydaje mu polecenia godzące w jego

najżywotniejsze interesy. Przecież gdyby zgodził się z tym ordynusem, musiałby porzucić najbardziej fascynującą sprawę, z jaką się zetknął w ostatnich latach! Hanas chce ją zatuszować, podczas gdy złapanie tego gwałciciela to warunek *sine qua non* poznania nowego interesującego przypadku! Późniejsze zaś przesłuchanie i jego samego, i jego „dobrej”, kto wie, może artystycznej, „teatralnej” rodziny, to byłoby nowe światło w labiryncie idej, w którym on sam, Pidhirny, uparcie i bezowocnie krąży!

Zapadła cisza, która szybko uspokoiła doktora. Jego bystry umysł zajął się pewnym problematem – czy do takiego prostaka jak Hanas można spróbować podejść subtelnie i psychologicznie? Czy można go przekonać argumentacją grającą niebezpiecznie na jego emocjach?

– Spróbujmy – na głos odpowiedział sobie na to pytanie i spojrzał na rozmówcę. – Szanowny panie Hanas, rozumiem pański ból... Myśli pan teraz o mnie: co on może rozumieć? Przecież to nie jego dziecko skrzywdzono. Otóż, ja naprawdę dobrze pana rozumiem, bo sam mam nieudane dziecko! – Twarz Hanasa stężała. Pidhirny przewidział taką reakcję i musiał jak najszybciej zdusić ewentualny wybuch swego rozmówcy. – A im bardziej dziecko nieudane – mówił szybko – tym bardziej je kochamy. A wie pan dlaczego? Bo jeszcze bardziej chcemy je chronić, jeszcze troskliwszą opieką otoczyć...

– Masz pan dziecko nieudane? – zapytał Hanas, zdezorientowany nieco potokiem słów lekarza.

– Tak. – Pidhirny poczuł smutek, jak zawsze gdy myślał o swoim najmłodszym synu. – Mój syn, studiujący prawo w Warszawie, wyrodził się, zmienił nazwisko i obrządek z greckokatolickiego na rzymskokatolicki. Nie chce mieć ze mną nic wspólnego. A ja takie wiązałem z nim nadzieje! Dałem mu na imię Iwan i od dziecka wychowywałem go w mojej tradycji narodowej. A ten Iwan Pidhirny junior dzisiaj nazywa się Jan Podgórny!

Drwi sobie z ukraińskich poetów i śmieje się ze mnie, starego durnia, który wciąż go kocha... Drogi panie Hanas, ja wiem, jak pana boli to, co spotkało pańską córeczkę. – Uderzył dłonią w otwarty notes. – Ale ta zbrodnia nie jest zepchnięta w niepamięć! Ona tu jest zapisana! Niech pan idzie na policję z moją ekspertyzą! Oni znajdą tego potwora! Nie może pan dopuścić, by on pozostał na wolności, nawet jeśli ceną będzie wstyd i zdeptana cnota pańskiej córki!

Hanas wstał i całe swoje ciało oparł na pięściach, które znalazły się na środku biurka. Doktór odepchnął się na obrotowym krześle. Ostatnie, czego chciałby doświadczyć, to naruszenie granic własnej aury.

– Coś powiedział, konowale?! – ryknął Hanas. – Zdeptana cnota? Że co? Że ona nie ma cnoty?!

Tego przypływu gniewu doktór Pidhirny już znieść nie mógł. Zerwał się na równe nogi.

– Nie wrzeszcz mi tutaj, chamie niemyty! – krzyknął ostro. – Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Twoja córka została zdeflorowana! Jak nie wiesz, co to znaczy, to sprawdź sobie w słowniku!

Zygmunt Hanas stał przez chwilę jak osłupiały. Nagle błyskawicznym ruchem sięgnął po notes Pidhirnego leżący na biurku. Wyrwał z niego kartki zapisane pod nagłówkiem „Przypadek Elżbiety H.”. Doktór rzucił się do telefonu i wtedy poczuł na swym policzku szorstką skórę dłoni Hanasa. Czerwony obrzmiały kułak trafił go pod oko.

Pidhirny został odrzucony od biurka i runął na szklaną gablotę pełną słojów wypełnionych poronionymi embrionami w formalinie. Szyba wytrzymała bezwładny ciężar jego ciała.

Oparł się o szafę i czuł, jak powiększa mu się opuchlizna wokół oka. Miał wrażenie, że wyłazi mu ono z oczodołu. To uczucie wywoływała – oprócz rozrastającego się guza – również czerwona dłoń Hanasa, która

miażdżyła mu gardło. Pidhirny osunął się na kolana i otworzył usta, przez które wydobył się niski, zwierzęcy charkot.

– Ani słowa już, konowale, o cnocie mojej córki! Ani słowa o całej sprawie! – syczał Hanas. – Bo inaczej ktoś w Warszawie znajdzie studenta Jana Podgórnego i połamie mu nogi!

Puścił medyka, do jednej kieszeni marynarki schował wyrwane notatki, z drugiej zaś wyjął plik pieniędzy. Rzucił go w twarz klęczącego człowieka, który trzymał się za gardło i ze świstem wciągał powietrze.

Po kilku minutach od momentu, kiedy drzwi zatrzasnęły się z hukiem, Iwan Pidhirny doszedł do siebie. Siedział za biurkiem, przeglądał rozerwany notes i ciężko dyszał. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że jego eksperyment subtelnych psychologicznych negocjacyj z agresywnym prostakiem zakończył się fiaskiem. Nie przejmował się tym zbytnio. Znał dobrze smak naukowych frustracyj.

XVI

4 STYCZNIA 1932 ROKU minister spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej Polskiej pułkownik Bronisław Pieracki zgodził się na wznowienie postępowania dyscyplinarnego przeciwko komisarzowi Edwardowi Popielskiemu z Urzędu Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej we Lwowie i powołał stosowną komisję dyscyplinarną. W roku 1933 odbyły się jej dwa posiedzenia – 12 marca i 6 czerwca. 5 września tegoż roku odbyło się trzecie i ostatnie jej posiedzenie, zakończone wydaniem orzeczenia. Otóż wspomniana „komisja w składzie: insp. Tomanowski Tadeusz (przewodniczący), podinsp. Matulewicz Józef (zastępca przewodniczącego), kpt. Fuks-Runiński Ferdynand z Wydziału Administracyjnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nadkom. Sobociński Albin (asesor komisji), kom. Cewe Antoni (asesor tejże) po rozważeniu nowych faktów, ujawnionych w tymże postępowaniu wydała orzeczenie o rehabilitacji komisarza Popielskiego Edwarda z pełną restytucją praw”. Zgodnie z orzeczeniem „pan komisarz E. Popielski może zatem podjąć swoje obowiązki w pomienionym powyżej Urzędzie Śledczym z dniem 2 listopada br.”.

W przeddzień swojego powrotu do pracy w policji Popielski, już dawno ogolony i wykąpany, siedział w swym gabinecie, jadł typowe lwowskie podśniadanie, czyli drożdżowy rogalik z powidłami, popijał go kawą ze śmietanką posypaną tartymi migdałami i czytał to pismo po raz chyba setny. Wpatrywał się w każdą pieczątkę, w każdy zawijas podpisów.

Pozytywna decyzja nie tylko gruntownie odmieniała jego życie, nie tylko pozbawiała dotychczasowego prywatnego detektywa konieczności przymilania się do różnych podejrzanych indywiduów, które go obdarzały

osobliwymi i brudnymi zleceniami, nie tylko pozwalała mu na układanie planów – ona przede wszystkim przywracała mu godność wysokiego urzędnika państwowego, a przez to dawała siłę i pewność siebie. Wracał na swoją starą drogę, na której odnosił tyle zwycięstw, zagłębiał się znów w utarte koleiny, na których ponosił też niemało porażek. Oto znów znajdzie się w znanym sobie dobrze męskim świecie, gdzie codziennością są alkohol i przestawanie z bandytami, przekleństwa, wulgarne dowcipy i śmiertelne ryzyko, wydobywanie informacyj szantażem i przesłuchania na granicy sadyzmu. Oto znów znajdzie się w pracy śmierdzącej strachem i cynizmem, gdzie za całą ozdobę świata służą uschnięte paprotki na parapetach i przebłyski cwaniactwa w pięknych oczach przesłuchiwanych kurew. Ten świat był naturalnym środowiskiem Popielskiego, jak Antajos z ziemi, tak i on czerpał z niego siłę, którą się napawał, gdy widział, że budzi strach u przestępców i zainteresowanie u kobiet.

Tego ponurego październikowego poranka miał sprawdzić, czy wciąż istnieje ten drugi, erotyczny, walor jego stanowiska. Chciał wypróbować, czy mocą swego statusu uda mu się uwieść dziennikarkę, która przeprowadzi z nim wywiad. Ten oto poranek miał być sprawdzianem jego jurności, która wraz z utratą rangi komisarza stała się mizerna i kilka razy boleśnie tego czterdziestosiedmiolatka zawiodła.

Zrzucił z siebie pidżamę i nago podszedł do stojaka, na którym już poprzedniego dnia przygotował ubranie. Wciągnął na siebie kalesony i podkoszulek z długimi rękawami, po czym obie te części bielizny spiął ze sobą guzikami. Niezbyt mocno, wszak niedługo będzie się rozbierał! Jeszcze raz sprawdził, czy brązowy krawat z żółte romby dobrze harmonizuje z ciemną wełnianą marynarką i ekscentryczną kremową koszulą. Kiwnąwszy z aprobatą głową, włożył to wszystko, mankiety spiął spinkami, poprawił pasek zegarka marki Schaffhausen, krawat pofałdował

malowniczo i przypiął brylantową spinką, gumową gruszką rozpylił wodę kolońską na byczym karku i na gładkich policzkach, po czym nasunął na oczy kapelusz, wzuł błyszczące jak lustro trzewiki i wyszedł z uśpionego mieszkania.

Zamykając drzwi i zapinając guziki paltota, słyszał niechętne czy wręcz gniewne okrzyki swojej córki, która – dopiero co przebudzona przez służącą Hannę – wyrażała dezaprobatę wobec szkolnych obowiązków, czuł zapach kawy i ciasta, oczyma wyobraźni widział, jak jego kuzynka Leokadia włącza radio i wciera pachnący krem w policzki. Odpędził od siebie te miłe i pociągające rodzinne obrazy, które go zachęcały do pozostania w domu. Oto miał przed sobą wizję erotycznej zdobyczy. Lepiej by było, gdyby wśród swych bliskich pozostał, wypił kawę z Leokadią i dziecko odprowadził do szkoły.

Zbiegł szybko po schodach. Zdecydowanym krokiem wyszedł ze swojej kamienicy na Kraszewskiego 3 i udał się w stronę uniwersytetu. W kiosku stojącym przy jego gmachu kupił „Słowo Polskie” i papierosy. Chmury, które od świtu ciążyły nad Lwowem, zostały rozdarte tu i ówdzie przez zimne i niepewne słońce. Poczerniałe kupy śniegu, zepchnięte przez łopaty dozorców na brzegi chodników i poprzecinane żółtymi strugami psiego moczu, bryliły się wstrętnie i wznosiły wysoko nad powierzchnią jezdni. Przypominały brzegi rzeki, którą zamiast wody płynęła żółtawa bryja, złożona z piasku, resztek śniegu i końskich odchodów rozjechanych przez koła wozów i automobili. Piekielna rzeka brudu. Nawet w Hadesie takiej nie było – pomyślał.

Popielski nie znosił jesienno-zimowej aury z jednego nade wszystko powodu – w porze powszechnej chlapy nie mógł utrzymać w odpowiedniej czystości swoich trzewików, do których przylepiały się plugastwa ulicy.

Tak było i teraz. Splunął gniewnie na kupę śnieżną przy banku PKO nieopodal pasażu Hausmanna i po chwili przeskoczył jezdnię ulicy Legionów, którą płynęła rzeka brudu. Na Wałach Hetmańskich zatrzymał się na chwilę przy pomniku Jana III Sobieskiego. Wznosił tam swe stopy w trzewikach, opierał je na stopniach pomnika i kawałkiem przygotowanej zawczasu w tym celu ligniny wycierał dokładnie noski butów. Spojrzał na drzewa okalające Wały Hetmańskie, na których końcu wznosił się potężny gmach Teatru Wielkiego. To tam, w garderobie swojego znajomego baletmistrza Juliusza Szaniawskiego wyznaczył spotkanie dziennikarce z „Wieku Nowego”.

– Nikt nam nie przeszkodzi – rzekł do niej wczoraj przez telefon. – W dyskretnej garderobie. Zwłaszcza o poranku. Nikogo tam nie będzie.

Zgodziła się bez wahania. Nie zapytała ani o dziwaczną porę wywiadu, ani o jeszcze osobliwsze miejsce jego przeprowadzenia. Popielski uznał to za zachętę. Był wtorek 31 października 1933 roku. O siódmej rano jurny samiec szykował się do erotycznego podboju. Lepiej by było dla niego, gdyby powściągnął tego dnia swoją żądzę.

***

KILKA DNI PÓŹNIEJ PAN MICHAŁ GŁADYSZ, listonosz z Urzędu Pocztowego numer 17, szykował się do pracy. W tę sobotę jak zawsze miał dostarczyć prenumeratorom zaabonowane przez nich gazety. Sobota różniła się jednak od innych dni powszednich tym, że do gazet codziennych dochodziły tygodniki, które dodatkowo obciążały torby listonoszy. Urzędowi numer 17 przy placu Gosiewskiego podlegały wschodnie dzielnice Lwowa, a wśród nich osiedla willowe. Gładysz najbardziej ich nie lubił. W zwykłych kamienicach swój przydział gazet i tygodników rozprowadzał o wiele szybciej, gdyż w jednej bramie mieszkało nierzadko kilku abonentów, natomiast w dzielnicach willowych

tracił mnóstwo czasu, pedałując godzinami na rozklekotanym rowerze od domu do domu, od furtki do furtki. Dobrze, że chociaż w soboty dostarczano mu gazety do domu i nie musiał chodzić po nie sam na pocztę!

Przeklinając w duchu bezduszność przełożonych, którzy nijak nie reagowali na jego prośby o nowy rower, postanowił – jak zwykle przed sobotnią pracą – umilić sobie dzień i poczytać to i owo. Przerzucił pobieżnie „Kurier Sportowy", wydął pogardliwie usta na ukraiński „Hołos Naroda", dopiero niedzielne wydanie „Wieku Nowego" przyciągnęło jego uwagę. Natrafił tam bowiem na wywiad z komisarzem Popielskim, który po kilku latach spędzonych na stanowisku prywatnego detektywa znów wracał do urzędu śledczego. Gładysz dobrze znał Łyssego, ponieważ dorabiał sobie do oficjalnej pensji państwowej pensją nieoficjalną – od wielu lat był płatnym policyjnym informatorem.

Toteż z wielką ciekawością czytał wywiad z człowiekiem, którego znał i którego się nawet trochę obawiał. Zainteresowały go zwłaszcza wątki osobiste, przez dziennikarkę poruszane z ogromną chęcią.

Pyt. Ile ma lat pańska córeczka Rita?

Odp. O, to prawdziwa pannica. Niedługo skończy trzynaście.

Pyt. Ma jakieś pozaszkolne zainteresowania? Zbiera znaczki? Jeździ na rowerze?

Odp. Uwielbia zwierzęta. Być może kupię jej małego pieska, ale najpierw musi na to zasłużyć i lepiej się uczyć.

Pyt. Czy chce być tak znana i sławna jak tatuś? Czy pan komisarz jest dla niej wzorem? Jeśli tak, to w jakim sensie?

Odp. Dużo pytań (śmiech). Nie jest wskazane, by policjant był wzorem dla dorastającej panienki. Jest natomiast taki pogląd, że dziewczyna wybiera sobie męża podobnego do własnego ojca. Nie chciałbym, aby ta mądrość ludowa spełniła się w przypadku Rity.

Pyt. Dlaczegóż to? Nie chciałby pan komisarz mieć policjanta za zięcia?

Odp. Nie chciałbym mieć zięcia podobnego sobie. A policjanci mają podobne charaktery. Są podejrzliwi i nieustępliwi. Nie, nigdy takiego zięcia! Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Prędzej czy później sięgnęlibyśmy po pistolety (śmiech).

Pyt. A czy jest pan dla Rity wzorem w jakiejś innej dziedzinie? Co po panu odziedziczyła?

Odp. Na szczęście niewiele... Odziedziczyła urodę i talent aktorski po swojej nieboszczce matce [była nią znana aktorka scen wiedeńskich i lwowskich śp. Stefania Gorgowicz-Popielska – przyp. red.] i chce być w przyszłości aktorką. Nijak nie może zrozumieć, że ten daleki cel jest poprzedzony wieloma celami bliższymi. Nie zostanie aktorką, jeśli nie zda matury, a nie zda matury, jeśli nie opanuje odpowiednio dobrze na przykład rozwiązywania równań. A odpowiadając ściśle na pani pytanie, mogę stwierdzić: tak, jestem wzorem dla mojej córki, bo ona odziedziczyła albo też naśladuje jedną z moich cech...

Pyt. Jaka to cecha?

Odp. Upór.

Pan Gładysz, słysząc hałas towarzyszący otwieraniu drzwi kuchennych, podniósł głowę znad gazety. Jego żona stanęła przy stole i wyciągnęła do niego rękę z jakimś urzędowym, opieczętowanym pismem.

– Teguś tu zapomniał, Miśku. – Uśmiechnęła się radośnie. – Ja sumyr dla ciebi kroiła i to przy bratrurzy leżału.

– A czegu ty zęby suszysz? – żachnął się Gładysz. – Toż ta kartka to o nowym prenumeratorze, od dzisiaj mam mu „Wiek Nowy” dostarczać... Widzisz, on prawi w Lasku Węglińskim mieszka. Na chawiry przez tu późnij wracać bendy. To taki hecny dla ciebi?

Pani Gładyszowa pokiwała smutno głową. Jej mąż ciężko wstał od stołu.

Dla wszystkich – a zwłaszcza dla bohatera wywiadu – byłoby lepiej, gdyby to zgłoszenie nowego abonenta zawieruszyło się gdzieś koło piekarnika pani listonoszowej.

***

KILKA DNI WCZEŚNIEJ POPIELSKI siedział rozparty jak pasza w garderobie Szaniawskiego i przypatrywał się dziennikarce pani Kazimierze Piechowskiej. Wyglądała tak, jakby pozowała do obrazu

Podkowińskiego *Szał uniesień*. Była pulchna, piegowata i ogniście rudowłosa. Miała cudownie jasną karnację, która w Popielskim budziła największy niepokój i pożądanie. Zastanawiał się bowiem od samego początku, jak mocno kontrastowałaby skóra jej pośladków z jego ciemnymi lędźwiami i udami.

Nastrój garderoby baletmistrza Szaniawskiego był dekadencki, duszny i nieprzyzwoity. Wokół wisiały miękkie różowe boa, na podłodze rozrzucono aksamitne poduszki, w powietrzu prawie namacalnie unosił się zapach perfum i pudru, piec ział gorącem, prowokując do zrzucenia ubrań.

– Zgodzę się na wywiad do pańskiej gazety. – Przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z redaktorem naczelnym „Wieku Nowego” panem Laskownickim. – Ale to, co powiem, może się pańskim czytelniczkom wydać niezbyt interesujące, ponieważ nie odpowiem na żadne osobiste pytania.

– Przyślę panu taką dziennikarkę, mój panie – obiecał wtedy redaktor naczelny – która wszystko od pana wyciągnie. Ona jest zdolna do największych poświęceń, mój panie...

– Mężatka?

– Ach, o to chodzi? – Pan Laskownicki się roześmiał.

I co z tego, że mężatka – myślał Popielski, patrząc na panią Piechowską – widać wyraźnie, że podoba się jej tutaj. Przyjęła moje zaproszenie w dziwne odosobnione miejsce, wiedząc, że będziemy tu zupełnie sami. No daj mi jeszcze jakiś znak, ślicznotko, że chcesz tego co ja.

Pani Kazimiera Piechowska przestała notować ostatnią odpowiedź Popielskiego i spojrzała na niego uważnie.

– Mam do pana jeszcze jedno pytanie – powiedziała cicho i w zadumie. – Nasi czytelnicy, a zwłaszcza panie, chcieliby na pewno coś

wiedzieć, jak pan radzi sobie z obowiązkami dnia codziennego. Stąd nieuniknione byłoby pytanie o pańską kuzynkę...

– Nie będę o tym mówił – mruknął.

– Naprawdę? – Dziennikarka się uśmiechnęła. – Nic od pana nie wyciągnę? Ja umiem przekonywać...

Popielski uznał to za znak. Położył rękę na jej kolanie, a potem przesunął swe ruchliwe palce – wyżej, po śliskiej pończosze.

Po chwili przekonał się, jak mocno kontrastują jej białe pośladki z jego jurnymi lędźwiami o ciemnej karnacji. Lepiej byłoby dla niego, gdyby pani Piechowska wcale się nie uśmiechała i była wierna swojemu mężowi.

***

LISTONOSZ PAN MICHAŁ GŁADYSZ zjeżdżał ze sporą szybkością ulicą Świętego Piotra i przeklinał w myślach fiakrów, którzy wieźli żałobników na Cmentarz Łyczakowski, a koła ich dorożek bryzgały wokół śniegobłotem. Wyzywał od ostatnich automobilistów, którzy beztrosko wjeżdżali w kałuże, nie dbając o to, czy przechodnie uskoczą przed brudną fontanną. Za ostatnich szubrawców miał motocyklistów, którzy – w odróżnieniu od niego, użytkownika służbowego roweru, niemogącego się doprosić o głupi łańcuch – dysponowali odpowiednim impregnowanym na wodę kostiumem, okularami ochronnymi i świetnie wyposażoną skrzynką narzędziową. Pan Michał Gładysz miał na sobie nieszczelną, starą i dziurawą pelerynę, którą – ku wielkiej wesołości przechodniów – przy dużym deszczu musiał wciągać na głowę, a jedynym narzędziem, jakie miał ze sobą, był ciężki klucz francuski. Ten przedmiot listonosz przeklinał zresztą najbardziej. Wisząc na ramie na pasku, kręcił się on na wszystkie strony i boleśnie obijał kolana jadącego. Gładysz zwykle z tego powodu nie brał go ze sobą i nie mógł dzisiaj zrozumieć, dlaczego zmienił swój codzienny obyczaj.

Na wysokości cmentarnego muru pedały zaczęły ciężko chodzić. Nacisnął na nie mocniej, lecz skutek był mizerny. Nagle usłyszał zgrzyt, jaki powstaje przy tarciu metalu o metal. Zsunął się z siodełka, mocno uderzając się w krocze. Zahamował lewym butem, szorując podeszwą bruk ulicy. W końcu zatrzymał się przy krawężniku, klnąc na głos. Stłumił nerwy mocnym splunięciem w wodę płynącą rynsztokiem. Spojrzał uważnie na usterkę. Łańcuch zaklinował się pomiędzy kołem a zębatką. Sięgnął tam palcem. Łańcuch tkwił mocno w swych kleszczach. Koło nie chciało się kręcić. Trzeba je było odkręcić, a przynajmniej poluzować. Gładysz odpiął klucz francuski i przystąpił do naprawy.

Gdyby tego dnia pan Michał Gładysz był wierny swoim zasadom i nie wziął klucza francuskiego, to zostawiłby rower na przechowanie w pobliskich koszarach 40. Pułku Piechoty i wrócił spokojnie do domu. W poniedziałek napisałby raport, w którym wytłumaczyłby niewypełnienie przez siebie sobotnich obowiązków. „Wiek Nowy” z nieszczęsnym wywiadem być może nigdy nie dotarłby do prenumeratora, a nawet gdyby trafił do jego rąk, to mógłby zostać wzgardliwie przezeń odrzucony jako przeterminowany.

Gdyby tak właśnie potoczyły się wypadki, byłoby lepiej dla Popielskiego, a nade wszystko – byłoby lepiej dla Rity.

XVII

RITA POPIELSKA CHODZIŁA DO GIMNAZJUM imienia Królowej Jadwigi, które mieściło się na ulicy Potockiego 35. Drogę do szkoły i z powrotem pokonywała zwykle w towarzystwie służącej Hanny Półtoranos lub swej ciotki Leokadii Tchorznickiej. Ku swojej cichej irytacji nie mogła, jak inne koleżanki, samodzielnie chodzić do szkoły i z niej wracać. Choć nie zajęłoby to więcej niż pół godziny, jednak było to jej surowo zabronione, ponieważ Edward Popielski jako ojciec był nadtroskliwy, jako policjant – nadpodejrzliwy, a jako człowiek – cierpiał na głęboki pesymizm, który na każdym rogu ulicy kazał mu widzieć zbrodniarza lub groźnego szaleńca.

Rita nie mogła zatem po lekcjach sama wracać do domu. W tej szykanie widziała tylko wtedy jakiś plus, gdy ze szkoły odbierała ją ciotka Lodzia. Była ona spokojna, małomówna i – w odróżnieniu od ojca – nie miała najmniejszych skłonności do moralizowania i prawienia kazań z powodu jakiejś tam głupiej dwójki z łaciny. Słuchała uważnie jej szkolnych opowieści, rozumiała doskonale jej waśnie z koleżankami i zawsze stała po jej stronie. Rita rozumiała to jednoznacznie – ciotka jest jej przyjaciółką i powierniczką sekretów. Dziewczynka, nie zdając sobie sprawy z istnienia takich ludzkich cech jak konformizm, wyrachowanie czy zwykłe znudzenie, cieszyła się ogromnie, że ciotka – znów w odróżnieniu od ojca – nie stara się nigdy zawładnąć jej uwagą, nie prowadzi niekończących się nudnych wykładów z historii i matematyki, nie marudzi i nie ingeruje w jej świat. Leokadia dawała jej swobodę działań i nie krępowała jej drobiazgami, podczas gdy ojciec najbardziej na świecie pragnął ukształtować ją na swój obraz i podobieństwo, co czynił za pomocą głupich

i małodusznych sankcyj. Tak to niejasno przeczuwała trzynastoletnia już dziewczynka, która wchodziła w fazę samodzielnych prób, nieuniknionych konfliktów i własnych poszukiwań.

Ucieszyła się zatem, że jest poniedziałek – dzień, gdy przychodziła po nią ciotka Leokadia. Wiedziała, że zaraz pojadą dorożką do restauracji Sielanka w parku Stryjskim, gdzie zjedzą obiad, a następnie każda z nich zajmie się swoimi sprawami: Leokadia grą w bridża z asesorostwem Stańczakami i rejentem Kalinowskim, a ona sama – czytaniem liścików, w jakich wraz ze swą koleżanką knuły straszną intrygę przeciwko innej koleżance, która je zdradziła i przyznała się wychowawczyni, że pewnego dnia wszystkie trzy zamiast na nieobowiązkowe lekcje chóru poszły na bazar przy placu Unii Brzeskiej, gdzie podziwiały linoskoczków i kuglarzy z pochodniami.

W to wyjątkowo ciepłe poniedziałkowe popołudnie 6 listopada 1933 roku wszystko odbyło się tak, jak to Rita przewidziała. Pojechały z ciotką do parku Stryjskiego i w restauracji Sielanka zjadły przepyszny obiad. Leokadia – w związku z niedawnym powrotem kuzyna na państwową, dobrze płatną posadę – na deser po zupie cytrynowej i po sznycelkach cielęcych zamówiła leguminę z kakao i lody. Niedługo później do ich stolika podeszli asesorostwo Stańczakowie i rejent Kalinowski. Rita dygnęła grzecznie i – obiecawszy, że nie oddali się zbytnio od Pałacu Sztuk – pobiegła wbrew swej obietnicy w daleką, ustronną alejkę, by zagłębić się w lekturze szkolnych liścików.

Mijały chwile i nic nie przeszkadzało Ricie w obmyślaniu zemsty na wiarołomnej koleżance. Snuła zatem swe plany z zaciśniętymi powiekami i piąstkami. Nagle coś oderwało jej uwagę. Psi pisk lub cichy skowyt zerwałby ją na równe nogi w środku nocy, oderwał od najulubieńszej zabawy, ba! – nawet pozbawiłby ją chęci do intrygowania.

Otworzyła oczy i spojrzała na puchatego szczeniaka, którego trzymał w dłoni jakiś pan.

– Chcesz go pogłaskać? – zapytał przyjazny głos.

Rita kiwnęła głową i wyciągnęła dłoń we włóczkowej rękawiczce.

Potem tego mocno żałowała. Nie wszystkie poniedziałki z ciocią Lodzią były takie same.

XVIII

CHOĆ O GODZINIE PIĄTEJ PO POŁUDNIU w restauracji Salomona Winda na Kopernika 30 nie było zbyt wielu gości, panowały tu wielki hałas i zamieszanie. Ci bowiem, którzy bawili tu od dobrych dwóch godzin, zdążyli wypić już tyle wódki, że ich głosy spotężniały i rozchodziły się szeroko, jakby na falach dymu wypełniającego lokal. Byli to czterej mężczyźni w różnym wieku – dwaj z nich już dawno przekroczyli Rubikon czterdziestego roku życia, a dwóm pozostałym – ledwo się on majaczył na dalekim, kilkuletnim horyzoncie. Wszyscy byli dobrze ubrani, pewni siebie, a wódka choć podnosiła ich głosy, jednak nie wzmagała emocyj. Byli grzeczni i kulturalni wobec dwuosobowego o tej porze personelu – kelnerki i barmana – jakkolwiek widać było, że nie są przyzwyczajeni do oporu i sprzeciwu. Świadczyły o tym nagłe drgnienia ich powiek i z trudem tłumiona irytacja, gdy kelnerka ze smutkiem oznajmiała, że karp po żydowsku stracił już był po niedzieli swą świeżość, a marynowane śledziki rozmiękły już były całkiem, a zatem polecałaby kanapki ze szponderkiem i serdelki w smalcu. Nie były to widać ulubione potrawy tych panów, ale zgodzili się na nie wreszcie, przypisując im służebną rolę zakąsek do wódki, która najwidoczniej była dla nich tego dnia najważniejsza.

Ponieważ alkohol rozwiązał im języki i podniósł moc głosów, i kelnerka, i barman wnet poznali okazję, która sprawiła, że ci panowie – jak się okazało, koledzy z pracy – zebrali się w ich małym, lecz przytulnym lokalu. Świętowali bowiem ponowne przyjęcie do swojego zespołu wysokiego łysego pana z małą tatarską bródką. Ów mężczyzna, do którego jego rówieśnik mówił „Edziu”, a młodsi używali formy „pan”, był fundatorem całego przyjęcia i duszą towarzystwa.

Kelnerka, panna Helena Waniczkówna, długo nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna tego człowieka. W końcu doznała olśnienia. Biegnąc do kuchni, by przygotować dla klientów herbatę – „mocną i czarną jak diabeł”, jak zaordynował młodszy pan o semickim wyglądzie – przypomniała sobie zdjęcie fundatora pomieszczone w ostatnim numerze „Wieku Nowego”.

– Wiesz pani – szepnęła z przejęciem do kucharki – że ten łysy to sam Popielski?! Ten słynny policjant?!

– A ta jednemu psu Burek? – burknęła kucharka, choć i tak najwyraźniej nie wiedziała, o kogo chodzi. – Ja tam kurw i pulicaji ni znam, i dobrze mi z tym.

Od tego momentu panna Waniczkówna uważnie zaczęła się przysłuchiwać wspomnieniom, historiom i dowcipom opowiadanym przez gości.

– A pamiętasz, Wilek, tę cnotliwą Zuzannę, która była pierwszym ogniwem łańcuszka świętego Antoniego? – wołał Popielski, nalewając wódki do kieliszków. – Tyle że w jej wersji zamiast listów wysyłało się pieniężne przekazy, a jej cnota okazała się mocno nadwerężona!

– Jak ona się nazywała? – zasępił się pięćdziesięcioletni na oko mężczyzna zwany Wilek. – Janina Podhorecka czy Podebracka... Jakoś tak...

– Panie Wilhelmie, błagam, bez nazwisk. – Młody przystojniak z wąsikiem *à la* Clark Gable wypił wódkę i otarł usta serwetą. – Wprawdzie nasz nowy szef nie szpieguje nas po pracy jak dawny, ale ściany wszędzie mają uszy...

– O czym ty mówisz, Stefek? – Elegancki brunet w żydowskim typie klepnął kolegę po ramieniu. – Kocowski nas szpiegował?

– Cicho, Hermanie – syknął Stefek. – *Nomina sunt odiosa*!

Panna Waniczkówna usiadła przy barze i zapaliła papierosa, czekając, aż usłyszy z kuchni, że „czarna i mocna jak diabeł herbata” jest już gotowa.

Barman, pan Walenty Monasterski, dwukrotnie starszy od Helenki, przecierał kieliszki – dokładnie i bez pośpiechu.

– Nie lubię takich jak oni – mówił. – Unoszą się, coś deklamują, zamieniają się na kamizelki jak bohaterowie Homerowi na zbroje, całują z dubeltówki, po łacinie wrzeszczą, a za chwilę wychodzi cała ich natura. Ten i ów Horacy, ten i ów Wergili zacznie cię podszczypywać, chichotać, podrywać, a o napiwkach to później taki całkiem zapomni!

– Co pan powie, panie Walenty! – obruszyła się Helenka. – To niepodobna! Tacy eleganccy panowie!

– Niepodobna! Niepodobna! – Barman westchnął, przedrzeźniając młodszą koleżankę. – Mało znasz jeszcze życie, moje dziecko! I obyś go w knajpach tak ganc nie poznała! Mówisz „eleganccy”, myślisz „szlachetni”, nie tak moje dziecko? A ja ci coś powiem o szlachetności tego łysego. – Pochylił się i szepnął jej do ucha: – Ty wiesz, że on na wiaderku żyje z własną kuzynką! Jak mąż i żona, rozumiesz?

Panna Waniczkówna aż podskoczyła, słysząc tę wiadomość.

– Naprawdę?! – Jej wielkie naiwne oczy aż się zaokrągliły.

– Herbata! – krzyknęła kucharka.

Kelnerka odebrała z kuchni porcelanowy dzbanek. Podniosła jego dekiel i ostrożnie, by się nie poparzyć, spojrzała na ciemną gorącą ciecz wydzielającą intensywny, jakby gorzkawy zapach. Chyba im posmakuje – pomyślała – i dołożyła na tacę tanie filiżanki oraz koszyk z kruchymi ciasteczkami, pachnącymi imbirem. Pan Walenty postawił obok tego wszystkiego kolejną karafkę zimnej wódki.

– Zamawiali? – zapytała panna Waniczkówna.

– Nie odmówią, zobaczysz – odparł barman, stawiając piątą kreskę w notesie. – Znam ja takich dobrze!

Pan Walenty Monasterski rzeczywiście znał dobrze takich klientów. Widok wysmukłej, spotniałej od zimna ćwierćlitrowej karafki wzbudził ich hałaśliwy entuzjazm. Doświadczony znawca knajpianych obyczajów i nieskomplikowanej psychologii pijanych klientów nie pomylił się też w innej kwestii. Panna Helenka nie została wprawdzie przez żadnego z gości uszczypnięta, ale nie ominęły jej bardziej cywilizowane umizgi. Pan Stefek ujął jej dłoń i podniósł do ust.

– Nie wiem, czy ta herbata jest dobra. – Westchnął, patrząc jej w oczy. – Ale z pani rączek to ja bym nawet truciznę przyjął!

To wyznanie zostało przyjęte przez nią rumieńcem, a przez panów wybuchami śmiechu i dowcipnymi komentarzami, których sens dziewczę nie do końca zrozumiało. Nagle zapadła cisza.

Jej powód był dla kelnerki oczywisty. Choć panna Helenka nie była zbyt bystra i w branży restauracyjnej pracowała od niedawna, widywała wielokrotnie rozwścieczone żony, które błaganiami, słowną, a nawet fizyczną przemocą wyciągały z knajp swych nietrzeźwych małżonków. Bywały one różne – na ogół zabiedzone, smutne, niechlujne i rozsierdzone, nigdy jednak nie było wśród nich dam dystyngowanych i atrakcyjnych, które usiłowały dobrymi manierami ukryć rozpacz.

A tak właśnie czyniła ta pani, która weszła do lokalu, stanęła obok zajętego przez mężczyzn stolika, koronkową chusteczką wycierała tusz zmieszany ze łzami i usiłowała się uśmiechać drżącymi wargami pociągniętymi perłową szminką.

– Pozwól, Lodziu – Popielski podniósł się ciężko od stolika – że ci przedstawię moich kolegów z pracy. To pan aspirant Herman Kacnelson – mówiąc to, wskazał na młodego bruneta. – A to pan aspirant Stefan

Cygan. – Pokazał młodszego kolegę z wąsikiem, który poszedł w ślady Kacnelsona i pocałował w dłoń przybyłą damę. – Wilka Zaremby nie muszę ci przedstawiać... Panowie, oto moja...

Panna Waniczkówna szybko odeszła do baru, nie chcąc być świadkiem kolejnej małżeńskiej sceny.

– Ależ zaraz będzie skandal! – Kelnerka złożyła ręce jak do pacierza. – Jak ostatnio, kiedy przyszła żona tego bławatnika, no tego, jak mu tam?

– A widzisz! A nie mówiłem! – krzyknął z tryumfem pan Monasterski. – Każdy ją bierze za żonę! A to jest tylko kuzynka, właśnie ta kuzynka, o której ci mówiłem, że mu jest jak żona!

Helenka umilkła i zaczęła się uważnie przysłuchiwać całej scenie.

– Panie Walenty – powiedziała ze zgrozą. – Ale i ona chyba nakirana! Co ona mówi!

– Rita, nie ma Rity, to Rita... – bełkotała dama.

Nagle rozpięła torebkę i wyciągnęła z niej kremową kopertę. Z rozmachem rzuciła ją na stół. Potem cofnęła się, przycisnęła dłonie do piersi i wybuchła płaczem.

– Widzisz, moje dziecko – szeptał pan Walenty. – Odkryła jego zdradę... To na pewno list od jakiejś jego kochanki! Tak się nie zachowuje zwykła kuzynka, lecz zdradzana żona!

Leokadia zaczęła sama bić się po twarzy. Z jej zamazanych oczodołów spływały czarne łzy. Popielski otoczył ją mocno ramieniem i trzymał w swych objęciach przez dłuższą chwilę. Potem puścił i sięgnął po kopertę. Wyjął z niej list i przeczytał. Raz i drugi. A potem powoli wstał i ruszył w stronę kuchni.

– Ubikacja nie tutaj, szanowny panie! – Kelnerka mylnie zrozumiała intencje klienta.

Popielski wszedł do kuchni i zrzucił na ziemię stos talerzy. A potem – jeszcze w huku i w chrzęście odłamków – trzymając się za twarz, ukląkł wśród rozbitych skorup.

– Tu nie o kochankę chodzi – powiedziała w zupełnej ciszy panna Helena Waniczkówna.

XIX

PANNA HELENKA MIAŁA RACJĘ. Listu z kremowej koperty, zaadresowanej do Popielskiego, nie napisała ani jego nowa kochanka pani Kazimiera Piechowska, ani żadna dawna. Zdania, wystukane na maszynie do pisania, ani nie zapewniały o miłości, ani nie świadczyły o zazdrości, ani nie były skargą żadnej zaniedbanej kobiety. Zawierały tylko zimną i pogardliwą informację.

> Jeśli chcesz zobaczyć jeszcze córkę, milcz. Policji ani słowa. Masz być dzisiaj o siódmej wieczór w Rynku przy Dianie.

Popielski czytał ten list po raz setny, stojąc przy fontannie Diany pod lwowskim ratuszem. Zapalił papierosa, oderwał wzrok od listu i skoncentrował się na postaci małego ulicznika w podartych portkach, który najwyraźniej ku niemu się kierował. To mógł być ten – pomyślał – o którym mówiła mi Leokadia. „Mały, w podartych spodniach i w kraciastym kaszkiecie” – tak jego kuzynka opisała dostarczyciela listu. „Dostał złotówkę od jakiegoś niskiego pana koło Panoramy Racławickiej” – usłyszał Popielski, zanim słowami wściekłości za niedopilnowanie dziecka bluzgnął w oczy Leokadii.

Zmierzch dawno już zapadł. Na Rynku panował spory ruch – jak zwykle w momencie, kiedy spóźnialscy przypominali sobie o niezrobionych jeszcze sprawunkach i gnali do Gutsteina, by kupić coś na kolację, a podpici urzędnicy wyrywali się z rąk kolegów i uciekali do domu z pobliskich restauracji Reicha lub Kotowicza. Przez ten spory tłum bywalców knajp i sklepów przedzierał się właśnie mały ulicznik odpowiadający rysopisowi podanemu przez Leokadię. Najwyraźniej

zmierzał on w stronę Popielskiego, który pod posągiem Diany stał spokojnie, trzeźwiał gwałtownie, a rozpaczał bezgłośnie.

Kiedy chłopiec podszedł pod posąg mitologicznej łowczyni, spojrzał na Popielskiego i powiedział powoli:

– Ubikacja Pod Śledzikiem. Powtarzam. Ubikacja Pod Śledzikiem.

Popielski rzucił się na niego, wykonał błyskawiczny ruch ręką, lecz gawrosz był szybszy. Szarpnął zębami jego rękawiczkę i pomknął jak strzała w stronę katedry ormiańskiej, pokazując dziury w podeszwach.

Popielski spojrzał na swoją zamszową rękawiczkę, na której mały ulicznik pozostawił ślady zębów, zapalił kolejnego papierosa i ruszył na przystanek tramwajowy, na który wjeżdżała właśnie jedynka. Tramwaj jechał trasą ściśle związaną z życiem Popielskiego – koło poczty na Słowackiego, na której tyłach mieszkał, koło komendy na Łąckiego, gdzie od dawna i od niedawna pracował, obok szkoły podstawowej przy Sapiehy, gdzie kiedyś uczęszczała Rita. Te miejsca szczególne w jego lwowskim życiorysie tworzyły pozytywny ciąg przestrzenny. Być może i knajpa Pod Śledzikiem, która jest na tej trasie – myślał z nadzieją – wpisze się w tę dobrą dla mnie lwowską topobiografię?

Znalazłszy się na placu Unii Brzeskiej, spojrzał na szyld, na którym wyrysowano śledzia tak nieudolnie, że równie dobrze mógłby przedstawiać wieloryba. Pchnął mocno drzwi i zszedł po kilku schodkach do pomieszczenia wypełnionego dymem, przekleństwami, zapachem zgliwiałego sera i kiszonych ogórków.

Popielski wiele sytuacji przeżył, jeszcze więcej widział i niewiele rzeczy mogło go naprawdę zdumiewać. Jednak musiał kilkakrotnie przetrzeć oczy, aby uwierzyć w to, co zobaczył w lokalu. Widok, jaki ujrzał, wymykał się i jego racjonalnemu umysłowi szkolonemu na matematyce i na językach starożytnych, i jego wielkiej lubieżności, której w dawnych

dobrych czasach dawał był upust w erotycznych podróżach do Krakowa w towarzystwie pięknych kurtyzan. Otóż ten obraz w knajpie Pod Śledzikiem nie mieścił się w żadnych kryteriach – ani logicznych, ani emocjonalnych. Był oksymoronem. Jak „czarny śnieg”, jak „zielone słońce”. Jak „odpychająca kurwa”.

Bo tylko tak mógł Popielski nazwać stare i grube pijane baby, które rozwalały się na drewnianych ławach, podciągały swe sukienki, strzelały gumowymi podwiązkami zaciśniętymi na trzęsących się galaretach, otwierały usta, ukazując kłęby wypełniającego je dymu oraz umazane szminką zęby i mięsiste dziąsła. Co ciekawe, budziły one spore zainteresowanie, ponieważ co chwila podchodził do nich jakiś mężczyzna, wciskał się pomiędzy ich buchające ciepłem ciała i szeptał im coś na ucho, budząc czkawkę i bulgotliwy śmiech. Ci mężczyźni byli na ogół wynędzniali, wytatuowani, gruźliczy i zamroczeni alkoholem. Orali swymi nieogolonymi gębami wypudrowane i poróżowione policzki dam, sięgali zachłannie rękami w spocone dekolty, odrzucali ich kolorowe boa, szukając mokrych całusów. Popielskiemu przyszło do głowy nieoczekiwane skojarzenie. Niegdyś, w czasie studiów filologicznych czytał i komentował gramatyczne dzieło Marcjanusa Capelli pod tytułem *Nuptiae Philologiae et Mercurii*. To, co widział tutaj, nazwałby zaślubinami Wenery i Gruźlicy.

Stanął przy barze, zapalił papierosa, a natrętnego barmana spławił, oświadczając, że czeka na kogoś. Nie zareagowawszy na jego burknięcie „ta dworzec niedaleku, tam puczekalnia”, patrzył na obłapiające się pary, na grajka, który usiłował wydusić jakieś ballady ze swego gardła i rozstrojonego bandżo, oraz na dwóch studentów nie spuszczających z niego wzroku. Rozglądał się za wejściem do ubikacji. Znalazł je szybko. Znajdowało się na lewo od baru.

Widząc, że w tamtym kierunku zmierza jakaś para, chyba po to, aby sfinalizować zawartą wcześniej miłosną transakcję, Popielski ruszył szybko w stronę kibla i dotarł doń pierwszy. Nie przejmując się okrzykami zawodu, które wzniósł ku niebu alkoholowy Romeo, wtargnął do ubikacji.

Jego umysł zarejestrował kolejny już dziś oksymoron. „Knajpiana toaleta” – ta fraza pasowała wyłącznie do wytwornej płatnej ubikacji w Atlasie, którą myto kilka razy dziennie i którą zarządzał znany kierownik owego lokalu pan Edward Tarlerski, zwany powszechnie Edzio. Tak, to oksymoron – myślał – ubikacje są w restauracjach, w knajpach są kloaczne dziury, zabryzgane gównem doły. Ta w spelunie Pod Śledzikiem należała do tej drugiej kategorii.

Popielski wszedł, zamknął skrzypiące drzwi i w brudnożółtym świetle żarówki wiszącej na drucie rozglądał się za jakimś kolejnym listem.

Gwałtownie zapukano do drzwi. Popielski zacisnął pięść, chcąc nią zdzielić spodziewanego Romea, i otworzył je na oścież.

Przed nim stał jeden ze studentów, którzy przed chwilą uważnie mu się przypatrywali.

– Szanowny panie – zaczął student – mam sprawę do pana...

– Co, wolne jest? – krzyknął pijak z grubą dziwką u jego boku. – No odsuń się pan!

– Poczekaj. – Popielski odepchnął lekko natręta.

– Granda! – wrzasnął pijak. – Ludzi! Za bezdurnu tu świcą!

– Nie wiem, o co chodzi, ale jakiś mężczyzna, chyba pański znajomy, zafundował mnie i koledze kotlety i wódkę, a ponadto zapłacił nam po dwa złote – mówił szybko student. – Mam za to panu powiedzieć to: „Lista lokatorów Szpitalna 30, jedź fiakrem i każ fiakrowi na siebie czekać”. To jakaś zabawa, zakład?

– To nie jest zabawa. – Popielski zamknął z ulgą drzwi kibla.

Tym razem pojechał Gródecką i Kazimierzowską, a żadne z mijanych miejsc nie kojarzyło mu się z niczym. Wysiadł z dorożki koło cmentarza żydowskiego, rzucił fiakrowi złotówkę i – zgodnie z zaleceniem – kazał mu na siebie zaczekać. Wszedł do przelotowej bramy. Po obu stronach były wejścia do jakichś składów bądź na zaplecza nędznych sklepików. Dopiero dalej były klatki schodowe. Minął je i obejrzał dokładnie zabłocone podwórko z koślawym trzepakiem. Chudy koń popatrzył na niego obojętnie i kołysał się dalej przy dyszlu furmanki, sprawiając wrażenie, jakby co sekunda tracił równowagę. Jego nogi aż do pęcin były poplamione i pozbawione sierści.

Brodził w nafcie, nieszczęśnik – pomyślał Popielski – pewnie w Borysławiu. Oparł się o ścianę bramy przelotowej i zapalił papierosa. Poczuł skurcz w gardle i pieczenie w oczach. Oto litował się nad szkapą, a zapomniał na chwilę o własnej córce!

Po sekundzie czytał listę lokatorów mieszkających w jednej i drugiej klatce schodowej. Jedno z nazwisk zwróciło jego baczną uwagę. Zresztą nie tyle ono samo, ile raczej imię przed nim. „Rita Specht, na lewo, m. nr 8” – czytał. Rozejrzał się dokoła. Była to nędzna i brudna klatka schodowa. Lista lokatorów oraz dwie pary drzwi na parterze były obramowane ciemnym zaciekiem, który zaczynał się gdzieś w rogu na suficie i był pewnie skutkiem niedawnej awarii instalacji wodociągowej.

Popielski był czujny i skoncentrowany. Nie pozwolił opaść napięciu, gdy mijały sekundy, minuty, kwadrans... Spojrzał na zegarek. Minęło dwadzieścia minut.

– Zostałem wystrychnięty na dudka – szepnął do siebie. – Już nigdy nie ujrzę Rity.

Przepona podniosła się mu gwałtownie, blokując prawie oddech. Spojrzał na listę lokatorów i ruszył po schodach. Łuszcząca się farba olejna

na poręczy sypała się małymi okruszkami spod jego beżowych zamszowych rękawiczek, drewniane stopnie jęczały pod jego krokami.

Zapukał mocno do mieszkania numer 8. Prawie natychmiast otworzyła mu stara Żydówka. Patrzyła na niego ze zdziwieniem i z niepokojem.

– Masz coś dla mnie? – zapytał. – Jakiś komunikat? Jakiś list?

– Meszugene! – wrzasnęła Żydówka i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Popielski wyszedł na ulicę. Nic nie widział w świetle jednej tylko latarni kołyszącej się nisko nad jezdnią. To jednak nie latarnia ani nie sypiący deszcz ze śniegiem były powodem jego chwilowego oślepienia. To łzy tworzyły barwną, drżącą zasłonę deformującą obraz.

Potężna buda dorożki przywróciła go do rzeczywistości. Zataczając się, podszedł do niej. Fiakier patrzył na niego niepewnie. Wtedy Popielski poczuł niezawodny instynkt.

Wszelkie jego reakcje były jednak opóźnione przez alkohol. Z budy wychylały się już kapelusz i lufa pistoletu. Popielski usłyszał kroki za sobą, odwrócił się i zobaczył podobny obraz.

– Wsiadaj! – usłyszał głos z budy. – Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć córkę.

Wsiadł. Dorożka ruszyła.

Lekko się kołysał wraz z nią, tkwiąc pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy zionęli wódką i tytoniem. Po chwili dorożka stanęła. Został z niej wypchnięty, ktoś chwycił go za kark i nacisnął. Schylił się i znalazł w samochodzie. Zawarkotał silnik, a automobil zakołysał się na resorach.

Jechali niezbyt długo. W cieple samochodu poczuł działanie wypitej tego dnia wódki – kołatanie serca, pot i suchość w ustach. Zapadł w letarg.

Kiedy się zatrzymali, ocknął się gwałtownie i zaczerpnął oddechu. Poznał miejsce. Byli na Pohulance. Wciągnął do płuc świeże powietrze

i rozkaszlał się ciężko gęstą flegmą. Prowadzono go najpierw po kamiennych schodach, potem po parkiecie. Niewiele widział, bo w domu było ciemno. W końcu z dwóch stron naciśnięto jego ramiona, posadzono go i rzucono mu kapelusz na kolana.

Przed nim, za potężnym mahoniowym biurkiem siedział człowiek, którego nigdy wcześniej nie widział. Obok niego stali dwaj rośli mężczyźni z browningami w dłoniach. Wszyscy trzej byli nieogoleni. Łączyło ich jeszcze coś – nie spuszczali z niego oczu, choć najwidoczniej różne kierowały nimi intencje. Goryle patrzyli na niego z czujnością, ich szef – z zainteresowaniem.

Popielski wzniósł wzrok ponad głowę siedzącego przy biurku mężczyzny i spostrzegł wiszący na łańcuchu obrzyn – strzelbę z odpiłowaną lufą i kolbą.

– Odzyskasz córkę – odezwał się mężczyzna – kiedy wykonasz dla mnie pewne zadanie.

XX

– JEST CAŁA, ZDROWA I NIEZHAŃBIONA – mruknął mężczyzna za biurkiem, wpatrując się w Popielskiego. – I taka pozostanie, chyba że pan nie wykonasz mojego zadania...

Podsunął Popielskiemu otwartą papierośnicę.

– Słuchaj pan teraz! Nazywam się Zygmunt Hanas i mam córkę Elżunię... Słyszałeś pan coś o jej porwaniu?

Popielski pokręcił przecząco głową i wyciągnął papierosa. Jego umysł, podobnie jak cały organizm, zareagował natychmiastowym odprężeniem. Pesymistyczne myśli, tłukące się dotąd po głowie, zniknęły natychmiast. Naelektryzowana skóra, mocno obciągająca kości twarzy, straciła napięcie na szczękach i policzkach. Zmarszczki na czole się wygładziły, pot przestał nasączać pod pachami wilgotną koszulę, palce zastygły, a górna warga, dotąd odsłaniająca zęby jak u wściekłego psa, opadła.

Popielski stał się spokojny. Rita była cała, zdrowa i niezhańbiona. Ta kojąca myśl rozlewała się po jego mózgu i tłumiła większość tego, co mówił Hanas.

Najważniejsze informacje docierały jednak do słuchacza. Dziewczynka została zaniedbana przez guwernantkę. Kiedy ta na moment przestała się zajmować dzieckiem, Elżunia znikła bez śladu, bez słowa, bez okrzyku. Hanas podjął prywatne śledztwo, lecz zawiedli go wspólnicy, którzy nie umieli złapać gada. Zlekceważył wtedy ich radę, by wciągnąć w sprawę Popielskiego. Ale teraz go wciągnie, teraz nie daruje zboczeńcowi. Teraz Popielski go poszuka. A Rita jest w tym domu. On, Hanas, uprzejmie się zgadza, aby Ritą opiekowała się Leokadia. Obie pozostaną jego zakładniczkami do czasu, aż Popielski nie rzuci mu do stóp porywacza.

– Musisz pan jedno wiedzieć. – Hanas wsadził sobie do ust papierosa i skinął głową na jednego z goryli. – Że ja go zabiję, a wcześniej dobrze go popieszczę! Śmierć będzie najszczęśliwszą chwilą w jego parszywym życiu!

Jeden z goryli pstryknął zapalniczką i przypalił papierosa najpierw szefowi, a później przymusowemu zleceniobiorcy.

– Nie zamierzam zgnić w więzieniu za współudział w zbrodni – Popielski wypuścił nosem dym. – Ja go panu przyprowadzę, dobrze. Odzyskam wtedy córkę i kuzynkę. Pan go połaskocze, a potem ja go oddam wymiarowi sprawiedliwości. Tak właśnie będzie. Nie chodzi mi nawet o więzienie. Panie Hanas – powiedział z naciskiem – ja już nie stracę nigdy pracy w policji, rozumie pan?

Hanas wstał i sięgnął po obrzyn. Łańcuch, na którym wisiała broń, zabrzęczał cicho. Były szmugler wyszedł zza biurka. To brzęczenie rozlegało się raz z lewej, raz z prawej strony, a raz dobiegało od drzwi. Hanas miotał się po gabinecie, przemykał pod ścianami, okrążał Popielskiego, dzwonił łańcuchem, a jego twarz puchła i purpurowiała.

Komisarz kręcił głową i wodził za nim wzrokiem, ale nawet nie zauważył, kiedy ten odpiął łańcuch z obrzyna. Nie dostrzegł też, kiedy żelazny wąż wyleciał w kierunku jego głowy. Usłyszał tylko świst i poczuł, jak wysmarowane ogniwa oplatają się wokół jego szyi. Nie zdążył wstać – dwaj goryle chwycili go za ręce i usiedli na nich, przygważdżając je swymi zadami do podłokietników. Wzdrygnął się z obrzydzeniem, kiedy przed sobą ujrzał nabrzmiałą twarz pokrytą rzadkimi włoskami, wyrastającymi z ropnych wyprysków.

– Ty łysa pało – wysyczały spierzchnięte usta z zaschniętymi zajadami. – Tobie się wydaje, że masz mi coś do powiedzenia? Że ty możesz się targować? Stawiać jakieś warunki? – Sękate, długie palce

z kwadratowymi nieobciętymi paznokciami zbielały, zaciskając się mocno na ogniwach łańcucha, który się wrzynał w grdykę siedzącego. Popielski wypuścił powietrze, a potem zaczął bulgotać. Bańki śliny pękały w jego półotwartych ustach. Coraz gorzej widział. Kontury, kształty i kolory zaczęły zachodzić na siebie. Hanas puścił łańcuch, podszedł do karafki z wódką i postawił ją na biurku. Popielski skulił się na krześle, chwycił rękami za gardło, a przy każdym jego wdechu i wydechu rozlegał się cichy jakby psi skowyt.

– Za swoją pracę dostaniesz duże pieniądze, pokrywam wszystkie dodatkowe koszty śledztwa. – Hanas chuchnął soczyście po wypiciu kieliszka, a kropelki jego śliny pokryły błyszczący blat biurka. – Przyprowadzisz mi porywacza na tym łańcuchu, a wtedy dostaniesz córkę. Ona będzie gwarancją, że mnie nie wykiwasz. Żaden sąd, żadna policja ma o niczym nie wiedzieć! A kiedy zechcesz mnie oszukać, będziesz ukarany. I to nie łańcuchem, ale całkiem inaczej! Pokażę ci jak! – Spojrzał na swoich goryli. – Dawać tu Tośka! – wrzasnął.

Jeden z nich wyszedł i po minucie wrócił z niewysokim mężczyzną. Ten wpadł do pokoju i zaczął po nim biegać na szeroko rozstawionych nogach. Kołysał się na boki jak marynarz i poklepywał po udach. Jego głowa tkwiła głęboko pomiędzy ramionami. Ciemny cień po całkiem wygolonych włosach rozlewał się po guzowatej czaszce i sięgał prawie do nasady nosa. Człowiek ten co chwila podrzucał ramionami i wysuwał do przodu wyszczerbioną szczękę. Zaciskał małe oczy i przesuwał po wargach suchym szorstkim językiem.

– Jest nienormalny, wiesz, łysielcu? – Hanas objął Tośka ramieniem i patrzył na Popielskiego, który już dochodził do siebie. – I tylko mnie słucha. Na granicy to on był morowy żygan. Gdy łapała go straż, wywalał język i udawał głupka. Prychał, że zabłądził, że nic nie wie... Od Polaków

czasem dostał kopa w dupę, Sowieci pośmiali się i kazali mu przy harmoszce potańczyć, ale wszyscy puszczali go w końcu wolno. – Usiadł znów za biurkiem i zabębnił palcami o blat. – Myślisz, Popielski, że trzymam tu Tośka dla zabawy? – Uczynił ruch, jakby grał na akordeonie, i kiwał się na boki z krzywym uśmiechem. – Myślisz, że jak się nudzę, to każę mu śpiewać? Nie, Popielski, on nie jest jarmarcznym wesołkiem. On jest niebezpieczny. Muszę go dobrze pilnować, wiesz? Kiedy nie ma mnie w domu, zamykam go w piwnicy. W ostatnią sobotę o tym zapomniałem. I wiesz, co zrobił? Wpadł do kuchni. Na stole leżał kurczak przygotowany do pieczenia. Zabrał go do swojej piwnicy, ledwo co obdartego z pierza... No, pokaż, Tosiek, temu panu, co zrobiłeś z kurczakiem! – Tosiek otworzył usta, zamknął oczy, zgiął lekko kolana, a potem zaczął kołysać biodrami w przód i w tył. Goryle roześmiali się tubalnie. – Tak. – Hanas kilkakrotnie mlasnął językiem. – Wydymał kilka razy. Zimnego martwego kurczaka. Kiedy go ujrzałem, stał z opuszczonymi spodniami i uśmiechał się do mnie. Chcesz, żebym kiedyś przyprowadził Tośka do twojej córuni?

Kłąb dymu wydostał się z płuc Popielskiego wraz z gwałtownym kaszlem. Zakłuło go w piersi. Piekąca treść żołądka napłynęła mu do gardła. Odrzucił papierosa do popielnicy i dłońmi chwycił się za usta. Wytrzymał ten napływ żółci. Przełknął myśl o gwałcie na córce. Gorycz spłynęła mu w końcu przez przełyk z powrotem do żołądka.

Hanas kiwnął dłonią w stronę Tośka, jakby odganiał muchę. Jeden z goryli wyprowadził go z gabinetu. Popielski chrząkał i masował obolałą szyję. Milczał. Hanas wyjął z szuflady kartonową teczkę. Przesunął ją po wilgotnym blacie i postukał w nią palcem. Odgłos był tak głuchy, jakby walił paluchem w puste kartonowe pudło.

– Tu jest ekspertyza lekarska i spis osób, z którymi stykała się Elżunia – sapnął. – Poznasz ich przeszłość. Poszukasz w aktach policyjnych, może

ktoś z nich miał podejrzane kontakty... Potem przestudiujesz wszystkie rejestry lubieżników i porywaczy! I znajdziesz gada. To wszystko. No, co się patrzysz? Do roboty!

Popielski otworzył usta i po raz drugi w tym gabinecie odezwał się zdartym głosem. Zwykle taki miewał, gdy nadwerężył gardło zimną wódką i podrapał je nikotyną z niezliczonych papierosów. Ale dzisiaj jego krtań uległa poważniejszym obrażeniom.

– Skąd mam pewność, że Rita żyje i że jest – głos mu zadrżał – nietknięta przez to twoje monstrum?

– Na to drugie daję ci słowo honoru starego przemytnika. Ja nie robię agrandy – powiedział poważnie Hanas. – A to pierwsze zaraz sam zobaczysz! – Wyszedł z gabinetu i po chwili wrócił. Otworzył drzwi balkonowe na oścież. Do zadymionego wnętrza wtargnęła wilgotna woń jesiennego ogrodu. Siwa, zniekształcająca wszystko zaćma rozpływała się w czystym podeszczowym powietrzu, szybki biblioteki i stojącego zegara nabrały blasku, tapety – silniejszych barw. – No chodź tu i patrz! – Popielski wstał i ruszył na balkon. Za sobą czuł ciężką i czujną obecność goryla. Wyszedł i rozejrzał się po ogrodzie. W ciemności dostrzegł drzewa i obniżający się teren ogrodu. Już planował wtargnięcie tu z pełnym składem najbliższych dwóch komisariatów. – Wiesz, gdzie jesteś, ale i tak tu nie przyjdziesz z policajami... – mruknął cicho Hanas, rozumiejąc bezbłędnie intencje Popielskiego. – Bo nie masz żadnych prawnych podstaw, a nie chcesz znów ryzykować straty pracy w policji... A zresztą za chwilę zabiorę stąd twoją córkę... w inne bezpieczne miejsce, gdzie nigdy nie trafisz! Nie bój, nie bój. – Dostrzegł jakiś cień w oczach rozmówcy. – Przecież będzie z nią to twoje stare pannisko! A teraz patrz lepiej w dół! Oto ona!

Popielski przechylił się przez barierkę.

– Tatusiu! – zawołała Rita. – Zabierz mnie stąd! Błagam, zabierz mnie stąd!

Dziewczynka ubrana była w szkolny mundurek i miała rozwichrzone włosy. W ręku trzymała małego misia z naderwanym uchem. W jej zielonych oczach lśniły łzy.

– Zabiorę cię, kochanie! – zachrypniętym głosem krzyknął Popielski. – Już niedługo przyjdzie do ciebie ciocia! Przyrzekam ci, niedługo! A ja was obie stąd zabiorę! Obiecuję ci, moje dziecko!

Chciał zapytać Ritę, czy kiedykolwiek ją zawiódł, lecz nie uczynił tego. Po pierwsze, odpowiedź córki mogłaby być twierdząca, a po drugie, w rozmowie przeszkodziła im dziwna istota. Trzasnęła ona drzwiami do ogrodu, wbiegła na lśniącą od deszczu murawę i przypadła do Rity. Była to dziewczynka trochę starsza od jego córki – otyła, krótkonoga i przysadzista. Miała skręcone rzadkie włosy spięte w dwa kucyki. Rozpięty płaszczyk i luźna sukienka były uwalane dżemem, botki oblepione ziemią. Zrolowane podkolanówki zjeżdżały z jej grubych łydek. Trzęsąc się i podskakując, podrzucała dużego misia. Ujrzawszy na balkonie swego ojca, uniosła zabawkę jak trofeum. Sukienka opięła się na jej brzuchu – wydętym, napompowanym, ciężarnym.

– Był mus dopaść gada – rzekł powoli Hanas – ale Kiczałes i Żelazny wykręcali się od pomocy... Powiedziałem sobie: na pohybel im, sam go dorwę. „Późnij, późnij, mówiłem sobie, gad nie ucieknie, najważniejsze, że córunia jest cała i zdrowa”. Ale ona nie była zdrowa, bo gad ją zaraził jadem... Zaczęła puchnąć... Czy tego chcesz, czy nie chcesz, nadeszła chwila dla ciebie, Łyssy...

Popielski spojrzał ponuro na byłego przemytnika.

– Dawaj ten łańcuch! Będzie mi potrzebny.

Gospodarz przeżegnał się i nalał wódki do kieliszków.

– Siadaj – mruknął. – Teraz pogadamy!

XXI

BYŁO JUŻ DOBRZE PO PÓŁNOCY, kiedy Popielski zdał Leokadii relację z dzisiejszych zdarzeń. Siedzieli w salonie mieszkania na Kraszewskiego, rozświetlanym tylko lekko nocną lampką w kształcie kielicha tulipana – on z papierosem w ulubionym fotelu pod stojącym zegarem, ona – z filiżanką herbaty na brzegu tapczanu. Nad Leokadią rozpościerał się obramowany meandrem wielki kilim, na którym ryczały i ziały ogniem chińskie smoki.

Kobieta była na pozór spokojna i opanowana. Filiżanka ani drgnęła w jej wymanikiurowanych palcach. Powieki, pokryte lekkim makijażem, nie trzepotały gwałtownie. Jedynie zaczerwienione oczy zdradzały niedawne przeżycia, jedynie szczupłe stopy, obute w eleganckie domowe pantofle, poruszały się nerwowo, a wraz z nimi frędzle zwisające z kapy tapczanu.

Edward również sprawiał wrażenie opanowanego, ale uważnym oczom Leokadii nie uszło to, że jej kuzyn po powrocie do domu nie zachowywał się tak jak zwykle – nie włożył bonżurki, zrzucił tylko marynarkę, nie wieszając jej do szafy, a krawat niedbale wepchnął pomiędzy guziki koszuli, co zawsze wyszydzał jako „artystyczną i niechlujną modę”. Prawie wszystko było tak jak zwykle późną nocą – oprócz nietkniętego łóżka w sypialni Rity, oprócz bezsennych gospodarzy, siedzących w urządzonym na orientalną modłę salonie, oprócz cichego łkania dochodzącego ze służbówki.

– Nie mam wyboru, Lodziu. – Edward zgasił papierosa i odstawił wielką kryształową popielnicę na niski chiński stolik, na którego brzegach wznosił się pięciocentymetrowy ażurowy płotek. – Muszę odnaleźć

gwałciciela jego córki. Wiesz, co jest najgorsze? Że poniekąd go rozumiem. Zbrukano mu córkę, a on, przestępca i były więzień, przyszły dziadek być może nienormalnego wnuka, wypowiedział zemstę lubieżnikowi. Ani Kiczałes, ani Żelazny mu w tym nie pomogli... Przeczytał ten nieszczęsny wywiad ze mną w „Wieku Nowym” i wpadł na pomysł, że porwie mi córkę i tak zmusi mnie do złapania gwałciciela. Jestem dla niego bezcenny. Teraz, po powrocie do policji, mam szersze możliwości działania, przede wszystkim dostęp do akt... On zmusza mnie szantażem, bym poprowadził dla niego dochodzenie jako hybryda, prywatny detektyw, który już jako policjant ma pełny dostęp do tajnych akt. On nie przyjmuje do wiadomości, że gdyby oficjalnie na policji zgłosił gwałt na Elżuni, to poszukałbym tego bydlaka z całą zaciętością... Żebyś widziała, jak to dziecko kołysze się ze swym ciężarnym brzuchem na kaczych, krótkich nóżkach!

Leokadia drgnęła nieznacznie – nie wiadomo, czy to słowa Edwarda, czy bicie zegara wskazującego właśnie trzy kwadranse na pierwszą, poruszyły tę kobietę, która kilka godzin wcześniej straciła swe dobre maniery i opanowanie, by zamienić się w strzęp rozpaczy. Teraz też je utraciła – choć na znacznie krótszą chwilę.

– Mam wrażenie – powiedziała wolniej niż zwykle – że bardziej ci zależy na ukaraniu bestii, która zapłodniła tę biedną dziewczynkę, niż na odzyskaniu własnej córki! Edwardzie, na miłość boską! – wybuchła. – Przecież ten pretorianin Hanasa, ta pokraka, ten potwór mógł Ritę... O mój Boże! To monstrum, które nawet kurczaki... O Boże, brak mi słów!

– Kochana Lodziu – Edward wsunął głębiej krawat pod koszulę – Hanas dał mi słowo honoru, że Ricie nic się nie stało i nie stanie. Nigdy nie dopuści do agrandy... Przemytnicy mają swoisty kodeks honorowy...

– Możesz mi wyjaśnić ten przemytniczy żargon?

– Agranda to w ich języku odebranie towaru konkurencji. To postępowanie niehonorowe... Kto dopuszcza się agrandy, okrywa się hańbą...

Zamilkli na długą chwilę. Leokadia wstała i zaczęła chodzić po salonie. Jeden raz uderzył głuchy gong zegara. Zza uchylonych drzwi balkonowych dochodził zapach deszczowego Ogrodu Jezuickiego. Nikły poblask lampki nocnej oświetlał tapczan, zegar, Edwarda na jego ulubionym siedzisku, kanapę w kształcie rogala i stojące przy niej odchylone głęboko fotele pokryte zielonym aksamitem. Reszta salonu pozostawała w półmroku. Z niego właśnie wdarła się w przyćmione światło spirala dymu. Leokadia, która nigdy nie paliła, wyszła z półmroku z papierosem trzymanym niezdarnie w smukłych pięknych palcach. Drżała, patrząc na Edwarda.

– Ile tam będę siedziała? – zapytała nerwowo. – A co ze szkołą Rity?

Ta kobieca zapobiegliwość zrobiła na Edwardzie ogromne wrażenie. Patrzył na zgrabną sylwetkę kuzynki, na jej szlachetną pociągłą twarz i nie po raz pierwszy pożałował, że są tak blisko spokrewnieni.

– Moja Lodziu – wstał z fotela i podszedł do niej – bardzo szybko go złapię. Elżunia Hanasówna ma niezwykle wyostrzony słuch i pozna swojego ciemięzcę po głosie. Rozumiesz? Przejrzę akta, poszukam ewentualnego sprawcy i przyprowadzę go do Elżuni, a ona go usłyszy i natychmiast rozpozna. Rozumiesz, będę miał niespotykaną wygodę działania! Każdego podejrzanego łapię za kołnierz i przyprowadzam do Hanasa, a absolutny słuch jego córki będzie jak papierek lakmusowy! Nie rozpozna go? Trudno, zwalniam go, wywalam na zbity pysk i szukam następnego...

– A ja w tym czasie siedzę z Ritą w jakimś, jak powiedziałeś, nieznanym miejscu, tajnym mieszkaniu... Pilnowana przez jakichś drabów...

– To będą jeden drab i służąca. – Edward uśmiechnął się nieznacznie. – Wynegocjowałem to z Hanasem, choć jako negocjator nie miałem, przyznasz, najmocniejszej pozycji...

Leokadia zdusiła gniewnie niedogaszonego papierosa i podeszła do Edwarda. Stała tak blisko, że musiał się odrobinę odsunąć, choć uczynił to niechętnie.

– Mam ci teraz dziękować, tak? – warknęła. – Że tyle zrobiłeś dla mojego dobra? To doprawdy wielka radość, że będę zamknięta nie wiadomo gdzie z jakimś tłumokiem i jakimś łotrem! Wielka mi łaska od chama! Pewnie mówił: umieścimy w bezpiecznym miejscu pańską córkę i to nieudane stare pannisko! Co, tak mnie nazywał? Mów!

– Na początku rzeczywiście próbował z ciebie drwić – przyznał spokojnie Edward. – Ale go szybko osadziłem...

– Drwił z mojego stanu panieńskiego? – W oczach Leokadii pokazały się łzy.

– Tak, ale mu odpowiedziałem...

– No co, no co mu odpowiedziałeś, ty retorze, wirtuozie przesłuchań?

– Zapytałem go, czy mu smakował pieczony kurczak – odezwał się cicho Edward i objął mocno Leokadię.

Czuł, jak cała dygoce w jego ramionach. Wiedział, że nie są to drgawki strachu czy płaczu. Leokadia śmiała się szczerze – najpierw bezgłośnie, a potem wesoło, perliście. Tak, były chwile, kiedy Popielski żałował, że łączy ich tak bliskie pokrewieństwo.

Od drzwi rozległo się ciche pukanie.

– To do ciebie, moja droga. – Edward ucałował kuzynkę w policzek. – To wspomniany przez ciebie tłumok...

Leokadia odsunęła się od Edwarda i poszła do przedpokoju. Otworzyła drzwi, powiedziała coś cicho, a potem wróciła do salonu. Jej długie,

pomalowane na czerwono paznokcie, które pewien spirytysta określił niegdyś jako niewątpliwy znak świetnego przepływu duchowych fluidów, zaciśnięte były na łańcuchu. Żelazne ogniwa zabrzęczały, gdy wyciągnęła do Edwarda rękę.

– Weź to – szepnęła, a potem równie cicho zapytała: – Służąca Hanasa była z tobą umówiona? Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

Edward ucałował ją i objął ponownie.

– Zawsze lubiłaś moje dowcipy – szepnął.

– Robię to dla Rity. – Westchnęła.

Ani ona, ani on w to nie wierzyli.

XXII

NA ZMĘCZONEGO ASPIRANTA WILHELMA ZAREMBĘ, który w mieszkaniu Popielskiego zjawił się o wpół do drugiej w nocy, czekały w jadalni dzbanek aromatycznej kawy od Riedlów, śmietanka ze startymi migdałami i waniliowe alberty. Policjant zrzucił marynarkę na oparcie krzesła, oparł łokcie na stole i tarł czerwone z niewyspania oczy. Potem sięgnął po ciastka, które zjadł z wielkim smakiem, i siorbnął głośno kawę. Te czynności nie przeszkadzały mu jednak słuchać uważnie Popielskiego, który już po raz drugi tej nocy relacjonował historię porwania Rity i naświetlał swoje związane z tym wydarzeniem decyzje.

Kiedy komisarz skończył i zapalił papierosa, Zaremba wypił ostatni łyk kawy. Patrzyli na siebie bez słowa. Znali się zbyt dobrze, by teraz zadawać sobie niepotrzebne pytania.

Tak było zawsze. W dawnych stanisławowskich czasach Zaremba nie musiał pytać swojego przyjaciela z gimnazjalnej ławy, czy pozwoli mu odpisać greckie i łacińskie preparacje albo czy pomoże mu rozwiązać matematyczne zadanie. Natomiast Edzio, mieszkający wówczas u swego wujostwa i oddający się nocnemu hazardowi w tajnym gabinecie w kawiarni Mikulika, nie musiał wcale prosić Wilka o potwierdzanie kłamstw o rzekomych szkolnych wycieczkach krajoznawczych po cudownych zabłotowskich pagórkach, co służyło mu jako alibi dla tego niecnego procederu. Obaj, podobnie jak nieco starsza od nich i wtajemniczona we wszystko kuzynka Popielskiego Lodzia oraz ich trzeci przyjaciel, samotny dziwak Józek Blicharski, uważali taką pomoc za naturalną przysługę, za oczywistą czynność, za którą nawet dziękować nie

trzeba. Przyjaciele doszli do takiej konfidencji, że nie tylko nie okazywali sobie wdzięczności za takie zrozumiałe przysługi, ale – z uwagi na swoją telepatyczną domyślność – wręcz o nie nie prosili.

Nie musiał teraz, w tę jesienną noc, prosić o pomoc Popielski, nie musiał jej deklarować Zaremba. Wszystko było oczywiste, oprócz jednego.

– Jak wytłumaczysz – zapytał gość – twoje zachowanie u Winda? Wszyscyśmy widzieli twój wybuch przerażenia, twoją wściekłość... Ciebie koledzy nie ośmielą się pytać, no to mnie będą męczyć. A ja co na to? Oczywiście, *silentium*! – Uśmiechnął się, naśladując głos ich łacinnika profesora Chodaczka, który właśnie tym wykrzyknikiem poskramiał rozwrzeszczanych sztubaków.

Hipotetyczna reakcja Zaremby na indagowanie kolegów z urzędu śledczego była dla Popielskiego oczywistym potwierdzeniem przyjaźni, a co za tym idzie, deklaracją przystąpienia do prywatnego tajnego dochodzenia. Zaremba nie musiał niczego mówić *expressis verbis*. Słowa były tu zgoła niepotrzebne.

– Powiesz im, Wiluś, że zbankrutowała firma ubezpieczeniowa, w której miałem ulokowane oszczędności. Dyskretny Kacnelson będzie mi współczuł i milczał, a nasz młody Stefek Cygan już chyba wie, że w naszych stosunkach osobistych *silentium est suprema lex*. – Popielski wstał od stołu i zaczął chodzić dokoła niego. Nadszedł czas, za którym najbardziej się stęsknił – czas decyzji, czas działania. – Zaraz sobie przeczytasz, co Pidhirny pisze o całej sprawie – mówił szybko, stukając palcem w kartonową teczkę. – A ja ci teraz to streszczę. Po pierwsze, gwałciciel nie należy do niskich warstw społecznych. Tego zresztą możemy się domyślić i bez Pidhirnego. Nie spotkałem jeszcze żadnego gwałciciela, chama czy prostaka, który by robił taką teatralną oprawę swojego odrażającego postępku. Taki to przytłoczy cielskiem, zgwałci i pobije na

koniec dla strachu. Żaden tępy i przygłupi zboczeniec nie będzie sypał kwiatów...

– A mnie nie bardzo chce się wierzyć – mruknął Zaremba, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy – żeby on, jak pisze Pidhirny, celowo obryzgał moczem jej sukienkę. No bo po co? Każdy gwałciciel, jakiego spotkałem, wstydził się *post factum* strasznie swojego czynu, chciał szybko o nim zapomnieć, porzucał gdzieś swoją ofiarę i szybko zmykał. Pamiętasz tego Chowańca, który zgwałcił i zamordował dziewczynę na jarmarku w Mościskach? Przecież on sam tłumaczył, że zabił po gwałcie, bo się wstydził ofiary! Oj, coś mi nie gra ta hipoteza, że to bydlę wysikało się na dziewczątko, by je jeszcze bardziej pohańbić...

– No to skąd wziął się mocz na jej sukience? – Popielski powiedział to tak cicho, jakby pytał samego siebie. – I skąd to jajko? Jedno i drugie może mieć jakieś symboliczne znaczenie... Może i Pidhirny ma rację, gdy pisze o symbolice niewinności... Jajko, nowe życie, białe kwiaty... I skąd te jakieś poparzenia, wybroczyny na udach dziewczyny...

– Edziu. – Wilek splótł palce, wyciągnął ręce nad głowę i przeciągnął się tak mocno, aż trzasnęły mu kości. – Daj ty mi, bracie, coś zimnego do picia! Jeszcze mnie męczy mały kac po dzisiejszym...

Kiedy Popielski wrócił z syfonem, Zaremba uśmiechał się triumfalnie i stukał palcem w raport Pidhirnego. Z kartonowej teczki wysypały się zasuszone kwiatki z białymi listkami.

– Widzisz to, Edziu? Trzeba sprawdzić te kwiatki. Może to jakieś rzadkie, może rosną tylko w jakichś szczególnych warunkach, nie wiem, na jakimś podmokłym terenie, a może gdzieś w górach... To nam by pomogło...

– Posłuchaj, Wilek. – Popielski oparł pięści na stole. – Znajdź najlepszego eksperta w ogrodzie botanicznym i dowiedz się wszystkiego,

co możliwe o tych kwiatkach. A także o ich działaniu ubocznym. Może powodują jakieś wybroczyny czy poparzenia? Musimy wykluczyć działanie jakichś żrących soków, bo jeśli one nie były przyczyną podrażnień, to możemy przypuszczać, że to bydlę poparzyło czymś dziecko... Potem idź do archiwum i wyszukaj wszystko o dewiantach i perwersantach... Szczególnie interesuje mnie ten mocz na sukience... Ja po to samo pójdę do Pidhirnego...

– Wiesz, że Pidhirny może być nieużyty. Zasłoni się tajemnicą lekarską i tyle... Wszak nie prowadzimy oficjalnego śledztwa...

– Trudno, wtedy pójdę do innego lekarza, który zajmuje się nerwicami seksualnymi... a z Pidhirnym jedno jest pewne: on pary z ust nie puści... *À propos* lekarzy, widziałeś tę niewielką listę osób, z którymi miała styczność Elżunia? Spoza domu, to tylko koleżanki z Zakładu Ciemnych przy Świętej Zofii i jej lekarz, znany psychiatra, doktór Gustaw Lewicki z Kulparkowa. Z nim też porozmawiam...

– Dobra. – Zaremba zaciągnął krawat i włożył marynarkę. – Ty do hajdamaki i na Kulparków, ja do botanika i do archiwum. Żegnam się, idę spać. Szulim!

– Poczekaj, jeszcze jedno! Idę do burdelu! – Popielski uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, jak zabrzmiała ta deklaracja.

– A co mnie do tego! – Zaremba prychnął śmiechem. – Że sobie trochę zaszpicujesz!

– Pójdę tam, ale dopiero wtedy, kiedy dowiem się, gdzie taki jest.

– Jaki? Nie wierzę, że nie wiesz, gdzie w Lembryku są burdele! Wyciągaj notes, to ci trochę tego przedyktuję!

– Szukam burdelu specjalnego – wyjaśnił poważnie Popielski. – Takiego, do którego przychodzą perwersanci sypiący kwiaty, rozbijający

jajka na łonach dziwek. Albo miłośnicy nieletnich dziewczynek, rozumiesz, Wiluś?

– Takich adresów to ja nie znam – odpowiedział Zaremba i wzdrygnął się z obrzydzeniem.

– Nasze tropy zetkną się w pewnym momencie, jestem pewien. I wtedy przywiążemy skurwysyna do łańcucha!

Edward podszedł do niego i wyciągnął dłoń.

– Do roboty, byku krasy!

Zaremba energicznie powstał i zaczął się ubierać. Nie było dla niego lepszej zachęty niż ta stara fraza, która niejednokrotnie padała z ust ich dawnego nauczyciela gimnastyki.

XXIII

CHOCIAŻ KOMISARZ EDWARD POPIELSKI na swoim dawnym stanowisku w urzędzie śledczym pracował od kilku już dni, wciąż nie mógł się przyzwyczaić do porannego wstawania. Ten normalny obyczaj ludzi pracy porzucił był w połowie lat dwudziestych, kiedy to policyjna zwierzchność po wielu jego upartych i usilnych prośbach zgodziła się, by pracował na drugą zmianę – a więc od godziny drugiej po południu do dziesiątej wieczór. Jego przełożeni uznali epilepsję światłoczułą, na którą był cierpiał od lat studenckich, za istotny powód owej zmiany. Praca w godzinach popołudniowych i nocnych w mniejszym bowiem stopniu niż dotychczasowa narażała Popielskiego na działanie światła słonecznego, które w swej rozproszonej formie wywoływało u niego padaczkowe ataki. Na tę zupełnie wyjątkową decyzję zwierzchników wpłynęła oczywiście wysoka wykrywalność prowadzonych przez niego spraw. Ponadto musiał się zgodzić na warunek nie do odrzucenia, na swoistą rekompensatę dla władz policyjnych, czyli na całkowitą dyspozycyjność trzy razy w tygodniu po ośmiu godzinach swej normalnej pracy. Musiał się zatem stawiać na każde telefoniczne wezwanie i wraz z mundurowymi interweniować w codziennych i banalnych zakłóceniach życia miasta – głównie w sprawach drobnych kradzieży i pijackich awantur. Spełniał ten obowiązek bez szemrania, a jego nieoczekiwana obecność w knajpach i w melinach oraz nierzadko brutalne metody postępowania z awanturnikami przyczyniły mu po równo sławy i nienawiści. W ten sposób pracował przez trzy lata, aż w roku 1929 popadł ze swoim szefem podinspektorem Hieronimem Kocowskim w konflikt tak silny, że dopuścił się rękoczynów wobec tegoż ostatniego. Skutkiem było relegowanie Popielskiego z policji.

Po roku nędznej wegetacji, kiedy wraz z Leokadią jadali kiepsko, pensji swej służącej nie płacili wcale, a komorne – nierzadko z dużym opóźnieniem – regulowali dzięki korepetycjom, do Popielskiego przyszła z pewnym zleceniem piękna Żydówka Renata Sperling. Ta wizyta oraz jej złowrogie konsekwencje sprawiły, że zmienił on profesję. Z korepetytora stał się prywatnym detektywem i w tym wcieleniu rozwiązał głośną sprawę „liczb Charona", dzięki czemu otrzymał szansę powrotu w szeregi policji.

Do tej jednakże instytucji przyjmowano nawróconych grzeszników nadzwyczaj ostrożnie, badając komisyjnie i bez pośpiechu wszelkie za i przeciw. Ta powolna procedura skazała Popielskiego na kolejne dwa lata niepewności, osładzanej nadzieją na pozytywną decyzję komisji dyscyplinarnej. W tym czasie nadal prowadził on swoje biuro prywatnych dochodzeń zgodnie z rytmem, który jego dniom powszednim narzuciła epilepsja światłoczuła – otwierał je po południu, a zamykał w środku nocy.

Od kilku dni był znów komisarzem urzędu śledczego lwowskiej komendy wojewódzkiej. Wielka radość z powrotu na to stanowisko i jednocześnie lęk przed jego utratą powstrzymywały Popielskiego przed ponownym wnioskowaniem o zgodę na nietypowe popołudniowe godziny urzędowania. Uważał, że takie starania mogłyby być uznane za nadużywanie uprzejmości. Ponadto nowy naczelnik urzędu śledczego podinspektor Roman Prot Sztaba nic o chorobie podwładnego nie wiedział, a jego reakcja mogła być zgodna z najnowszymi instrukcjami, które wyraźnie zabraniały pracy w policji osobom chorym na ciężkie przypadłości, w tym na epilepsję.

Szósta godzina rano, która przez lata była porą pierwszego mocnego snu, teraz stała się dla Popielskiego godziną jego codziennej pobudki. Rozregulowany tym organizm, przyzwyczajony do nocnego bytowania, zaprotestował odrzuceniem snu. Komisarz, dotkliwie rozjątrzony

bezsennością, lękliwie unikający drzew, których gałęzie mogłyby rozsiewać słoneczne światło, z czerwonymi opuchniętymi powiekami przykrytymi czarnymi okularami stał się drażliwy z lada jakiego powodu. Swe obowiązki przez pierwsze dni wykonywał niechętnie, mechanicznie i bez zaangażowania.

Dzisiaj jednak nastąpiła w nim jakaś odmiana. Szybko przesłuchał kilku hazardzistów z kawiarni Mirage na Rejtana, których ujęto podczas nocnej obławy. Potem sporządzał protokół z oględzin, czyli talij kart ze znacznikami i nielegalnie posiadanych rewolwerów, których używano tylko na pokaz – by skutecznie tłumić próby rewindykacyj ze strony oszukanych frajerów. Przeczytał to wszystko, podpisał i szybko udał się – jak to oficjalnie zgłosił Sztabie – na poszukiwanie swych informatorów, którzy mogliby być pomocni w tej świeżej sprawie. Gdyby naczelnik go śledził, zwątpiłby w poczytalność jego szpicli, ponieważ komisarz tramwajem numer 4 pojechał wprost do szpitala dla obłąkanych – do osławionego zakładu kulparkowskiego.

Sypiący gęsto tego dnia deszcz ze śniegiem od rana spowijał miasto ponurym półmrokiem. Popielski wysiadł z tramwaju przy ulicy 29 Listopada, z ulgą zdjął ciemne okulary, postawił kołnierz płaszcza, nacisnął kapelusz głęboko na czoło i ruszył brudną i zabłoconą ulicą Grochowską w stronę stacji kolejowej Kulparków. Kiedy tam dotarł, przeszedł przez tory i ruszył na tyły szpitala dla obłąkanych – którego nazwa „Kulparków” we frazeologii polszczyzny południowo-wschodniej odpowiadała „Tworkom” w jej odmianie mazowieckiej.

Wszedł w ponurą aleję bezlistnych prawie kasztanowców i po chwili znalazł się na tyłach gmachu głównego. Ponadto zakład obejmował kilka pomniejszych budynków rozrzuconych na planie elipsy po prawej stronie Popielskiego. Poza tym do zakładu należało kilka parterowych i piętrowych

pawilonów. Wszystko to tworzyło całość tak piękną, harmonijną i romantyczną, że przypadkowy i nieznający Lwowa przechodzień mógłby pomyśleć, że znalazł się oto w jakiejś reprezentacyjnej dzielnicy miasta.

Popielski, wiedziony jakąś chorobliwą ciekawością, wszedł od tyłu na wewnętrzny dziedziniec gmachu głównego. Kraty w oknach obwieszone były ręcznikami, skarpetkami i bielizną. Na podwórzu w porywistym wietrze furkotały gazety. Krzyki obłąkanych wznosiły się ku niebu. To miejsce wyraźnie pokazywało więzienną genezę psychiatrycznych zakładów.

Wyszedł stamtąd po chwili, okrążył gmach i znalazł się przed wejściem głównym zwieńczonym okazałą kaplicą. Wszedł do budynku, pokazał portierowi swą nowiutką policyjną legitymację i zażądał widzenia z doktorem Gustawem Lewickim. Pełen godności funkcjonariusz szpitalny bez pośpiechu dokądś zatelefonował, po czym uroczystym głosem poprosił poczekać.

Komisarz zrobił, co mu nakazano. Gryzącą niecierpliwość i irytację po kolejnej bezsennej nocy starał się zniwelować różnymi automatyzmami ruchowymi. Wypatrując znanego psychiatry, którego niegdyś przed laty podziwiał jako biegłego sądowego, przechadzał się pomiędzy kolumnami, wchodził co chwila w kolorowe światło witrażu nad schodami i nie wiadomo ile razy stukał szpicem parasola po dacie „1914” wybitej na kafelkach. Po chwili wszystko się rozmazało i przybrało postać kolorowej plamy.

Był to znak, że Popielski całkiem skoncentrował się na swoich ponurych myślach. Uświadomił oto sobie, że każdy jego krok w tym prywatnym śledztwie może grzęznąć wśród różnych utrudnień. Obowiązki szarej codzienności policyjnej i przenikliwy strach o Ritę są mu kulami u nogi, jego bezsenność mąci mu myśli, a jego dyskretna misja – po

możliwym jej przedwczesnym ujawnieniu może wywołać poważne zawodowe reperkusje.

Te zgryzoty przerwał mu woźny, który nakazał mu iść do gabinetu pana doktora Lewickiego, znajdującego się w budynku sąsiadującym ze szpitalną wieżą ciśnień. Po chwili Popielski już tam był, wciskał guzik dzwonka przy drzwiach prowadzących na oddział i – nie mogąc się doczekać odźwiernego – chodził nerwowo po schodach.

Odźwiernym okazał się sam doktór Lewicki. Policjant przesunął wzrokiem po jego postaci – po widocznej spod lekarskiego kitla ciemnej marynarce, białej koszuli, po krawacie z brylantową spinką i po przystojnej, szczupłej, ogolonej twarzy zwieńczonej gęstymi wypomadowanymi włosami. Doktór wydał mu się znacznie młodszy niż przed laty na sali sądowej.

– Takie chodzenie w górę i w dół może psychiatrze dać wiele do myślenia. – Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową Popielskiemu. – Jestem doktór Gustaw Lewicki. Czym mogę służyć panu komisarzowi?

Niewymieniane przez rozmówców Popielskiego całymi latami słowo „komisarz” sprawiło mu wyraźną przyjemność. Odetchnął z ulgą i spojrzał z sympatią na lekarza.

– Dzień dobry, panie doktorze, chciałbym z panem porozmawiać na temat pańskiej młodej pacjentki Elżbiety Hanasówny.

Twarz lekarza pociemniała.

– Właśnie przed godziną byłem u niej – powiedział ze smutkiem. – To straszne, co ją spotkało... Proszę do mojego gabinetu. Widzę, że pan zmarzł. Napijemy się herbaty.

Weszli na drugie piętro do dużego pokoju wypełnionego tablicami anatomicznymi, które przedstawiały różne obszary ludzkiego mózgu. Zwoje i substancje mózgowe wskazywały strzałki opatrzone łacińskimi

i niemieckimi opisami. Dwie szafy z segregatorami i książkami, dwa fotele i miednica na stojaku z haczykiem, z którego zwisał śnieżnobiały ręcznik – to wszystko niknęło prawie w ogromnym ciemnym pomieszczeniu. Psychiatra usiadł za biurkiem, na którym wśród papierów i kartonowych teczek stały lampa z zielonym abażurem i jakaś fotografia w pięknej ramce w kształcie liści bluszczu.

Do gabinetu cicho, niczym zjawa, weszła pielęgniarka. Przygotowała herbatę na sposób angielski – najpierw nalała do filiżanek mleka, nasypała tam cukru, a potem zalała to wszystko ciemnym, aromatycznym, jakby gęstym płynem. Jej jedno spojrzenie, rzucone ukradkiem na lekarza, wzbudziło pewne podejrzenia Popielskiego co do ich niesłużbowych stosunków.

– Pan doktór teraz leczy Elżunię w jej domu? Nie w Zakładzie Ciemnych jak wcześniej? – przerwał milczenie, kiedy pielęgniarka opuściła gabinet.

– Tak, leczę ją tam muzyką i innymi dźwiękami. – Lewicki zdjął okulary i przetarł szkła miękką zamszową ściereczką. – Po tym, co ją spotkało, najbezpieczniej czuje się w domu. A poza tym wie pan, w tym na wskroś przyzwoitym społeczeństwie widok ciężarnej dziewczynki mógłby razić czyjeś oczy. Dlatego ojciec woli ją trzymać w zamknięciu jak jakieś straszydło. We Francji, dokąd regularnie jeżdżę z wykładami, takie przypadki traktuje się wyłącznie w kategoriach medycznych lub – to już pańska specjalność – *stricte* kryminalnych... Nikt nie wyszydza na ulicy takiego dziecka... U nas zaś panują wszechwładny wstyd i obłuda. Wie pan, że żona Hanasa dokądś wyjechała, nie chcąc oglądać własnej córki w jej stanie?

– Leczy pan doktór muzyką? – Komisarz nie lubił narzekania na Polskę i jej społeczeństwo. – W jaki sposób? To musi być bardzo ciekawe.

– Zamawiam w radio różne nagrania. – Medyk z widoczną przyjemnością upił trochę herbaty. – Szum drzew i morza, ćwierkanie ptaków, szczebiot i gaworzenie małych dzieci, słowem wszystko, co jest przyjemne dla ludzkich uszu.

– Ciekawe, jak oni to robią... – W głosie komisarza zabrzmiało autentyczne zainteresowanie. – Takie nagrania... Chodzą po lesie z mikrofonem? Jeżdżą nad morze?

– Mają tam w radio wielkie archiwum z nagraniami – odpowiedział Lewicki. – A nawet gdyby nie mogli znaleźć żądanych przeze mnie dźwięków, potrafią je wspaniale fabrykować... Szef amplifikatorni pan Kukla to prawdziwy sztukmistrz...

– I co potem, kiedy już pan doktór ma swoje upragnione nagrania?

– Na gramofonie gram te właśnie dźwięki, a dobieram je w zależności od nastroju małego pacjenta. – Spojrzał na zegarek. – Chętnie bym panu komisarzowi szerzej o tym opowiedział, ale niestety nie mam teraz zbyt wiele czasu. Opublikowałem to zresztą w najnowszym numerze „Archives suisses de neurologie et de psychiatrie”. Mam nawet nadbitki... Mogę panu ofiarować... Jest to pisemna wersja referatu, który w minionym roku wygłosiłem na kongresie międzynarodowym w Paryżu. Było to głośne wydarzenie naukowe... – Doktór zawiesił głos, ujrzawszy po minie Popielskiego, że tak naprawdę kwestie muzykoterapeutyczne niespecjalnie interesują jego rozmówcę. – Niepotrzebnie zmieniam temat – lekarz uśmiechnął się przyjaźnie. – Zapomniałem, że pański czas jest również ograniczony. Słucham, w czym mogę być panu pomocny, panie komisarzu?

Popielski usiłował wywołać złość na samego siebie za ponowny przypływ sympatii do doktora, gdy ten przerwał narcystyczną opowieść o swoim wiekopomnym referacie. Wiedział, że należy bezwzględnie odrzucać każde ciepłe uczucie. Ono może deformować śledztwo, kiedy

zaczyna dominować nad podejrzliwością, która jest niezawodnym znakiem rozpoznawczym policyjnego instynktu. Zamrożenie ciepłych uczuć to wyostrzenie instynktu.

– W dniu porwania – powiedział obojętnym tonem – Elżunia odeszła niedaleko, nie przekroczyła na pewno odległości głosu. W momencie porwania powinna się przestraszyć, wydać z siebie jakiś okrzyk strachu, choćby pisk, który byłby słyszany z tak bliskiej odległości. Tymczasem opiekunka niczego nie usłyszała. Czy potrafiłby pan doktór wyjaśnić to milczenie dziecka, brak głosowych reakcyj? Spowodowały to może jakieś względy choroby, na którą cierpi?

Lewicki wstał i zapalił papierosa. Potem podszedł do okna i zapatrzył się na drzewa pokryte mgłą rozpylonych kropel deszczu. Komisarz wychylił się nieco w swym fotelu i kątem oka spojrzał na stojącą na biurku fotografię. Uśmiechała się z niej melancholijnie piękna młoda kobieta otulona etolą z białych lisów. Nie była to pielęgniarka o zakochanym spojrzeniu.

– To moja narzeczona. – Lewicki odwrócił się od okna. – Po świętach się pobierzemy...

Popielski kiwał w zamyśleniu głową. Uderzyła go niewiarygodna perfekcja, jaka wiązała się z osobą lekarza. Ze wszystkimi aspektami jego życia. Młody wiek, eksponowane stanowisko, świetlana przyszłość. To wszystko jest takie słodkie – pomyślał.

– Jacy piękni, jacy młodzi! Pan i pani jak z żurnala.

Zacisnął zęby.

– Zastanowiłem się dobrze nad odpowiedzią na pańskie pytanie – wolno mówił Lewicki. – Otóż, wie pan... Dzieci z idiotyzmem mongolskim są często bardzo przyjaźnie nastawione do ludzi. Elżunia jest prawie cały czas uśmiechnięta i wesoła. Niezmiernie łatwo zdobyć jej zaufanie. Wystarczy

uśmiech lub cukierek, a to dobre dziecko już się tuli do nieznanej osoby. Nie musiała zatem krzyczeć, bo zaufała obcemu.

Popielskiemu nie podobał się nacisk, jaki doktór położył na ostatnim wyrazie. Spojrzał na psychiatrę bardzo uważnie.

Czyżby sugerował – myślał gorączkowo – że to koniecznie musiał być ktoś obcy? Nikt bliski, nikt kogo ona by znała? A może doktór przemyca własne alibi? Uprzejmie, podstępnie rzuca podejrzenie na jakiegoś nieznajomego. Oddala je *eo ipso* od siebie – słodki doktór, śliczny karierowicz, szczęśliwy posiadacz pięknej narzeczonej w domu i zmysłowej kochanki w pracy. A może to miłośnik ohydy? Zakazanych zgniłych owoców? Deflorator chorych i nienormalnych istot?

– Załóżmy, że porywacz i gwałciciel nie jest znawcą psychiki dzieci z mongolizmem. – Popielski cedził słowa, dobitnie akcentując sylaby we frazie „znawca psychiki”. – Jak długo taki laik musiałby obserwować zachowanie Elżuni, by oprzeć plan porwania na jej ufności do obcych? A może ta ufność od razu rzuca się w oczy nawet człowiekowi postronnemu?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ponieważ od dziesięciu lat mam do czynienia z tymi dziećmi i ich reakcje są mi tak dobrze znane jak moje własne. Aby odpowiedzieć na pańskie pytanie, należałoby zrobić eksperyment. Przyprowadzić człowieka, jak pan to określił, postronnego, do moich dzieci i okrężnymi drogami wypytać go o jego wrażenia na temat ich ufności bądź nieufności. Jeśli pan komisarz chce, mogę panu pomóc i ułożyć kwestionariusz z takimi pytaniami. A pan mi dostarczy tylko tego człowieka...

Bardzo chętny do pomocy – myślał Popielski. – Robi wszystko, by rzucić podejrzenie na kogoś innego. Nieznajomego, o którym z naciskiem

znów mówi „obcy”. A przecież sprawcy gwałtów są tak często wśród najbliższych!

– Dziękuję, panie doktorze, ale to niepotrzebne. – Popielski włożył kapelusz i skinął głową. – Do widzenia!

Kiedy wychodził, spojrzał na wiszący koło drzwi oprawiony w ramki nieudolny dziecięcy rysunek. Uśmiechnięte słońce dotykało na nim swoimi promieniami wysokiej postaci w białym kitlu. U stóp owej postaci stał mały człowieczek, pewnie dziecko, z bukietem kwiatów. „Kochanemu Doktorowi za Jego dobre serce – Staszek Mikułowski z rodziną” – głosiły kulfony wypisane ręką dziecka, które jeszcze nie opanowało kaligrafii.

Popielski zatrzymał się przed obrazkiem. Znów potarł napuchnięte od bezsenności oczy. Własna podejrzliwość wobec doktora napełniła go goryczą, palącym wstydem. Już nie musiał jej w sobie wzbudzać, by nie stracić jakiegoś wyimaginowanego instynktu śledczego. Teraz powinien stać się życzliwy dla pogodnego, łagodnego doktora, który wyleczył jakiegoś Staszka. Odwrócił się do lekarza i uśmiechnął krzywo.

– A jednak poprosiłbym pana doktora o nadbitkę tego wykładu o muzykoterapii – wykrztusił. – To bardzo ciekawe... Choć nie znam francuskiego, ale ktoś mi to przełoży...

– Nie potrzeba tłumacza. – Doktór wyciągnął w jego kierunku zszywkę. – Oto nieco skrócona wersja polska z „Lekarza Polskiego”. Proszę bardzo!

Popielski odebrał nadbitkę i przez chwilę ją kartkował. Lekarz przypatrywał mu się uważnie.

– Nasze instynkta są zakorzenione w najstarszych ewolucyjnie, a więc w zwierzęcych, częściach naszego mózgu – powiedział wolno doktór. – Istnieją po to, aby nas chronić przed złem... – Popielski poczuł zimny pot na plecach. – Rozumie pan, komisarzu, o czym mówię? – „Wtargnął pan do

mojego umysłu?”, Popielski chciał zapytać, lecz tylko pokręcił przecząco głową. – Elżuni nic nie obroniło – stwierdził ze smutkiem psychiatra. – Nie wszystkie jej instynkta są sprawne tak jak pańskie czy moje...

Popielski uchylił kapelusza i opuścił gabinet. Pomylił się i zamiast wyjść z budynku wszedł na pierwsze piętro przez uchylone drzwi. Chorzy cisnęli się w wąskim korytarzyku i przyglądali mu się ciekawie. Popielski jakby ich nie widział.

– Myślisz, konowale, że umkniesz z mojej listy podejrzanych? – powiedział głośno i zaśmiał się chrapliwie.

Wtedy spojrzał na nadbitkę artykułu, którą bezwiednie rozpostarł na parapecie. *Muzykoterapia dzieci opóźnionych* – przeczytał. „Résumé *wykładu mianego w paryskim szpitalu Salpêtrière dnia 10 czerwca 1933 roku*”.

Mój instynkt jest wykoślawiony – pomyślał w jednej chwili – rozregulował się jak podkręcony głośnik. O czyn ohydny podejrzewam wybitnego lekarza, przyjaciela małych dzieci. A on, jako wytrawny psychiatra, przejrzał mnie na wylot i wręczył mi po prostu swoje alibi. Wygłosiwszy referat w Paryżu 10 czerwca, nie mógł rano 11 czerwca porwać Elżuni we lwowskim parku Stryjskim.

– Instynkta są pozostałością zwierzęcą – znów powiedział do siebie. – Kiedy staniesz się w końcu człowiekiem, Edwardzie?

W tej sekundzie instynkt znów się odezwał.

– A może wykład wygłosił 10 czerwca rano, a wrócił do Lwowa samolotem? – szeptał demon podejrzeń. – Sprawdź, czy wrócił samolotem i o której wygłosił wykład w Paryżu! Sprawdź to!

– Dobrze, sprawdzę! – odpowiedział złośliwcowi Popielski z irytacją.

Splunął gęsto do spluwaczki i powlókł się noga za nogą do wyjścia.

Do chorych podszedł pielęgniarz. Nie dziwił się łysemu panu mówiącemu do siebie. Taka scenka to była kulparkowska codzienność.

XXIV

HOTEL ZIPPER RUBENA TANNENBAUMA na ulicy Rejtana, położony w małym zaułku, był niepozorny i całkiem przytłumiony przez ogromną i mocarną konkurencję – taką jak Hotel George’a czy hotel Grand. Jednak wśród miłośników piwa marcowego cieszył się zasłużoną sławą, bo chyba tylko tutaj w całym Lwowie podawano je niezmiennie. To mocne piwo pojawiło się nad Pełtwią na początku drugiej połowy minionego wieku, niektórzy powiadają, że trunek ten trafił tu w roku 1862 – wraz z powszechnym niemieckim kodeksem handlowym. Na Pohulance powstał browar Jana Kleina,
u którego piwo marcowe stało się specjalnością. Od tego mniej więcej momentu w ciągu kilku najbliższych dekad piwo, a zwłaszcza jego odmiana warzona w marcu, leżakowana kilka miesięcy i podawana od jesieni, przeżywało tam dni swej wielkiej chwały. Pili je nader chętnie zarówno namiestnik Galicji hrabia Alfred Józef Potocki, jak i dyrektor policji Józef Rheinländer oraz arcybiskupi trzech chrześcijańskich obrządków. Idący z góry przykład miał tak wielki wpływ na lud, że tu i ówdzie w dzielnicach robotniczych piwo marcowe wygrywało nawet z wszechwładną dotąd gorzałką. Potem nadeszły dla niego lata chude. Od trzech przynajmniej dekad dotkliwie przegrywało z innymi gatunkami, a najwyraźniej z produktem Browarów Lwowskich, zwanym od charakterystycznego znaku firmowego „piwem z kotwiczką”.

Dziennikarz „Kuriera” Jakub Stern był duchowym spadkobiercą dawnych galicyjskich zwyczajów. Gardził prostackim piwem Lwowskim i niezmiennie wielbił marcowe. Nie przyjmował do wiadomości jego nędznej wegetacji na alkoholowym rynku i rugał knajpiarzy, gdy z niego

jeden po drugim rezygnowali. W restauracji hotelu Zipper, gdzie był stałym klientem, trzymano dla redaktora żelazny zapas, wiedząc doskonale o wręcz bałwochwalczej czci, jaką oddaje temu napitkowi.

Edward Popielski również wiedział o jego alkoholowych upodobaniach. Jednak na tym jego wiadomości się nie kończyły. Kierownik lokalu, tajny informator Zaremby, doniósł niegdyś swojemu opiekunowi, że dziennikarz twierdzi, iż marcowe uratowało mu życie podczas wojny, i prawie za afront uważa picie przy nim czegokolwiek innego. Zaremba przedstawił niegdyś przyjacielowi tę aberrację jako rzecz zabawną. Popielski postanowił ją dzisiaj psychologicznie wykorzystać. Nie przyszło mu do głowy nic lepszego, czym mógłby zyskać sympatię dziennikarza współpracującego z jednym tylko policjantem, którym niestety nie był Łyssy. A tę przychylność musiał zdobyć *per fas et nefas*. Stern znał takie tajemnice lwowskiego świata podziemnego, o których nie mieli pojęcia bandyci najgłębiej w nim zakorzenieni.

Choć browarniczy produkt, niezależnie od gatunku czy odmiany, budził w Popielskim – miłośniku mocnych, zmrożonych i przejrzystych trunków – umiarkowany entuzjazm, mimo to siedząc obok Jakuba Sterna w jego ulubionej knajpie, mlaskał językiem i udawał kulinarną rozkosz. Stern był mu bardzo potrzebny. Ten żurnalista z brukowca mógł o niczym nie wiedzieć, ale o ludzkich żądzach, o tajemnych domach schadzek, o spędzarniach płodów, o dyskretnych klinikach wenerycznych – słowem o lwowskiej kloace – o tym wiedział wszystko.

– Mówi pan, komisarzu – Stern zsunął kapelusz na tył głowy i pomasował w zamyśleniu skronie – że szuka pan młodocianych prostytutek, tak? Bardzo dziwne, że właśnie pan o to pyta... Wróble na Wysokim Zamku ćwierkają, że to komisarz Popielski jest jak raz idealnym źródłem informacyj o tych sprawach...

Policjant spojrzał w rozbawione oczy Sterna, po czym rozejrzał się wokół, gdzie by tu splunąć piwskiem. Mógł to śmiało uczynić – stary, wytarty chodnik nie takie wchłaniał substancje, a bywalcy nie takie widzieli brewerie. Wiekowy pianista ani na chwilę nie przestałby grać *Marzenia* Schumanna, barman nie oderwałby się od skrupulatnego zbierania nadmiaru piwnej piany, a widelec z nabitym serdelkiem czy ogórkiem nie zatrzymałby się w połowie drogi pomiędzy wyszczerbionym talerzem a wyszczerbioną szczęką jakiegoś urzędnika w meloniku. Popielski uczynił zatem to, co zamierzał. Splunął obficie i z ledwo tłumioną niechęcią pociągnął łyk gorzkawego ciężkiego napoju.

– Nie smakuje panu piwko, komisarzu? – Stern uniósł do ust kawałek zgliwiałego sera nabitego gęsto kminkiem.

– Wróblom na Wysokim Zamku to ja dzioby pozaklejam. – Popielski z trudem stłumił kichnięcie spowodowane zgniłą wonią piwnej zakąski. – Niech pan posłucha. Nie tyle prostytutek szukam, ile pewnego ich klienta. Szukam burdeli, w których obrzydliwcy mają swój raj! Szukam, niech pan przełknie, bo się pan porzyga... Otóż ścigam amatorów małych dziewczynek...

Na twarzy Sterna pojawił się grymas niechęci i odrazy.

– Nic o czymś takim nie wiem. – Pokręcił głową.

– Panie redaktorze, dla pełnej jasności... To, że pan zna jakiegoś zboczeńca, nie znaczy, że pan hołduje zboczeniu... Ja ani przez chwilę nie pomyślałem, że pan tam bywa... Wszyscy inni, ale nie pan!

– A dlaczegóż nie ja? – Dziennikarz wysuszył kufel do końca i uniósł go do góry, posyłając nieme zamówienie przechodzącemu kelnerowi.

– Wybaczy pan szczerość – powiedział wolno komisarz. – Nie podejrzewam pana, bo pan i tak już głęboko, po szyję, siedzi w kloace... Ledwo pan dycha... A nurkowanie to już wcale się panu nie uśmiecha...

– A dlaczego pan sądzi, że mi źle w kloace? Tam przytulnie, ciepło, smrodliwie... A może mi tam po świńsku dobrze?

– Drogi panie Stern – Popielski oparł mocno łokcie na stole i przenikliwie spojrzał w oczy rozmówcy – pan nie popełnia ohydy z małymi dziewczynkami. Widziałem w życiu wielu zboczeńców. Wie pan, co było im wspólne? Otóż wszyscy pili alkohol w mniejszych lub większych porcjach. Pili wiadrami lub małymi lampkami. Ogłuszali się wódką, piwem leczyli kaca lub popijali śniadanie, smakowali wino do wykwintnych obiadów. Rzygali od trunków, dostawali od nich podagry, wrzodów żołądka, dziur w przełyku albo też – byli całkiem zdrowi, pili mało i symbolicznie. Alkoholików wśród nich było wielu, abstynenta nie uświadczyłem żadnego. Nie było również, uważa pan, piwosza. Rozumie pan? Nigdy w życiu nie spotkałem zbrodniarza, który by pił wyłącznie piwo. I to tak doskonałe piwo jak lwowskie piwo marcowe!

Przed Sternem postawiono kolejny spieniony kufel. Trochę piany spłynęło na porysowany nożem blat.

– Ciekawa teoria. – Dziennikarz zapalił papierosa.

– Zna pan burdel dla zboczeńców? Dla degeneratów niewolących dzieci?

– Nie znam takiego burdelu – odparł Stern, dobitnie akcentując przedostatni wyraz.

Zapadła cisza. Pianista brzdęknął po raz ostatni w rozstrojone klawisze i sięgnął po przysługujące mu darmowe piwo. Szmatka w rękach barmana wsysała wilgoć z szynkwasu. Skórka serdelków trzeszczała w popsutych zębach urzędnika w meloniku.

– Znam inny burdel – szepnął dziennikarz. – Drogi, luksusowy, gdzie każdy może spełnić swe zachcianki... Choćby najbardziej niezwykłe czy ekscentryczne... Odgrywanie różnych scenek, udawanie rozsierdzonych

służących i guwernantek to dla pracujących tam kurew chleb codzienny. Słyszałem, że jak się takiej zapłaci, to i za dziewczynkę się przebierze...

– Adres? – Popielski poczuł mrowienie na karku.

Stern otarł pianę, która mu osiadła pod nosem.

– Myśli pan, komisarzu, że dałem się nabrać na pańską tandetną przynętę? Na głupawą historyjkę o dobrych ludziach pijących piwo marcowe?

Popielski w odpowiedzi zapalił papierosa i uśmiechnął się lekko.

– Jakie są pańskie warunki, redaktorze?

– Pierwszeństwo w opisaniu całego pańskiego śledztwa to raz, dwa: to ani pary z ust o mnie podczas wizyty w tym burdelu.

– Zgoda na oba warunki. – Popielski podniósł kufel. – Obiecuję to panu. Stuknijmy się, by przypieczętować naszą umowę!

– Powoli, powoli... – Dziennikarz oparł się na krześle. Uśmiechnął się drwiąco, a jego oczy zrobiły się skośne. – Zawarcie umowy nie jest ważne bez porządnego alkoholowego stempla. Heniu! – krzyknął na barmana. – Daj nam tutaj dwie duże czyste i coś na ząb! Ten pan stawia! Co się pan tak patrzy, komisarzu? – Uśmiechnął się drwiąco. – Przecież widzę, że piwko panu nie smakuje! A umowa musi być porządnie podlana, aby była dla pana wiążąca! Skąd mam wiedzieć, że pan nie wystawi mnie do wiatru? – Właściciel knajpy ustawił przed nimi dwie setki wódki i talerz ze śledziem i ogórkami. Stern podniósł do góry zimną stopkę. – Obiecuje pan, komisarzu?

– Obiecuję!

– Balonowa 12, w podwórku. Jedno ostrzeżenie. Tam bardzo agresywnie reagują, kiedy ktoś wypytuje o upodobania klientów. I musi pan bardzo cicho mówić. Podsłuch tam jest bardzo czuły i każdego nagrywają.

Wypili, chuchnęli, zakąsili.

– Wypiłem wódkę. – Dziennikarz się uśmiechnął. – Jak pan widzi, piję nie tylko piwo marcowe. No i co? Zaczął mnie pan choć trochę podejrzewać o to ohydztwo?

Popielski włożył płaszcz i spojrzał uważnie na rozmówcę.

– Pan pyta, czy zacząłem pana podejrzewać... Odpowiedź brzmi: nie przestałem – rzekł, rzucił Heniowi brzęczącą monetę i wyszedł z restauracji.

XXV

W POTĘŻNEJ ORANŻERII uniwersyteckiego Zakładu i Ogrodu Botanicznego panował tropikalny upał. Krzewiły się w niej bujnie rozmaite rośliny, których wygląd i niekiedy niezwykłe obyczaje byłyby nie lada gratką dla każdego poszukiwacza osobliwości. Wilhelm Zaremba nie był jednak żadnym łowcą botanicznych ciekawostek i choć doktór Migalski opowiadał o nich z niezwykłym zapałem, to i tak jego relacje o zmianie barwy płatków peruwiańskiego dziwaczka jalapa i o łapaniu owadów przez rosiczki wywoływały u aspiranta mieszaninę zimnej obojętności i ledwo tłumionej irytacji. To drugie uczucie nie było jednak spowodowane wyłącznie oratorską pasją botanika, ale raczej zwlekaniem przez niego z reakcją na oczywistą prośbę o identyfikację kwiatu znalezionego przy Elżbiecie Hanasównie.

Zaremba na darmo czekał na odpowiedź na to zasadnicze pytanie. Zamiast tego doktór Migalski ujął go pod ramię i wprowadził w zielony, tropikalny i duszący labirynt pełen owadów, które natychmiast upodobały sobie spocone czoło policjanta. Aspirant był tak oszołomiony scenerią, duchotą i potokiem słów wypływających z ust botanika, że ani się nie zdziwił, dlaczego nie odpowiedziano mu na to proste pytanie, ani nie zapytał, dokąd to mianowicie jest prowadzony.

Ta druga zagadka wnet została rozwiązana. Oto przez oszklone drzwi weszli do sąsiadującego ze szklarnią gabinetu szefa instytutu.

Profesor Stanisław Kulczyński właśnie kończył korektę swojego artykułu. Postawiwszy na marginesie dziwny znak, którym zlikwidował jakąś zbędną literę w tekście, wstał i spojrzał bez słowa na nieznajomego.

– Aspirant Wilhelm Zaremba z komendy wojewódzkiej – przedstawił się przybyły.

– Profesor Kulczyński – odpowiedział gospodarz. – Proszę usiąść.

Zaremba usiadł na jednym krześle, a Migalski stanął przy drugim. Podwładny nie ośmielił się zająć na nim miejsca, gdyż musiałby usunąć z krzesła teczkę profesora z delikatnej tłoczonej skóry. Teraz intuicja podpowiadała Zarembie rozwiązanie również tej pierwszej zagadki: dlaczego Migalski nie zareagował na jego prośbę o botaniczną identyfikację. Dystans pomiędzy szefem a podwładnym – odpowiadał sobie w myślach Zaremba – był tak wielki, że Migalski nie ośmieliłby się podjąć żadnej decyzji bez wyraźnego pozwolenia. Wszystko wskazywało na oczywisty, panujący tu porządek rzeczy – tu szef był tylko jeden.

Policjant wyjął z kartonowej teczki kopertę, a z niej wysypał na biurko wysuszone białe płatki kwiatów.

– Byłby mi pan profesor bardzo pomocny – zdjął melonik i powachlował się nim kilkakrotnie – w bardzo ważnej sprawie kryminalnej, gdyby zechciał pan profesor zidentyfikować tę roślinę.

Kulczyński delikatnie zgarnął płatki na czystą kartkę maszynowego papieru. Następnie rozstawił na niej lupę na małym statywie i przyjrzał się przez nią uważnie leżącym przed nim roślinnym zasuszonym szczątkom. Uśmiechnął się i lekkim ruchem ręki przywołał do siebie Migalskiego. Podsunął na brzeg biurka kartkę ze stojącą na niej lupą.

– Co to jest za roślina, panie kolego? – Szef zaczął egzamin surowym tonem.

– Wygląda na *Jasminium polyanthum* – odparł Migalski po dłuższej chwili obserwacji.

– *Jasminum*, panie kolego, nie *Jasminium* – zirytował się Kulczyński. – U pana nie można tolerować takich przejęzyczeń. Tak, to jaśmin

wielokwiatowy albo kwiecisty, ale uściślijmy: stan tych płatków i ich wysuszenie nie pozwalają nam na oczywiste rozpoznanie. Najprawdopodobniej jest to jaśmin wielokwiatowy, czyli *Jasminum polyanthum*. No, panie kolego, proszę go scharakteryzować naszemu gościowi!

– To rzadki u nas kwiat hodowany głównie w doniczkach – drżącym głosem podwładny wykonał polecenie szefa – o gęstym aromatycznym zapachu. Jest on na tyle piękny i na tyle rzadki, że stanowi wielką atrakcję... – Migalski podszedł do jednej z półek i spośród wielu książek wyciągnął *Klucz do oznaczania roślin*. – Proszę spojrzeć na tę rycinę!

Zaremba pochylił się nad rysunkiem wielkiego ukwieconego na biało krzewu. Uczynił szybki ruch dłonią i złapał kroplę potu, która z czoła już, już ściekała na botaniczną encyklopedię. Wyprostował się zirytowany upałem.

– Dlaczego ten kwiat uważany jest za atrakcję? – sapnął nerwowo. – Mnie on pozostawia całkiem obojętnym. Może ta rycina nie oddaje jego rzeczywistego piękna?

– Mój panie – profesor Kulczyński uśmiechnął się ironicznie – *de gustibus non est disputandum*, ale pańskiego gustu nie podzielają tysiące ludzi, którzy na tegorocznych Targach Wschodnich tłoczyli się, by obejrzeć ten kwiat i powdychać jego odurzającą woń...

Kwiat eksponowany na Targach Wschodnich. Elżunia Hanasówna porwana na Targach Wschodnich. Zaremba poczuł dreszcz, dla którego nie zamieniłby swej pracy na żadną inną.

– Mówią panowie – zapisywał szybko relację Migalskiego – że to kwiat nader rzadki... A czy do dostania w jakiejś lwowskiej kwiaciarni? Na tyle aż rzadki?

– Mówię o rzadkim występowaniu tego kwiatu w naszej strefie klimatycznej – zagrzmiał Kulczyński. – O aspekty handlowe musiałby pan zapytać zawodowego florysty!

Zaremba był wdzięczny losowi za jego dar. Nie tylko poczuł woń tropu, ale poznał słabość Kulczyńskiego. Profesor był tutaj przywódcą niekwestionowanym, który uzurpował sobie nawet słowa swych podwładnych. O rzadkości występowania *Jasminum polyanthum* powiedział na początku doktór Migalski. Zaremba, chcąc się przypodobać Kulczyńskiemu, zadał pytanie w liczbie mnogiej „mówią panowie”... A szef szybko sprowadził go na ziemię, odpowiadając „mówię”. „Ja mówię”. Tak – pomyślał Zaremba – tutaj jest tylko jeden bóg.

– A więc muszę chodzić po wszystkich kwiaciarniach i tam pytać? – Aspirant zrobił smutną minę.

– Niekoniecznie po wszystkich. – Kulczyński objawił tym razem wielkoduszność. – Ma pan wielkie szczęście, komisarzu. Doktór Migalski ze względów zawodowych wie wszystko o lwowskich kwiaciarniach. Współpracuje z nimi od dawna i składa w nich zamówienia. My też musimy gdzieś kupować nasze okazy. No proszę, panie kolego, odpowiedzieć na pytanie!

Botanik dał poznać Zarembie jeszcze jedną swoją cechę – uprzejmość. Już tylko nieliczni starym austriackim zwyczajem tytułowali ludzi o jedną rangę wyżej.

– Floryści rzadko handlują tym kwiatem – powiedział Migalski. – Kwiaciarze niechętnie go kupują, zwłaszcza ci, którzy nie mają jasnych widnych pomieszczeń. On w ciemnościach szybko więdnie. Dlatego pozostaje panu sprawdzić, tak na moje rozeznanie, nie więcej niż dwadzieścia kwiaciarń...

– Jeszcze jedno pytanie do pana, profesorze. – Zaremba odzywał się już zgodnie z panującymi w instytucie obyczajami. – Czy to *Jasminum* wydziela jakąś żrącą albo wywołującą swędzenie ciecz, po której na ludzkim ciele pozostawałyby jakieś ślady?

– Nie. – Profesor pokręcił głową. – Sok *Jasminum polyanthum* jest zupełnie bezpieczny i nie wywołuje żadnych podrażnień.

Zapadła cisza, w której słychać było jedynie skrobanie stalówki po kartkach notesu. Zaremba szybko wszystko zanotował i wstał.

– Proszę mi wybaczyć, komisarzu, ten ton starego belfra – rzekł z uśmiechem profesor – ale nie zastanawia pana, czemu powiedziałem, że ma pan szczęście?

Jest tu tylko jeden bóg – pomyślał Zaremba – teraz mnie będzie przepytywał.

– Dlatego, że doktór Migalski zna się na handlu kwiatami – strzelił. – Dlatego mam szczęście...

– Nie tylko dlatego. – Kulczyński się uśmiechnął. – Ma pan szczęście, bo pewnie pan szuka kogoś, kto mógł kupić albo kupił tę szlachetną roślinę. Czy dobrze rozumuję?

– Szkoda, że pan profesor nie pracuje u nas, pańska bezbłędna domyślność bardzo by nam się przydała... – Głos Zaremby był słodki jak miód, co zazwyczaj zwiastowało u niego najwyższą irytację.

Ponieważ Kulczyński o tym nie wiedział, wziął wypowiedź aspiranta za dobrą monetę.

– Łatwo pan znajdzie posiadacza tego kwiatu – oznajmił wesoło. – Ponieważ floryści, jak to powiedziałem, niechętnie go kupują i raczej sprowadzają go na specjalne zamówienie... A to oznacza dla pana, komisarzu, wielkie szczęście... Dlaczego? No właśnie: dlaczego?

– Bo musi gdzieś istnieć rejestr zamówień, panie profesorze...

– A w nim nazwiska odbiorców – uzupełnił bóg.

Zaremba poczuł po raz pierwszy sympatię do szefa instytutu.

XXVI

POPIELSKI PO WYJŚCIU Z ZIPPERA poszedł na postój dorożek pod uniwersytetem. Jedną z nich wynajął na najbliższe trzy godziny, czym najwyraźniej rozradował poczciwca woźnicę, po czym kazał na siebie czekać. Potem dobrze ponad kwadrans spędził w swym mieszkaniu na Kraszewskiego 3, oddalonym od postoju o sto metrów. Tam usiłował uspokoić służącą, która wpierw cicho płakała, a potem popadła w jakieś milczące odrętwienie. Zalękniona Hanna powtarzała: „Co ma być, to bendzi”, i nie mogła nijak uwierzyć swemu panu, jakoby Rita wraz z panną Leokadią wyjechały na wycieczkę szkolną do Worochty. Popielski, widząc daremność swych perswazyj, wypalił nerwowo papierosa, przebrał się w smoking, skaleczył sobie przy tym palec spinką do mankietów i wybiegł, klnąc szpetnie, na ciemną wilgotną ulicę.

Po chwili znów jechał dorożką na Balonową. Nie reagował na zagadywanie przewoźnika, którego wesoła fizjognomia oraz nieco rozwlekły sposób mówienia wskazywały wyraźnie, że dłuższą chwilę oczekiwania na klienta musiał urozmaicić sobie gorzałką, w którą najpewniej był się zaopatrzył najbliżej, jak tylko mógł – u Muchy na Sykstuskiej.

O wilgotny bruk tejże ulicy stukały teraz kopyta szkapy. Było około dziesiątej wieczór. Światła miejskich latarń drżały w deszczu. Popielski zadygotał z zimna i postawił kołnierz płaszcza ponad sztywnym kołnierzykiem przypinanego gorsu. Patrzył ponuro w oświetlone okna domów na Brajerowskiej. Bezlistne gałęzie nie zasłaniały wieczornych scen życia rodzinnego. Gdzieś ojciec całował dziecko na dobranoc, gdzieś jakaś para siedziała przed radio i wzruszała się – jak przypuszczał – przy

sentymentalnych piosenkach Adama Astona. Tak – myślał – w tych ciepłych pomieszkaniach dorastające dziewczynki piszą sekretne pamiętniki, a nastoletni chłopcy, skryci pod kołdrą, z wypiekami czytają przy latarce Sienkiewiczowską *Trylogię*. Tylko w moim mieszkaniu jest zimno i cisza jak w kostnicy. Nie ma tam szczebiotu dziecka ni kobiecego śmiechu, ni głośnej wspólnej lektury. Nie gra radio i nie słychać modlitw służącej, która popadła w fatalistyczne otępienie. Jedynie zegar odmierza czas, jaki pozostał mi do śmierci.

Popielski dotkliwie poczuł, że na drodze do odzyskania Rity zapada się w coraz gęstszą ciemność i szarpie się w niej po omacku. Wizyta u doktora Lewickiego, trudna rozmowa ze Sternem, a teraz ta nocna, pewnie daremna wizyta w burdelu – to ślepe kierunki, beznadziejne błądzenie.

Starał się wyobrazić sobie, co go jeszcze czeka tej nocy. Nie była to pomyślna wizja. Tak, przyjdzie do lupanaru w swoim szykownym smokingu, straci pieniądze na jakąś cwaną, wyszczekaną i złośliwą kurwę, a nie dowie się niczego o żadnym zboczonym kliencie, amatorze małych dziewczynek. Albo jeszcze gorzej – wszystkie kurwy będą zajęte i najwyżej pogada sobie z jakimś portierem, który do zwierzeń będzie równie skory jak kawałek drewna. Tak – potem wyjdzie stamtąd bez żadnego tropu, z głową pełną złości, i pojedzie do dudniącego pustką mieszkania. A tam w nocy, w wymarłym salonie stanie przed lustrem i będzie się wpatrywał w swoją siną i obrzmiałą od bezsenności twarz. I wciąż będzie odziany w ten przeklęty, absurdalny smoking – symbol swoich bezsilnych prób. Potem położy się do łóżka i do samego świtu w jego pustej głowie będą się tłukły głuche podejrzenia – może to Lewicki jest zboczeńcem, a może Stern?

– A może zaczniesz podejrzewać wszystkich mężczyzn we Lwowie? – szepnął do siebie ironicznie. Nagle zacisnął pięści. Pod wpływem ostatniej

myśli w jednej chwili wszystkie jego intuicje się scaliły. Uzyskał pewność działań. Podjął decyzję. – A czemuż by nie? – powiedział. – Dlaczego miałbym nie rzucić podejrzeń na cały świat, w tym na siebie samego?

– Szanowny pan cóś du mni bałakał? – Fiakier odwrócił się na koźle.

– Wiecie, mój człowieku, co to jest gambit w szachach? – zapytał Popielski i nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił. – Coś bardzo ryzykownego.

Dorożkarz wrócił do swych obowiązków, strzelił z bicza, a kciukiem skrycie zakreślił sobie na czole kółko, co oznaczało, że chętnie wysłałby swojego pasażera do Kulparkowa.

Dorożka przejechała całą ulicę Pełtewną, zanurzyła się pod wiadukt na Zamarstynowskiej i po chwili zatrzymała się na trójkątnym rozjeździe koło przystanku tramwajowego i nieczynnego o tej porze kiosku z papierosami i gazetami. Popielski wręczył fiakrowi dwa złote zaliczki i wysiadł. Drynda, pozbawiona jego dziewięćdziesięciokilogramowego ciężaru, rozkołysała się leniwie.

Powoli podszedł pod wskazany adres. Ciąg kamienic urywał się tutaj, odsłaniając błotniste podwórko, które było idealną parcelą budowlaną. Luksusowy lupanar z opowieści Sterna z zewnątrz przypominał raczej podłą knajpę. Był to długi parterowy dom o ośmiu oknach, cofnięty na tył podwórka przylegał do dwupiętrowego warsztatu albo fabryczki. Najwidoczniej burdel był wcześniej przyfabrycznym kantorem. Nic nie wskazywało na jego obecne przeznaczenie. Burdele we Lwowie i w ogóle w całej Galicji niespecjalnie się afiszowały i rozpoznawało się je, o czym Popielski dowiedział się jako maturzysta, po uśmiechu i po mruganiu okiem stróża, który zwykle w ten właśnie dyskretny sposób zaczepiał przechodniów.

Tutaj żadnego stróża na zewnątrz nie było – pewnie z powodu ścisłej konfidencji, o której mówił Stern. Natomiast wewnątrz było dwóch portierów o posturze cyrkowych atletów, w których oczach niewiele było jakiejkolwiek zachęty. Wpuścili oni Popielskiego po uporczywym dobijaniu się do drzwi i uważnie mu się teraz przyglądali.

Nikt nic nie mówił. Atleci – bo to nie należało do ich obowiązków, Popielski – bo ich zagadkowe milczenie wzbudziło wielki mętlik w jego głowie. Zdał sobie nagle sprawę, że zapomniał zapytać Sterna o jakieś hasło albo przynajmniej o jakąś rekomendację, która by mu pozwoliła wejść do tego tajnego i wykwintnego lokalu.

O tym, że takie określenie nie było specjalnie przesadzone, przekonał się Popielski już po pobieżnym zlustrowaniu wnętrza. Choć nie zdejmował ciemnych binokli, zauważył, że ściany wyłożone były pluszem i ozdobione jasnymi gwiazdkami. Drzwi po obu stronach długiego korytarza z podłogą pokrytą grubym dywanem miały ornamentowane, pseudobarokowe futryny. Nad niektórymi z nich paliły się latarnie, chyba czerwone, czego z powodu binokli nie mógł z całą pewnością stwierdzić. Panowały tu cisza i głuche miękkie rozleniwienie. Uważnemu wzrokowi Popielskiego nie umknęły wszakże pewne niedoskonałości – rozdarcia tapet, ukruszenia gipsowych futryn, dziury wypalone w chodniku i słaby zapach stęchlizny i wilgoci, przebijającej się przez duszącą woń rozpylonych w powietrzu piżmowych perfum.

O tym, że jego obawy o stosowanie tutaj hasła były bezpodstawne, przekonał się na szczęście bardzo szybko. Do zadań strażników należało najwyraźniej jedynie ocenianie siły nabywczej portfela ewentualnego klienta. Niższy z atletów, który i tak swym wzrostem dorównywał Popielskiemu, kiwnął głową z aprobatą na znak, że oględziny wypadły pozytywnie, i swą wielką łapę wsparł na przycisku dzwonka wiszącego na

ścianie. Wśród aksamitnych czy też pluszowych ścian rozległ się przytłumiony teatralny gong. Z pierwszych drzwi wyszedł niski gruby elegant w wyraźnie semickim typie. Kiwnął głową cerberom, a ci zapadli się w głębokie fotele przy drzwiach. Następnie podbiegł do Popielskiego w ukłonach i podskokach.

– Witam szanownego pana w naszym przybytku sztuk wyzwolonych. – Jego oczy wbrew ustom pozostały nieporuszone i zimne. – Kierownik Leon Stawski do usług szanownego pana! Proszę, proszę do mojego gabinetu! Tam wszystko uzgodnimy, tam dobrze się porozumiemy!

Gabinet kierownika Stawskiego był to niewielki pokoik, skryty prawie w mroku przebijanym przez trzy jaśniejsze punkty – dwie latarenki na ścianach i małą, stojącą na biurku lampkę w kształcie grzybka, spod którego kapelusza padał jasny blask na lśniący blat. Stawski wskazał gościowi fotel, poczęstował go cygarem, a sam usiadł za biurkiem.

– Szanowny pan, jak widzę, po raz pierwszy w naszym przybytku sztuk wyzwolonych – mówił z przymilnym uśmiechem. – Muszę zatem szanownego pana oświecić... Raczy szanowny pan rzucić okiem na nasz herb. – Podsunął Popielskiemu papier firmowy z nadrukiem „*Artes liberales*”. – To czapla, egipski symbol milczenia i dyskrecji, która w dziobie trzyma zapieczętowaną kopertę symbolizującą radosną niespodziankę. Tak, szanowny panie, nasza dewiza to „dyskrecja i niespodzianka”. Zgodnie z tą drugą formułą tak oto wygląda nasza procedura. Gość zgłasza mi zapotrzebowanie i opisuje muzę, z którą chciałby uprawiać sztuki wyzwolone. A ja, dyplomowany i wytrawny psycholog, dostarczam mu do przytulnego pokoju taką właśnie muzę. Ona wchodzi do wnętrza otulona zwiewną szatą, a potem tę szatę zrzuca i... – kierownik przeciągnął tę sylabę, wchodząc w wysokie tony – i wtedy każdy nasz szanowny gość przeżywa nieprawdopodobną niespodziankę... Okazuje

się, że muza przerosła jego oczekiwania! Tak „dyskrecja i niespodzianka” to nasz herb! A zatem, mój miły panie – ściszył głos, przechylił głowę, zbliżył swój policzek do blatu biurka i spoglądał od dołu na Popielskiego – a zatem jak ma mianowicie wyglądać pańska muza?

– Drogi kierowniku – gość wyprychnął kłąb dymu i nasunął kapelusz głęboko na oczy – wszystkie pragnienia pan spełnia, naprawdę? A gdybym tak zamówił kobietę podobną do King Konga?

Stawski wybuchnął śmiechem i kilkakrotnie klasnął dłońmi o potężne uda.

– Ale wic, ależ to wic! – Jego oczy wbrew ustom wciąż były ponure. – W tych okolicznościach to musiałby szanowny pan kilka dni poczekać! Bo w naszej ofercie mamy tylko *homo sapiens*! Ale możemy wszystko...

– Dziecko, mała dziewczynka bez włosów łonowych – Popielski wysyczał to, chcąc nadać swej twarzy demoniczny wyraz. – To właśnie moja muza. Czysta, dziewicza i ciasna, rozumiesz pan, panie Scyzorykiem Chrzczony? Panie Kanarienfogl lub Rojzensztajn czy jak tam panu na przezwisko! Ile za taką mam zapłacić? Przyprowadźcie mi ją do domu. Oto mój telefon. 243-15. – Zapisał numer na papierze firmowym.

Uprzejmy i przymilny wyraz twarzy kierownika stężał w maskę. Popielski zbyt długo przesłuchiwał ludzi, by nie wyczuć tego prawie namacalnego napięcia.

– Nie oferujemy usług na zewnątrz... Szanowny pan raczy do pokoju numer 2 się udać, latarnię nad drzwiami zapalić na znak, że pokój zajęty. A potem przez kwadrans może szanowny pan rozkoszować się naszym znakomitym winem z winnic Karyntii i skracać sobie czas oglądaniem przyjemnych fotografij. Po kwadransie przyjdzie do pana żądana muza!

Popielski, odprowadzany beznamiętnym wzrokiem, zgasił w połowie wypalone cygaro, prychnął ze wstrętem na znak, że mu ono nie smakowało,

i zrobił, co mu nakazano. Pokój numer 2, przedzielony od gabinetu kierownika pokojem numer 1, tym się tylko różnił od biura, że stały w nim łóżko i mały barek na kółkach. Na szybie, będącej jego blatem, leżała w przechylonym stojaku butelka wina, dwa kieliszki, a obok fotograficzny album z pornograficznymi widokówkami.

Popielski zlustrował dokładnie pomieszczenie, podszedł do okna, zajrzał pod łóżko, skąd doszedł go zapach cygara, jakie palił przed chwilą. Ktoś tu palił przede mną – pomyślał – widać, wszystkich częstuje ten burdelowy rządca.

Potem zgarnął ciężką zasłonę i wyjrzał na ulicę. Przyglądał się przez chwilę swojemu fiakrowi, który zadrzemał na koźle.

– Gambit to inaczej prowokacja – powiedział w jego kierunku, jakby kontynuując ich rozmowę. – Można ją przyjąć lub odrzucić. A jak zareaguje pan Leon Stawski, któremu objawiłem się jako zboczeniec? Przejrzał mój plan? Mało prawdopodobne. Gdybym był przymilny, może by zaczął coś podejrzewać, bo to by było typowe działanie prowokatora. Ale widział ktoś prowokatora, który prosi o coś dla siebie, będąc nieprzyjemny? Który znieważa swego ewentualnego dobroczyńcę? Może Stawski rzeczywiście się rozzłości i naśle na mnie jakichś ludzi, by mnie ukarali za moje rzekome zboczenie? Wtedy przegram gambit. A jeśli rzeczywiście podeśle mi dziecko? Wtedy tego rajfura niewiniątek zaprowadzę do Hanasa... I Stawski wyśpiewa wszystko na temat zboczeńców w tym mieście...

XXVII

KIEDY POPIELSKI WYPIJAŁ LAMPKĘ rzeczywiście zacnego wina i kończył przeglądać album, u drzwi rozległo się ciche pukanie. Zdjął marynarkę smokingu, rzucił ją na oparcie krzesła, poluzował muszkę i pas, poprawił binokle, nacisnął kapelusz, po czym krzyknął:

– Proszę!

Do pokoju weszła niewysoka, szczupła osóbka spowita od stóp do głów w ciemną tiulową szatę. Kiedy zamknął drzwi, rozprostowała ramiona i swój strój precz odrzuciła.

Przed Popielskim stała naga dziewczynka lat najwyżej dwunastu, o płaskich piersiach i chudych kościstych biodrach. W jej podmalowanych oczach czaił się lęk.

– Jestem Anielka – pisnęła cicho i położyła się na łóżku.

Popielski skostniał ze zgrozy i wstrętu. Nie wierzył własnym oczom. Oto rzeczywiście dostarczono mu dziecko. W myślach widział policyjny atak na ten burdel i siebie samego dławiącego gardło oślizłemu rajfurowi. Zdjąwszy dla pewności binokle, patrzył na dziewczynkę długo ze wstrzymanym oddechem. Po chwili z ulgą wypuścił powietrze w trzech dawkach. Pierwsza wydostała się z jego ust, kiedy przyjrzał się wzgórkowi łonowemu dziewczynki. Były na nim świeże zacięcia od brzytwy. Drugą wypuścił, kiedy – podniósłszy jej rękę – ujrzał podobne ranki pod pachami. Trzecią w końcu wydmuchnął z prawdziwą radością na widok małych zmarszczek mimicznych wokół jej oczu i ust. Dziewczyna miała najmniej szesnaście–siedemnaście lat. W myślach Popielskiego Leon Stawski ocalił swe życie.

Komisarz włożył z powrotem binokle i wyjął z kieszeni smokingu pięć banknotów dwudziestozłotowych. Rozsunął je przed oczami dziewczyny, po czym, pamiętając o podsłuchu, nachylił się nad nią tak blisko, że prawie dotknął ustami małżowiny jej ucha. Poczuł, że się wzdrygnęła z niechęcią. Specjalnie się tym nie przejął. Nie oczekiwał entuzjazmu od istoty, którą sprzedawano zboczeńcom.

– Widzisz te pieniądze? – szeptał, szeleszcząc banknotami. – Możesz je mieć dodatkowo, jeśli będziesz grzeczna...

– Mam być dla pana grzeczną dziewczynką? – pisnęła, wzdychając z udawanej ekscytacji.

– Dostaniesz te pieniądze i dużo, dużo więcej – dyszał cicho. – Jeśli coś dla mnie zrobisz... Gdy pojawi się tutaj kiedykolwiek ktoś, dla kogo będziesz udawała małą dziewczynkę, postaraj się go dobrze zapamiętać i czegoś o nim dowiedzieć, tak bym go odnalazł. Najlepiej sięgnij mu do kieszeni, do teczki i poszukaj jakichś dokumentów, rachunków... Zrobisz to? Będziesz grzeczną dziewczynką? Ja szukam takich i wymierzam im sprawiedliwą karę. A może już znasz kogoś takiego? Wydaj go, a już nie zaznasz biedy i opuścisz to piekło!

Zmarszczyła czoło w intensywnym zamyśleniu. O tak – cieszył się w duchu – przynęta została rzucona! Co jak co, ale z dziwkami to ja umiem rozmawiać.

Wstał i wpatrywał się w nią przenikliwie, by z jej twarzy, z jej spojrzenia odczytać trop, który poprowadzi go do historii jej życia. Rzeczywiście znał dobrze prostytutki i ich losy. Wiedział, że wiele z nich zostało zdeprawowanych już w dzieciństwie i – co najstraszniejsze – przez najbliższych. Wiedział, że ten stempel gwałtu na dziecku może je doprowadzić do obłędu albo do burdelu. Gdyby i Anielka miała takie

dzieciństwo, to powinna się przestraszyć teraz, gdy ogłosił się prześladowcą gwałcicieli dzieci.

Dziewczyna owinęła się kołdrą. Drżała z zimna, kiedy on ocierał pot z czoła. Wziął jej zachowanie za objaw lęku. A zatem ją rozgryzł. Zgwałcono ją w dzieciństwie i teraz – słysząc o jego krucjacie – nie potrafi opanować strachu o swojego bliskiego, który ją skrzywdził. To jest najstraszniejsze u tych dzieci, że one kochają swych najgorszych oprawców! Ta strategia nie pomoże, trzeba podjąć nową. Gambit! Gambit!

– Nie bój się – mówił, chodząc po pokoju, dumny ze swojej przenikliwości. – Ja tylko żartowałem. To nieprawda, ja takich wcale nie prześladuję. Chciałem tylko cię podejść. Tak naprawdę, to jestem taki sam jak oni... Kocham dzieci... Mój numer telefonu to 243-15. Zapamiętasz? 243-15. Zadzwoń, jak spotkasz kogoś podobnego. Chcę się z takim spotkać, wymienić opiniami... Spróbuj się czegoś więcej o takim dowiedzieć, żebym mógł go odnaleźć...

Anielka opadła twarzą w poduszkę i zaczęła płakać. Tego zachowania nie rozumiał wirtuoz przesłuchań. Znawca psychologii prostytutek i gwałconych dzieci był zdezorientowany. Jedyny gest, na jaki zdobył się ten błyskotliwy śledczy i przenikliwy strateg, był nieoczekiwanie serdeczny i współczujący.

Usiadł przy niej i głaskał ją po włosach. Pod palcami czuł łzy i gorącą rozpaloną małżowinę.

– Moja ty biedna dziecino – szeptał. – Mój ptaszku ukochany!

Pocałował ją w czoło i wsunął jej do ręki zrolowane dwa banknoty. Potem wstał i włożył na siebie nieszczęsny smoking, symbol swojej dzisiejszej porażki.

Niczego się nie dowiedział, a w swym zniechęceniu nie spodziewał się też pozytywnych skutków swojego gambitu. Nie sprowokował ani

zepsutego do szpiku kości Stawskiego, który zamówienie dziecka przyjął z takim spokojem, jakby gościowi chodziło o sztangielka u mamy Teliczkowej. Nie zdobył też żadnego informatora w struchlałej ze strachu i najwidoczniej nie do końca normalnej Anielce. Potarł palcami bezsenne oczy pod binoklami. Nie pamiętał już żadnych strategii, żadnych podstępnych planów. Wszystkiego już zapomniał.

Lepiej by było dla niego, gdyby jednak pamiętał o podsłuchu i nagrywaniu gości odwiedzających przybytek sztuk wyzwolonych.

XXVIII

NA PRYWATNEJ DZIESIĘCIOSTOPNIOWEJ SKALI

Popielski przypisałby tego dnia swej bezsenności wartość osiem. Wprawdzie zasnął natychmiast po powrocie do domu, ale obudził się po trzech godzinach około czwartej nad ranem. Nie walczył ze swoją przypadłością daremnym szukaniem wygodnej pozycji na łóżku. Nie usiłował swej insomnii obłaskawić jakimiś proszkami i miksturami, od których pękała jego apteczka. Wstał, ogolił się, umył i ubrał. Nie zwracał uwagi na obrzmiałe powieki ani na piasek w oczach.

Jego garderobiany wybór był dzisiaj dość ekstrawagancki. Do brązowej koszuli, która nie najgorzej harmonizowała z jasnoszarym garniturem, dobrał bowiem brązowy kaszmirowy krawat w beżowy wzór, przez co obie te części garderoby zlały się w jedno swymi barwami. Był zdania, że takie jednolite zestawienie może być zaskakujące i przez to oryginalne. Obstawał przy swoim wyborze w rozmowie ze służącą, która była zupełnie innego zdania. Poczciwa Hanna – mimo dwunastoletniej już służby u pana komisarza – wciąż była pewna, że staranne odzienie i właściwy dobór kolorystyczny jego elementów pan zawdzięcza wyłącznie dbałości i elegancji swej kuzynki. Dzisiaj, widząc dziwne zlewanie się barw w ubraniu pracodawcy, uzyskała kolejne potwierdzenie swej teorii, że „kuždyn chłop bez baby to cudak lub łachmyta”.

Popielski, rozdrażniony niewyspaniem i jej aluzjami co do koloru krawata, wyszedł bez śniadania do pracy, czym Hannę doprowadził prawie do łez.

W komendzie przez dwie godziny zajmował się sprawami aktualnymi – przeglądaniem i sporządzaniem bieżących raportów, które był wczoraj

zaniedbał przez swoje prywatne śledztwo.

Popadał w coraz większą frustrację i złość, którą wzmagała w nim hałaśliwość i wesołość kolegów przychodzących na siódmą do pracy. Kawa zaparzona przez sekretarkę wydała mu się przypalona, gabinet brudny i odstręczający, a notatki sporządzane przez niższych funkcjonariuszy – głupie, niedorzeczne i pełne błędów ortograficznych, które niepomiernie go drażniły.

Wilhelm Zaremba przyszedł do pracy ostatni. Natychmiast poznał stan ducha przyjaciela. Miał nadzieję, że informacjami uzyskanymi od profesora Kulczyńskiego poprawi mu humor. Mrugnął na niego znacząco, do ust przyłożył dwa palce, dmuchnął wyimaginowanym papierosowym dymem i wyszedł z pokoju.

Edward wiedział, gdzie znajdzie Wilka. Nie przypuszczał jednak, że jego relacja będzie tak rewelacyjna i że może nadać śledztwu rozpędu, w jaki Popielski już był zwątpił. W ubikacji, która została przez nich dokładnie zlustrowana, by umożliwić im bezpieczną i nieskrępowaną rozmowę przy papierosie, czuli się jak w swoim gimnazjum, gdy na przerwie, właśnie w kiblu, oddawali się nikotynowemu nałogowi.

Popielski, poznawszy ustalenia profesora Kulczyńskiego, nabrał nowej otuchy i energii. Postanowił sam odwiedzić wszystkie kwiaciarnie, a na Wilka zrzucił nudne i niewdzięczne zadania: Zaremba miał przejrzeć resztę akt policyjnych i sądowych w poszukiwaniu gwałcicieli dzieci oraz sprawdzić alibi Lewickiego, czyli ustalić szczegóły paryskiej konferencji psychiatrycznej w czerwcu 1933 roku i okoliczności powrotu prelegenta do Lwowa. Nędza i rutyna policyjnej codzienności, choć przez lata niedoświadczana, teraz zabijała komisarza i obezwładniała. Ruchu, rozpędu, nowych tropów w swym prywatnym śledztwie potrzebował jak ryba wody.

Wczesnym popołudniem odczuwał ten entuzjazm już znacznie słabiej. Wykreślił kolejny adres w spisie kwiaciarń, który na jego prośbę sporządził mu nieoceniony i dyskretny aspirant Herman Kacnelson, i pożegnał szefa kwiaciarni Flora na ulicy Słowackiego. Wsiadł do dorożki, którą odbywał już ponadtrzygodzinną podróż po Lwowie. Kazał wieźć się do kwiaciarni przy komendzie, przedostatniej na jego liście.

Jej właścicielka pani Helena Bodnarowa była pulchną platynową blondynką w średnim wieku. Popielski znał ją dobrze, od wielu lat bowiem zawsze w sobotę po pracy zaopatrywał się w jej położonym blisko komendy zakładzie w kwiaty na niedzielę dla swoich pań – bukiet róż kupował Leokadii, trzy goździki dla Hanny, a małą wiązankę stokrotek dla Rity. Właścicielka kwiaciarni, będąc od dawna we wdowim stanie, bez skrępowania okazywała swe względy samotnemu, eleganckiemu mężczyźnie na stanowisku. Liczyła po cichu na jego zainteresowanie, za nic sobie mając krążące po mieście plotki o jego zamiłowaniu do młodych kurtyzan.

Popielski doskonale zdawał sobie sprawę z jej zainteresowania, które jednak pozostawiało go zimnym, obojętnym, a niekiedy nawet drażniło. Pani Bodnarowa należała bowiem do kobiet bardzo wesołych, które żartu i rozbawienia oczekują od całego swojego otoczenia. Popielski, ani zgoła letkiewicz, ani żaden żartowniś, lecz raczej urodzony ponurak, niechętnie się wpisywał w konwencję zachowań, której tak pożądała pani Bodnarowa. Na jej wesołe zaczepki typu: „Ale się pan komisarz pięknie dziś wystroił, do jakiejś kobitki musi”, albo sentymentalne westchnienia w rodzaju: „Jak to musi kochać mężczyzna, który takie piękne kwiaty kupuje”, odpowiadał niezmiennie, wieloznacznie i mało inteligentnie „no, no”. Pani Bodnarowa, w końcu zmrożona jego obojętnością, traktowała go urzędowo, a nawet raz usłyszał, jak mruknęła gniewnie do swej podwładnej, przekonana, że już

wyszedł: „Co za burmyło jakiś, taki to nigdy do śmichu nic nie powie!”. Popielski dobrze to słyszał, poczuł się lekko dotknięty i od kilku miesięcy niedzielne kwiaty kupował wyłącznie we Florze, która była zresztą bliżej jego domu.

Niechętnie zatem szedł teraz do zakładu pani Bodnarowej, położonego na ulicy Leona Sapiehy, na parterze jednej z najpiękniejszych lwowskich kamienic. Zanim znalazł się w jego pachnącym wnętrzu, pokręcił się przez chwilę przed wystawą i podziwiał półokrągłe wielkie balkony obejmujące jakby – jeden nad drugim – róg budynku.

Właścicielka instynktownie ucieszyła się na jego widok, a potem zachmurzyła, przypomniawszy sobie pewnie swoją do niego urazę.

Popielski, niewiele przejmując się jej fochami, przystąpił od razu do rzeczy.

– Czy u pani można kupić kwiat doniczkowy zwany *Jasminum polyanthum*? Biały, pięknie pachnący...

– Teraz nie mamy na stanie. – Kwiaciarka była wciąż nadąsana. – Trzeba dopiero zamówić...

Normalnie Popielski zauważyłby jej pochmurną minę oraz to, że nie dodała zwykłego „szanowny panie” na końcu swojej wypowiedzi. Ale jej treść – odpowiedź twierdząca – jakiej nie usłyszał w dziewięciu odwiedzonych dziś lwowskich kwiaciarniach – tak go zelektryzowała, że nie zauważyłby teraz niczego, nawet gdyby Greta Garbo tu weszła i poprosiła go o całusa.

– Przychodzę dziś do pani – starał się opanować drżący od emocyj głos – jako policjant, nie jako klient. Dlatego proszę o precyzyjne i wyczerpujące informacje! A zatem moje pierwsze pytanie: czy ktoś u pani zamawiał jaśmin wielokwiatowy, czyli *Jasminum polyanthum*, w ciągu ostatniego roku?

Nie przewidział, że urażona duma kobiety może spowodować teraz tak zuchwałą wobec władzy reakcję.

– Na takie pytania – prychnęła pogardliwie – to może i moja pracownica odpowiedzieć. Ja mam dużo pracy i mało czasu dla pana! Kseniu! – krzyknęła do swojej podwładnej. – Powiedz wszystko temu panu! Słyszałaś, o co pytał.

Pani Bodnarowa wyszła z głównej sali kwiaciarni, pozostawiając Popielskiego z młodziutką Ksenią, zarumienioną z wrażenia, że tak wielka figura świata policyjnego będzie ją teraz przesłuchiwać.

Komisarz był nader kontent z tej odmiany. Ksenia była prawdziwą ukraińską pięknością w typie, który był mu szczególnie ulubiony – postawna, błękitnooka i czarnobrewa. Dziewczyna otworzyła zeszyt, umocowany w ciemnoniebieskich deseczkach i zaczęła go skrupulatnie przeglądać, kartkę po kartce, nie zdając sobie sprawy, że wzrok mężczyzny nie pominął w tym czasie żadnego szczegółu jej ciała.

– O tak, tu coś mam. – Uśmiechnęła się z radością. – Zamawialiśmy to *Jasminum* miesiąc temu dla pana Ferdynanda hrabiego Niezawitowskiego i odwieźliśmy mu je na Herburtów 5. Pan hrabia jest zresztą naszym stałym odbiorcą... – Ksenia znów zaczęła przeglądać zeszyt, nie mogąc się powstrzymać od ślinienia palca, co Popielskiemu wydało się szczególnie urocze. Zapisał adres hrabiego i z przyjemnością przyglądał się smukłej sylwetce dziewczyny. – O tak! – wykrzyknęła naraz z triumfem, nie zdając sobie sprawy z jednoznacznych uczuć swego rozmówcy. – Pan hrabia zamawia ten kwiat u nas często... Mam tu inne daty dostaw...

– Niech mi piękna panienka powie – Popielski zrzucił płaszcz na ramię, rozpiął marynarkę i wyprężył muskularną pierś – czy ktoś jeszcze zamawiał u was ten kwiat? To bardzo ważne dla pewnej trudnej sprawy kryminalnej, którą prowadzę.

Dziewczyna znów spłoniła się i spuściła oczy, po czym przejrzała zeszyt jeszcze żwawiej. Te poszukiwania niczego już jednak nie dały. Ksenia zrobiła smutną minkę, która prawie wzruszyła Popielskiego.

– Niestety nie – szepnęła zalękniona. – Już nikt inny nie zamawiał...

– A skąd się ten kwiat sprowadza? Z jakiego kraju? Czy jest trudno go dostać?

– Trudno – zarzucona gradem pytań Ksenia odpowiedziała tylko na to ostatnie pytanie. – Bardzo trudno, bo jest on niezwykle delikatny i chce dużo światła. Hodowcy z Turcji i greccy pośrednicy żądają za niego zapłaty z góry i nasz dostawca, pan Sznajderman...

– Nie musisz wtajemniczać tego pana w sekrety firmy! – Pani Bodnarowa weszła pomiędzy wazony i podparła się pod boki. – To nie należy do jego spraw...

– O, doskonale, że pani nie jest już zajęta. – Uśmiechnął się do niej swym najszerszym uśmiechem. – Jak miło widzieć panią znów w dobrym humorze... Pani uśmiech to jak słońce nad gradową chmurą...

– To trudny do utrzymania kwiat. – Cień rozbawienia przebiegł przez małe usteczka pani Bodnarowej. – I bardzo delikatny. Jak pan widzi, nasz zakład między kamienicami i nie przez cały dzień słoneczko tu zagląda... Kiedyś mi jeden jaśmin usechł w ciągu dwóch ponurych, deszczowych dni...

– I co? – zainteresował się Popielski. – Strata dla firmy? Trzeba z góry zapłacić hodowcy, a tu kwiat więdnie... I znów buzia szanownej pani będzie smutna...

– Czasami coś można zaradzić – szepnęła cicho Bodnarowa.

– A jak?

– To trochę nieeleganckie – stropiła się kwiaciarka. – Ale czasy są trudne... Kryzys mamy...

Popielski teraz sobie uświadomił, że najważniejsze informacje leżą zwykle w jakiejś szarej przestrzeni, w jakimś światłocieniu, w jakichś drobnych nielegalnych kombinacjach.

Podszedł blisko do Bodnarowej i przyłożył dłoń do ucha. Wiedział, że dotrze do niej gorzki i intensywny zapach perfum Atkinsona, kupionych mu niedawno przez Leokadię w eleganckim magazynie André.

– To wielka tajemnica? Może mi pani ją powie na uszko... Umiem być dyskretny...

– Och, jakże to się rozkokosił. – Właścicielka zakładu roześmiała się. – A w takim był złym humorze!

– No to jak? Zdradzi mi pani ten sekret?

– Tak, powiem ze względu na naszą dawną znajomość. – Pani Bodnarowa spoważniała. – Mamy bardzo podobny kwiat, też ładnie i bardzo intensywnie pachnie i zresztą prawie w tej samej cenie...

Spojrzała lękliwie na Popielskiego, lecz ten kiwał spokojnie głową, pokazując swą wielką wyrozumiałość. W duchu był pewien, że wyraz „prawie” świadczy o znacznej różnicy cenowej.

– Ten kwiat to stefanotis – oznajmiła cicho. – Kiedyś mi długo nie odbierali tego *Jasminum*, to niestety zwiędło, no i wysłałam im w zamian stefanotis, który znacznie lepiej znosi brak silnego światła...

– Komu „im”?

– Gdzieś tam na Zamarstynowie. Kseniu – powiedziała łagodnie – sprawdź no, drogie dziecko, w zeszycie. To musiało być jakoś latem... Szukaj stefanotis!

Ksenia znalazła ten adres równie szybko jak poprzedni.

– Pani szefowo, wysłałyśmy to na Balonową 12. W czerwcu, dokładnie 9 czerwca.

Popielski poczuł mrowienie na karku. Pan Leon Stawski może się spodziewać kolejnej jego wizyty.

– Nie ma to jak mądra, dojrzała kobieta. – Delikatnie pocałował w dłoń panią Helenę Bodnarową. – I w dodatku jaka powabna!

XXIX

ZANIM POPIELSKI PRZED KILKUNASTU LATY zamieszkał we Lwowie, jego życie toczyło się w innych miastach. Lata gimnazjalne minęły mu na krańcach Cesarstwa Austriackiego w skąpanym w zieleni Stanisławowie, studenckie – pośród wielopiętrowych kamienic imperialnego Wiednia, a wojenne – w brudnych, zakaraluszonych ziemiankach centralnej Rosji. Dopiero jako dojrzały mężczyzna osiedlił się we Lwowie i zapałał do niego – podobnie jak do swojej żony Stefanii, którą tutaj był właśnie poślubił – uczuciem gwałtownym i szalonym. Zostało ono jednak już na samym początku jego pobytu zmrożone i uległo diametralnej przemianie – w silną i nieubłaganą nienawiść. Kiedy bowiem Stefania umarła w wieku lat dwudziestu pięciu, wydawszy na świat ich jedyną córkę Ritę, spojrzał na to miasto już innymi oczami. Z Arkadii przemieniło się w Gehennę – w miejsce jego rozpaczy i codziennej udręki. Tutaj epileptyczne ataki stały się tak silne i nietypowe, że nie działało na nie żadne remedium, tutaj pojawiła się zmora bezsenności, która mąciła mu umysł. Poczuł się słaby i zwyciężony przez te przypadłości. Pozbawiony rozsądku we Lwowie ujrzał ich źródło i postanowił wrócić do swojego rodzinnego Stanisławowa. Nieoczekiwanie sprzeciwiła się temu Leokadia. Ta wierna czytelniczka Kartezjusza, któremu poświęciła swe lata studenckie pod światłą opieką profesora Edwarda Porębowicza, była zajadłym wrogiem irracjonalizmu, zaściankowości i zatęchłych małomiasteczkowych środowisk – ich umysłowość porównywała najchętniej do nieruchomego smrodu kloaki. Leokadia spokojnym tonem wytłumaczyła Edwardowi pożytki płynące z pozostania we Lwowie. Wśród

licznych argumentów jeden wdarł się szturmem w jego przytępione rozpaczą myśli.

– Drogi Edwardzie – przypominał sobie teraz, w drodze na ulicę Herburtów, słowa swej kuzynki. – Lwów to metropolia europejska, a jednocześnie swojska i przytulna. To miasto pełne życia, a jednocześnie skłaniające do refleksji i do namysłu. A wiesz dlaczego? Otóż dlatego, mój drogi, że tutaj mimo wielkomiejskości odległości między ważnymi punktami są tak niewielkie, że wszędzie możesz poruszać się na piechotę! A co może, by się nie nudzić podczas miejskich wędrówek, robić tak refleksyjny człowiek jak ty? Uprawiać właśnie refleksję! Myśleć, myśleć, nieustannie zastanawiać się nad ważnymi i intrygującymi kwestiami! Rozwiązywać problemy w czasie spacerów! W małym Stanisławowie nie zdążysz dobrze rozwinąć swych myśli, a już będziesz u celu wędrówki. A Lwów ma takie odległości, jak należy. Na tyle długie, by nie przerywać toku myśli, na tyle krótkie, by się nie zmęczyć. To miasto racjonalne, wprost wymarzone dla ciebie!

Leokadia miała rację – myślał Edward – kiedy wchodził w boczną zadrzewioną uliczkę Herburtów. Z komendy było tu niedaleko, lecz w sam raz tyle, by uzasadnić sobie samemu zaskakującą decyzję, którą był powziął. Otóż postanowił przesłuchać hrabiego Niezawitowskiego w chwili, gdy wszelkie tropy pchały go w stronę burdelu na Balonowej!

Zdecydował instynktownie i porzucił na chwilę uzyskany w kwiaciarni ewidentny ślad. Pod wpływem impulsu chciał najpierw zająć się znanym lwowskim filantropem i mecenasem artystów Ferdynandem hrabią Niezawitowskim. Polecił Zarembie zebrać o Stawskim wszelkie informacje, począwszy od wysoce prawdopodobnej zmiany nazwiska, a sam wyszedł z komendy i ruszył pod górę w stronę zajezdni tramwajowej. Tam chaos myśli rozrzedził się w jego głowie, a koło koszarów baonu telegraficznego

i domu Piłsudskiego zniknął całkowicie. Zrozumiał tam własną instynktowną decyzję. Otóż przesłuchanie hrabiego przed aresztowaniem głównego podejrzanego, Stawskiego, to oczyszczenie przedpola. Idę do hrabiego, myślał, naciskając dzwonek przy numerze 5, przytwierdzonym do parkanu otaczającego elegancką nowoczesną willę, by go usunąć z kręgu podejrzanych, by uzyskać jakieś jego alibi, by wiedzieć, że nikt inny – prócz Stawskiego – mi nie pozostaje. Potem to ja kierownika burdelu zjem na deser, rozsmakuję się w jego poplątanych zeznaniach i wydobędę mu z gardła informacje o zboczeńcach krzywdzących dzieci! Tak, Lodzia miała rację, to miasto jest rozumowe, a odległości w nim odpowiadają logicznym łańcuchom myśli. Nic dziwnego, że jest ono matematyczną stolicą Europy!

Z willi uroczystym krokiem wymaszerował kamerdyner i odebrał od Popielskiego wizytówkę. Przypatrzywszy się krytycznie i kartonikowi, i jego właścicielowi, odłożył wizytówkę na srebrną tacę i wpuścił Popielskiego do hallu. Komisarz, czekając na hrabiego, przyglądał się meblom w stylu *art déco*, który był ostatnim krzykiem mody. Zdążył się przyjrzeć jednak tylko ogromnemu eliptycznemu zwierciadłu osadzonemu na obłej, masywnej i lśniącej od lakieru komodzie, kiedy na schodach ujrzał wysoką postać hrabiego, znanego mu dotychczas jedynie z fotografij w gazetach, które niezmiennie wychwalały jego szczodrobliwość wobec przytułków i sierocińców.

Ferdynand hrabia Niezawitowski ubrany był w zieloną pikowaną bonżurkę z szarym jedwabnym kołnierzem i w szare wełniane spodnie. Z wycięcia w bonżurce wynurzał się kunsztownie pofałdowany szary krawat, z rękawów – wypielęgnowane dłonie bez śladu rodowej biżuterii, z nogawek spodni – stopy w eleganckich domowych pantoflach i w białych skarpetach. Przez grube szkła złotych okularów patrzyły pomniejszone oczy krótkowidza.

– Jak to miło poznać naszego lwowskiego Sherlocka Holmesa! – wykrzyknął hrabia emfatycznie. – Proszę, proszę na górę, do mojego gabinetu!

Odwrócił się na schodach i ruszył z powrotem, a jego wyglancowane pantofle odbijały błyski z olbrzymiego żyrandola wiszącego nad hallem. Nieco drwiące określenie Popielskiego wibrowało pod wysokim sufitem.

Lwowski Sherlock Holmes ruszył za hrabią i po chwili już siedział w ogromnym wygodnym fotelu z bocznymi ściankami w formie kół z litego drewna.

Urządzenie gabinetu było w takim samym stylu jak wystrój hallu. Ogromna biblioteka, zaokrąglona na swych brzegach, stała na wysuniętych prostokątnych podstawach. Biurko i stolik miały podobne owale, podobne podstawy i identyczne lakierowane i cieniowane powierzchnie, przez które przechodziły ciemniejsze pasy w regularnych interwałach. Kiedy już się napatrzył na grzbiety kilkujęzycznych encyklopedyj i na nowoczesne obrazy pełne barwnych plam i geometrycznych figur, spojrzał na Niezawitowskiego, który – nie zważając na przybyłego – kończył pisać list. Zanurzył stalówkę w kałamarzu, zamaszyście się podpisał, potem złożył list na czworo, z flakonika strząsnął nań kilka kropel perfum, włożył do koperty i zalakował.

– Nie mam zbyt wiele czasu dla pana, komisarzu – powiedział, odciskając na laku herbową pieczęć. – A już straciliśmy minutę, w czasie której pan swym bystrym wzrokiem szukał czegoś, co może świadczyć na moją korzyść lub niekorzyść... No właśnie, korzyść czy niekorzyść? Czekam, czekam, a zegar tyka...

– Czy w czasie ubiegłorocznych Targów Wschodnich był pan hrabia we Lwowie? – rozpoczął Popielski.

– Ach, od razu pyta mnie pan komisarz o alibi? – Niezawitowski się uśmiechnął. – O co jestem podejrzany?

Zachowanie hrabiego: najpierw brak zainteresowania, a potem niespodziewany atak w obronie – a wszystko to okraszone szelmowskim uśmiechem – Popielski odebrał jako sztuczne i teatralne. Jego rozmówca sprawiał wrażenie, jakby udawał, że udaje, czerpiąc z tego niezłą rozrywkę.

– Niedawno ujęliśmy groźnego radykała z Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy – komisarz wygłaszał uprzednio obmyślane wyjaśnienie. – Człowiek ten przyznał się, że w czasie ubiegłorocznych Targów Wschodnich usiłował dokonać zamachu bombowego na pewnego arystokratę. Zamiar ten udaremniliśmy, a informację o nim utajniliśmy. Przy niedoszłym zamachowcu znaleziono notes z kilkoma nazwiskami. Wśród nich było pańskie. Musimy wiedzieć, czy wtedy nie planował zamachu na pańskie życie. Toteż moje pytanie powinno brzmieć: czy widział pan hrabia, albo pańska służba, coś podejrzanego w okolicach pańskiej willi w czasie ubiegłorocznych Targów Wschodnich?

– O to, to, to! To jest właśnie dobrze postawione i precyzyjne pytanie. – Hrabia kciukami obu dłoni założył za uszy swe szpakowate długie włosy. – Odpowiadam zatem: niczego podejrzanego nie widziałem. A służby wtedy nie było. Zawsze w czasie targów ma wolne. Chce pan wiedzieć dlaczego?

– Nie chcę wiedzieć – skłamał Popielski. – To mi wystarczy... Niczego pan nie widział... – Zapisał to w notesie, wstał, kiwnął głową hrabiemu i ruszył ku drzwiom. Nagle odwrócił się na pięcie i zastosował metodę, o której się był dowiedział na policyjnych kursach: zaskoczyć przesłuchiwanego, gdy ten oddycha z ulgą na koniec przesłuchania. – Ach, jeszcze jedno – dodał. – Chciałbym pana hrabiego zapytać o kwiaty...

Obserwował uważnie swego rozmówcę, na którego obliczu pojawiło się teatralne zdziwienie. Było coś groteskowego w jego półotwartych ustach i

w wysoko uniesionych brwiach.

– Chodzi panu o kwiaty do domu czy na cmentarz?

Czy hrabia Niezawitowski jest trudnym rozmówcą – zapytał Popielski w myślach – przenikliwym psychologiem czy kiepskim aktorem? Udaje imitowanie czy zaskakująco odbija podstępne ciosy? Odpowiedział prawie bez wahania. Albo był na to pytanie przygotowany, albo jest geniuszem.

– Do domu. Na cmentarz nikt nie kupuje odurzająco pachnących kwiatów... Takich jak jaśmin wielokwiatowy...

– I tu pan komisarz się myli. – Hrabia przyklepał fale włosów. – Otóż ja kupuję je na cmentarz... A dlaczego pan akurat pyta o kwiaty?

– Ten radykał, podejrzany o knucie zamachu na pana hrabiego – Popielski swobodnie wypluwał kolejne kłamstwo – śledził pana... Tak twierdzi... Mówi mianowicie, że śledził pana od kwiaciarni Bodnarowej na Sapiehy, gdzie pan kupował kwiaty. W ten sposób uzyskał pański adres... Sądzę, że on kłamie... Nie wydaje mi się, by pan hrabia sam kupował kwiaty... To na pewno zadanie służby... Poza tym w kwiaciarni twierdzą, że je panu hrabiemu odwieźli...

– Tak – szepnął hrabia. – Oni sami mi dostarczali ukochane kwiaty dla Laury...

– Przepraszam, dla kogo? – Popielski obawiał się, że zaraz usłyszy pytanie: „Czy to zwykła ciekawość, czy to należy do śledztwa?”.

– Dla mojej nieżyjącej żony Laury. – Niezawitowski zawiódł tym razem komisarza.

– Bardzo mi przykro! – powiedział poważnie Popielski. – To straszne, jak umiera młoda osoba...

– Pan coś o tym wie, komisarzu. – Łzy stanęły w oczach hrabiego. – Moja żona nie miała trzydziestki, tak jak pańska... Proszę się nie dziwić,

każdy we Lwowie zna tragiczną historię pańskiego życia... Straszny koniec tej wybitnej artystki scen wiedeńskich i lwowskich...

– Pańska małżonka zmarła też przy porodzie? – Popielski poczuł mdłości na myśl, że podczas przesłuchania wykorzystuje własną tragedię.

– Nie, zmarła na hiszpankę, która w naszym mieście zbierała, jak wszędzie, wcale krwawe żniwo... Mam nadzieję, że ta straszna epidemia oszczędziła pana bliskich, komisarzu...

– Tak, oszczędziła... A wracając do kwiatów... Pańska żona lubiła intensywnie pachnące kwiaty?

– Tak, proszę pana. – Hrabia wstał zza biurka i zapatrzył się w okno. – Sypałem te kwiaty na jej nagie ciało, rozstawiałem donice wokół naszego łoża w alkowie. Zapach ulubionego przez żonę *Jasminum polyanthum* nas odurzał, a wino uderzało nam do głów. Czułem się jak na bachanaliach... A teraz stawiam te kwiaty zamiast żałobnych cyprysów wokół jej grobu...

Popielski analizował przez chwilę informacje, które go nagle opadły. Oto miał przed sobą człowieka, który w czasie obcowania cielesnego odurza się zapachem kwiatu – tak, tego samego, co był na ciele zgwałconej dziewczynki. Co on jeszcze robił w czasie tych parnych bachicznych nocy? Strzykał moczem na piersi swej żony? Parzył pokrzywą jej gładkie uda i pośladki?

– Czemu pan tak nagle zamilkł, komisarzu? – Niezawitowski wciąż uśmiechał się do swoich wspomnień.

– Tak pan hrabia otwarcie i bez skrępowania o tym mówi... – wykrztusił z siebie Popielski.

– Jest pan prawiczkiem czy przyzwoitką? Przy panu chyba mogę, drogi panie... Nie wie pan, że należymy do jednego klubu?

– Jakiego klubu? – Tym razem Popielski nie mógł opanować głębokiego zdziwienia.

– Do klubu miłośników wdzięków pani redaktor Kazimiery Piechowskiej z „Wieku Nowego”. – Hrabia podszedł do policjanta tak blisko, że ten poczuł jego oddech przesycony anyżem proszku do zębów. – Kiedyś takich jak my nazywano „przyszywanymi szwagrami”, wie pan? – Popielski, patrząc na swojego „szwagra”, miłośnika niezwykłych uciech, poczuł nagłą chęć udania się do lekarza chorób wstydliwych. – Uwielbiam jej włosy jak z *Szału uniesień*, jej wielkie, białe, rozlane cycki, jej piegowaty zad, a pan? Co pan u niej najbardziej lubi? Mówiła mi, że dosiadał ją pan *à la vache*... – Niezawitowski mlasnął językiem. – Drogi szwagrze, w czasie ubiegłorocznych Targów Wschodnich, gdy jej mąż ubijał tam dobre interesy, ja ubijałem na niej pianę. – Wyciągnął dłoń do Popielskiego. – Żegnam pana, komisarzu! Śpieszę się do klubu bridżowego, a pan niech przemyśli moje alibi!

Popielski podał mu rękę. Z równą przyjemnością mógłby dotykać łusek jaszczura.

Dzisiaj argument Leokadii o logicznej topografii Lwowa, o heurystycznych zaletach miejskich odległości, nie przekonałby go. Musiałby chyba trzykrotnie pokonać trasę z ulicy Herburtów na Kraszewskiego, by uporządkować chaos w swojej głowie, jaki tam zagościł po wizycie u hrabiego.

XXX

POPIELSKI SZEDŁ WZDŁUŻ WIELKIEGO GMACHU Poczty Głównej. Nie spieszyło mu się wcale. Opóźniał świadomie powrót do pustego mieszkania. Wiedział, co go tam czeka – cisza, chłód i wylęknione spojrzenia Hanny. Wiedział też, jak jałowe będą jego rozmyślania, kiedy przełknąwszy z trudem obiad, usiądzie w swym gabinecie i oprze ciężką głowę na szorstkim suknie biurka. Był pewien, że nic wtedy nie rozjaśni mu umysłu – ani kawa, ani nikotyna, która w nadmiarze będzie go potem dotkliwie drapać po gardle. Żadne cięcie nie przetnie węzła gordyjskiego ślepych intuicyj, żadna nadzieja nie odpędzi strachu o Leokadię i Ritę, żaden trop nie dojdzie do jego gończych nozdrzy.

Pesymizm tych przewidywań nie tylko okazał się słuszny, ale jeszcze się pogłębił, gdy Hanna wraz z odgrzewanym obiadem podała mu kopertę, którą krótko przed jego powrotem dostarczył do mieszkania policyjny goniec. List zapisany był kaligraficznym pismem, w którym nie było żadnych zaokrągleń przy „b” albo „a”, żadnych łagodnych wzniesień przy „s” albo „c” – lecz same ostre cięcia jak zapis elektrokardiograficzny. Właśnie takiej kaligrafii uczono pod koniec ubiegłego wieku w c.k. gimnazjum w Stanisławowie.

„Żadnych gwałcicieli dzieci w aktach – pisał Zaremba – Prawdziwe nazwisko Leona Stawskiego to Mordko Tugendhaft, wyznania mojżeszowego, ur. 1881 w Tarnopolu, syn krawca. Nienotowany w naszych aktach, żadnych dobrych wieści, *eheu*!”

Łaciński wykrzyknik „niestety!” dobrze oddawał stan ducha Popielskiego, gdy – odrzuciwszy nerwowo list na koniec stołu – zabrał się do cielęcego sznycla skropionego lekko cytryną. Mięso w chrupiącej

panierce było znakomite i soczyste, lecz on prawie nie czuł jego wybornego smaku. Kolejny plan działania spalił na panewce – brak jakichkolwiek informacyj o Stawskim to jednocześnie brak argumentów, które by skłoniły zarządcę burdelu na Balonowej do współpracy i do zeznań na temat zboczonych bywalców. Nie ma czym postraszyć tego Żyda, nie można go zaszantażować, pozostaje jedna jedyna metoda: brutalnie się z nim obejść, siłą go zmusić do mówienia! Było to jednak bardzo ryzykowne: żadna ewentualna skarga Stawskiego na przemoc policyjną nie byłaby wskazana, szczególnie teraz, kiedy badawcze i nieufne spojrzenie zwierzchników spoczywało na Popielskim – świeżo przywróconym do służby po wielu perypetiach, niesubordynacjach i nadużyciach władzy.

Nalał sobie wódki z małej, stugramowej karafki, jednym haustem wypił i zagryzł sznyclem. Alkohol i smaczne jadło pobudziły w nim energię.

Najpierw poszukać czegoś na Stawskiego... Tak, tak trzeba... Będę go śledzić dzień i noc! – mówił w myślach sam do siebie. – Zacznę dziś jeszcze!

Wypił kolejny kieliszek i spojrzał na duży zegar, który właśnie wybijał godzinę czwartą po południu.

– Ale najpierw łatwiejsze i mniej czasochłonne projekta – powiedział zamyślony do Hanny, która zbierała ze stołu puste naczynia. – Muszę teraz zatelefonować do profesora Kulczyńskiego!

– A po co? – machinalnie zdziwiła się służąca, której już doskwierało milczenie jej pana.

– Profesor Kulczyński zidentyfikował kwiat – oznajmił jej bezwiednie. – I stwierdził, że on nie uczula i nie parzy. Ale może się pomylił i znalezione przy Hanasównie płatki nie są wcale jaśminowe? Może to całkiem inny kwiat, którym sprytni sprzedawcy podmieniają trudne do utrzymania *Jasminum*? A może właśnie ten inny kwiat uczula

i parzy? Jak on się nazywa? No jak? Zapomniałem... – Hanna machnęła ręką i poszła z tacą do kuchni. Popielski wcale nawet tego nie zauważył. Otarł usta serwetą, zapalił papierosa, usiadł w fotelu pod zegarem i zaczął głośno mówić sam do siebie. – Oczywiście! – Klasnął dłonią w łysinę. – On się nazywa stefanotis! A zatem, *primo*, muszę dowiedzieć się od profesora, czy stefanotis parzy i wywołuje swędzenie! Florystka przyznała, że kwiaty są bardzo podobne, prawie nie do odróżnienia... Pytanie o stefanotis zakłada, że uczony się pomylił... Ale czy może mylić się taka botaniczna sława jak Kulczyński? A może właśnie tak było i dobrze nie rozpoznał starych i wyschniętych płatków! Sam zresztą podkreślił w rozmowie z Wilkiem, że nie ma stuprocentowej pewności. To wszystko muszę wiedzieć, bo być może czeka mnie znów rajd po kwiaciarniach, gdzie tym razem będę pytać o stefanotis! I dobrze! I będę pytać do skutku! A potem znajdę tego skurwysyna, który kupował stefanotis na ohydną schadzkę z Elżunią!

Wstał, pobiegł do przedpokoju i usiadł przy małym stoliku, na którym stał nowoczesny bakelitowy aparat. W książce telefonicznej znalazł adres i numer telefonu botanika. Wykręcił pięć cyfr – 289-29 – i słuchał wolnego sygnału.

– Mieszkanie profesorostwa Kulczyńskich – usłyszał po dłuższej chwili cichy kobiecy głos. – Słucham.

– Dzień dobry. Mówi komisarz Edward Popielski z policji kryminalnej. Czy mogę prosić do aparatu pana profesora?

– Pan profesor wyjechał wczoraj do Warszawy i wróci jutro. – Kobiecy głos był jeszcze cichszy, jakby rozmówczyni Popielskiego zdradzała wielką tajemnicę. Usłyszał następnie jakieś szepty, a potem inny głos kobiecy, władczy i zdecydowany.

– Halo, mówi żona profesora. W jakiej sprawie pan dzwoni, komisarzu? Co się stało?

– Nic się nie stało, szanowna pani profesorowo. Pani małżonek pomagał nam jako ekspert... – Popielski nie mógł stłumić westchnienia zawodu. – I znów chciałem go o coś zapytać... No cóż, nie ma, to nie ma... Do widzenia, szanownej pani!

Wrócił do salonu, otworzył okno, wciągnął do płuc wilgotne powietrze i zapatrzył się na Ogród Jezuicki. Bezlistne drzewa dzielnie opierały się podmuchom wiatru. Postanowił się nie poddawać – tak jak one.

Przekuj na swoją korzyść tę chwilową porażkę – myślał. – Nieobecność profesora jest zyskiem. Jeśli uczony się pomylił i zidentyfikuje ten kwiat jako stefanotis, to czeka cię czasochłonny trud ponownego chodzenia po kwiaciarniach i wypytywania. Ten znój będzie doprawdy beznadziejny, ponieważ stefanotis jest powszechnym kwiatem i w kwiaciarniach nikt pewnie nie zapamiętał klientów, którzy go kupowali. A zatem to w sumie dobrze, że profesora nie ma! Zaoszczędzisz trochę czasu! No, to do dzieła! Czas na podsumowanie przemyśleń!

– Nieszczęsną dziewczynkę – powiedział sam do siebie – poparzyły być może jakieś kwiaty. Ich identyfikacja jest ważna o tyle, że musimy wiedzieć, o co pytać w kwiaciarniach. Ale to całe pytanie jest, jak zauważyliśmy, syzyfową pracą, także i dlatego, że nic nam nie powie o gwałcicielu. A zatem, do jasnej cholery!, skupmy się na nim, a nie na kwiatach! Co o nim wiemy? Wszystko, co wiemy, jest w raporcie Pidhirnego! – Usiadł ciężko pod zegarem i przeczytał raz jeszcze tajny raport medyka, sporządzony tuż po porzuceniu dziewczynki przez gwałciciela w pustym warsztacie na Kochanowskiego. – Po sprawcy zostały jajko i mocz – skonstatował cicho i zaczął pisać gorączkowo na

bloku listowym, by nadać swym myślom zorganizowany kształt. Wiedział, że potrwa to długo, ale nigdy nie żałował tego trudu.

„Jajko, symbol niewinności wg Pidhirnego – pisał. – Mocz na dziecku – dowód dodatkowego pohańbienia przez sprawcę. To zboczeniec. Gdzie można natrafić na trop zboczeńca? *Primo*, w aktach policyjnych, *secundo* – u psychiatry”.

Przekreślił zamaszyście *primo* ze względu na brak wyników poszukiwań prowadzonych w archiwum przez Zarembę.

„Lewicki – pisał dalej. – Wybitny psychiatra. On może wiedzieć i on mi powie o zboczeńcach. Opory? Tajemnica lekarska? Bez obaw, porzuci wątpliwości, zgwałcono dziecko, którym się opiekował”.

„Popielski, stary dureń – napisał z pasją. – Dlaczego go o to nie zapytał przy porannej rozmowie? Bo go podejrzewał, idiota jeden! Marnowanie czasu!!!”

Zakręcił ze wściekłością skuwkę wiecznego watermana, pobiegł znów do telefonu, w książce telefonicznej znalazł adres doktora Lewickiego i numer. Wykręcił go i znów przeżył kolejne już dzisiaj rozczarowanie. Młodzieńczy głos poinformował go dość oschle, że „brat udał się do teatru i wróci najpewniej późną nocną porą”.

Popielski siedział przez chwilę nieruchomo, a potem wykręcił kolejny numer. Telefonował do człowieka, który interesował się psychologią zbrodni, do jedynego być może w Polsce, a na pewno we Lwowie, znawcy morderczych dusz.

Doktór Pidhirny, podobnie jak wszyscy, do których dziś dzwonił Popielski, był w domu nieobecny, lecz na szczęście tylko chwilowo. Po mniej więcej godzinie, jak powiedział Popielskiemu służący, miał wrócić z posiedzenia zarządu ukraińskiej poradni dla młodych matek.

Policjant zaciągnął węzeł krawata i – przewidując kiepską pogodę – włożył ciepły habsburski strój myśliwski: lodenowy płaszcz i ciepły kapelusz, otoczony plecionym sznurem. Wyszedł z domu i spojrzał na park. Rozchwiane wiatrem gałęzie drzew dodały mu otuchy. Nie poddawały się – jak on sam.

XXXI

NA ULICY NABIELAKA 53, pod willą doktora Pidhirnego, Popielski był dokładnie dwadzieścia minut po odłożeniu słuchawki. Okna domu – poza okienkiem służbówki w przyziemiu – były ciemne. Komisarz spacerował nerwowo z papierosem tam i z powrotem, obserwowany podejrzliwie i przez woźnego z sąsiedniego domu spółdzielni profesorów politechniki, i przez szkolnego pedla, który na tyłach gimnazjum Królowej Jadwigi zamiatał zerwane wichurą gałęzie. Ten ostatni nie spuszczał wzroku z wysokiego, potężnego mężczyzny w kapeluszu ze sznurkiem. O tak, on, stary gimnazjalny funkcjonariusz, nie raz i nie dwa widział w okolicach żeńskiej szkoły nagich pod płaszczem gorszycieli zażywających niby to spacerów w porze, gdy dziewczęta kończyły swe zajęcia pozalekcyjne!

Popielski zauważył wprawdzie zainteresowanie pedla, lecz niewiele się nim przejął, a nawet w myślach pochwalił jego czujność. Po wypaleniu dwóch papierosów, kiedy już nieco zmarzł, dostrzegł charakterystyczną, nieco zgarbioną postać medyka, który szybkim krokiem szedł od strony ulicy Lenartowicza. Policjant ruszył ku niemu, rozgrzewając oddechem skostniałe dłonie, i zastąpił mu drogę tak nieoczekiwanie, że zamyślony Pidhirny aż się wystraszył. Spojrzał spod ronda kapelusza twardym i wyzywającym wzrokiem, lecz zaraz się rozchmurzył na widok znajomej figury.

– O, pan komisarz! – Uśmiechnął się wesoło. – Na mojej ulicy! To przypadek czy pan może do mnie?

– Dzień dobry, doktorze! Ja do pana. Pilnie potrzebuję pańskiej konsultacji...

Medyk spoważniał i wskazał ręką ciemny dom.

– Muszę iść po środki dezynfekujące, a potem do rannego robotnika...

– Sprawa jest na tyle pilna, że każda minuta jest droga. – Popielski ujął Pidhirnego pod ramię. – Może będzie szybciej, jak pospacerujemy tutaj przez chwilę...

Medyk był najwyraźniej zażenowany przyjacielskim, prawie intymnym gestem Popielskiego.

– A najszybciej będzie – mruknął, delikatnie uwalniając ramię od dłoni policjanta – jak nie będziemy nigdzie spacerować, a pan, komisarzu, przejdzie od razu do rzeczy...

Pedel gimnazjalny przez chwilę obserwował obu mężczyzn. Nie stracił ani na chwilę obywatelskiej czujności. Zastanawiał się gorączkowo, czemu ci dwaj eleganci stoją nieruchomo w zapadającym już zmierzchu i w chłodzie porywistego wiatru. Czemu ten wyższy i mocno zbudowany nachyla się ku swojemu rozmówcy i coś mu szepce na ucho, do czegoś go usilnie namawia? Dlaczego ten niższy i przygarbiony opiera się gwałtownie i czemuś zaprzecza? Może są szpiegami? – wnioskował na podstawie bliskości sowieckiego konsulatu, który znajdował się na tejże samej ulicy Nabielaka. Wiedziony niepowstrzymanym impulsem zbliżył się do mężczyzn ze swą miotłą. Jego ekscytacja wzrosła. Obaj, po krótkiej sprzeczce, rozmawiali teraz o jakichś poparzeniach i o kwiatach.

Porozumiewają się szyfrem – pomyślał pedel i natychmiast udał się do szkoły, by zatelefonować na policję. Zdawał sobie sprawę, że jego powiadomienie zostanie zignorowane, jak zawsze. Wiedział nawet, że policjanci z pobliskiego komisariatu VI nadali mu ironiczne przezwisko „oficer kontrwywiadu” lub krócej – „dwójkarz”. Mimo wszystko pobiegł do dyżurki, by spełnić patriotyczny obowiązek. Usłyszał obietnicę, że

niedługo policyjny patrol zweryfikuje podejrzenia dozorcy. Oni tak zawsze mówią – pomyślał i pozostał już w szkole, wciąż wyglądając przez okno.

A obaj panowie, uwolnieni od jego czujnej obecności, rozmawiali już teraz swobodnie.

– A zatem kwiaty mogą wywołać podrażnienia. Świetnie, że pan to potwierdza, doktorze – kończył myśl Popielski. – Ale nie z tym do pana przyszedłem... Chodzi mi o gwałciciela...

– Nie wypieram się już teraz tak stanowczo, jak przed chwilą, mojego udziału w tej okropnej sprawie... Ale i tak niechętnie o tym wszystkim z panem mówię. – Pidhirny spojrzał na zegarek. – I trochę się spieszę. Wszystko już zawarłem w moim raporcie. O sprawcy to tyle wiadomo, ile napisałem... To zresztą raport nieoficjalny i prywatny... Nie wiedziałem, że Hanas pana zatrudni... Czuję się teraz trochę zakłopotany... Powinienem był powiadomić o wszystkim władze policyjne. Proszę pana o dyskrecję.

– Oczywiście. – Popielski chciał uśmiechnąć się przyjaźnie, ale na jego twarzy pojawił się jakiś zły grymas. – Ja też nieoficjalnie i prywatnie prowadzę to śledztwo i odwzajemniam się taką samą prośbą... Jedziemy na jednym wózku... Czy mogę zatem prosić pana o bardziej szczegółowe interpretacje psychiki sprawcy? Teraz, bardzo proszę!

– Nie mam czasu na wykład, ale słucham. – Głos Pidhirnego był suchy i opanowany, jak zawsze przy referowaniu kwestyj naukowych. – Niech pan pyta!

– Dlaczego gwałciciel oddał mocz na sukienkę dziecka? Czy przychodzą panu doktorowi inne wyjaśnienia niż „chęć pohańbienia”?

– Nie.

– A skąd w ogóle ta myśl o pohańbieniu?

– Oddanie moczu na zgwałconą osobę – mówił cicho Pidhirny, patrząc na mijające ich gimnazjalistki z blokami rysunkowymi pod pachami – to

zjawisko występujące...

– Głównie w więzieniach – wszedł mu w słowo Popielski. – I chodzi tu o gwałty sodomickie... Nie widzi pan doktór sprzeczności w okolicznościach tego ohydnego czynu?

– Jakiej niby? – Twarz Pidhirnego stężała, ale po sekundzie się rozpromieniła. – Do diabła, ma pan rację, komisarzu! Hanas wymagał szybkiego raportu i nie przemyślałem wszystkiego należycie. Wiem, do czego pan zmierza. Tu jest rzeczywiście sprzeczność: z jednej strony pohańbienie po gwałcie, czyli zachowanie właściwe dla degenerata kryminalisty, a z drugiej teatralna oprawa, kwiaty, jajko rozbite na łonie dziewczątka... To wszystko dowody wysublimowanego umysłu... Że ja o tym nie pomyślałem! Tak, to jawna sprzeczność!

– Tak jest! – prawie zakrzyknął Popielski. – Krótko mówiąc, degenerat sypiący kwiaty na dziecko, gwałcący je, a potem hańbiący je moczem to trochę niewiarygodne! Jajko i kwiaty mają wyjaśnienia symboliczne. To przekonuje! Ale oddanie moczu na ofiarę nie może mieć znaczenia symbolicznego, bo degenerat kryminalista nie może być estetą! Czyli jak można to wyjaśnić? No jak, drogi doktorze? Do jasnej cholery, dlaczego on się na nią odlał?

Pidhirny wzdrygnął się, słysząc to wulgarne określenie, ale nie skomentował tego ani słowem. Długo milczał. W końcu zwrócił się do Popielskiego ze stanowczym żądaniem powtórzenia początku ich rozmowy.

– Na początku naszego spotkania wspomniał pan, komisarzu, o możliwej pomyłce w identyfikacji kwiatów. Pojawiła się wtedy u mnie pewna myśl, ale ten natrętny dozorca szkoły ją spłoszył. Niech pan powie raz jeszcze o tych kwestiach botanicznych, a może wróci do mnie to cenne skojarzenie!

– Profesor Kulczyński zidentyfikował ten kwiat jako jaśmin wielokwiatowy – powtarzał Popielski cierpliwie. – Ta roślina nie ma żadnych żrących soków, które spowodowałyby wybroczyny na udach dziecka. Ale floryści często zamiast autentycznego jaśminu sprzedają jego imitację, a mianowicie... Jak to się nazywało? Zapomniałem... I jeśli to, co znaleziono przy ofierze, jest tylko imitacją, to być może ta imitacja spowodowała wybroczyny, a nie jaśmin. Nie mogę tego teraz sprawdzić, bo profesora Kulczyńskiego nie ma we Lwowie, a dla mnie ważne jest, czy mam szukać klientów, którzy kupili botaniczny autentyk, czy tych, co kupili kopię. Tylko to powiedziałem na początku naszej rozmowy.

– Czy ten autentyk mocno pachnie? – zapytał zamyślony medyk.

– Tak.

– A kopia?

– Też!

– Panie komisarzu – mówił wolno Pidhirny. – Sprawca może być uczulony na intensywny zapach kwiatów i mógł u niego wystąpić gwałtowny wstrząs. Oto, co towarzyszy takiej reakcji: skóra staje w ogniu, oczy dotkliwie bolą i łzawią, katar wypełnia nos, a język puchnie i zamienia się w knebel... do tego *anasarca*.

– Jestem filologiem, ale łaciny medycznej dobrze nie znam...

– Obrzęk, a tu mamy obrzęk Klinkego – medyk spojrzał na Popielskiego z niejakim zdziwieniem. – Wygląda to wszystko tak w porządku chronologicznym: dławienie, duszenie, obfite poty, utrata przytomności, drgawki, a na koniec... tu niech pan uważa! a na koniec...

Poczekali chwilę, aż minie ich jakaś starsza jejmość z małą dziewczynką drepczącą przy jej boku.

– ... bezwiedne oddawanie kału lub moczu albo obie te rzeczy naraz!

– Spotkał pan kiedyś takiego człowieka uczulonego? Czy jest nim może Ferdynand hrabia Niezawitowski? Czy może pan tu złamać tajemnicę lekarską?

– Komisarzu – Pidhirny cedził słowa z zimną stanowczością – oświadczam panu z całą mocą, że w tej sprawie sprzeniewierzyłbym się etyce i złamałbym tajemnicę lekarską. Ale naprawdę, i dodajmy: niestety, nikogo takiego nigdy osobiście nie spotkałem ani nie leczyłem.

– A kto takich leczy? Lekarz jakiej specjalności?

– Atopie, bo tak nazywają się różne reakcje uczuleniowe, próbuje się leczyć promieniami Roentgena albo lekkimi elektrowstrząsami. O ile wiem, takie zabiegi wykonuje się na Kulparkowie oraz w naszej uniwersyteckiej klinice chorób nerwowych. I tu, i tam, uprzedzam pańskie następne pytanie, nie udostępnią panu żadnych akt pacjentów. Chyba że nakaże im to prokurator, sędzia śledczy albo szef lwowskiej Izby Lekarskiej. A teraz proszę mi wybaczyć...

– Jeszcze jedno, doktorze – powiedział szybko Popielski. – Czy na ciele albo lepiej w ciele dziecka były jakieś ślady świadczące o przemocy, o gwałcie?

– Nie. Ani na ciele, ani w obrębie narządów rodnych nie było żadnych dodatkowych obrażeń, które by mogły świadczyć o przemocy wobec tej dziewczynki – odparł głucho medyk.

Podał rękę policjantowi i ruszył w stronę ciemnego domu.

Komisarz stał w zamyśleniu, nie przejmując się drobną mżawką, która rozwiewana przez wiatr osiadała na jego kapeluszu. Myślał tak intensywnie, że nie zauważył patrolu policyjnego, który go mijał. Nie dotarło do niego pozdrowienie: „Dzień dobry, panie kumisarzu!”. Ani rzucony ściszonym głosem komentarz: „Patrz, braci, ten duzorca ze szkoły wziął naszegu Łyssegu za sowieckiegu szpiega!”.

Popielski niczego nie słyszał. Wciągał w nozdrza woń tropu.

XXXII

Z MAŁEJ ULICZKI ŚWIĘTEGO MICHAŁA przy hotelu Narodna Hostynnycia wyjechała brudna i mocno pordzewiała transportowa trójkołówka marki Morgan. Skręciła w prawo, a potem w lewo – w reprezentacyjną ulicę Sykstuską. Potoczyła się powoli i zatrzymała po kilkudziesięciu metrach. Swym zaniedbaniem kontrastowała mocno z pięknymi kamienicami, wśród których prawdziwą perłą był wspaniały secesyjny budynek o owalnych oknach poprzedzielanych alegorycznymi figurami. Tam w przestronnych i zadymionych salach nad drukarnią Artura Goldmanna zbierała się w parzyste dni tygodnia na bridżu cała lwowska śmietanka artystyczna i polityczna.

Dwaj potężni mężczyźni, cisnący się w szoferce, nie wyglądali ani na jej członków, ani na grzecznych obywateli, którzy by podziwiali skarby secesyjnej architektury Lwowa.

Siedzieli w spokoju i w milczeniu, uważnie obserwując pustą ulicę, zasypywaną deszczowo-śnieżną zawieją, która wywiała wszelkich przechodniów, podobnie zresztą jak i policyjne patrole. Gdyby nie kołyszące się na linach i rozsiewające żółtawe światło latarnie oraz kilku objętych wpół pijaków, zmierzających od strony Wałów Hetmańskich, ulica zdawałaby się całkiem zamarła.

Nieco ruchliwiej zrobiło się około godziny dziesiątej wieczór, kiedy to pojawiły się prywatne powozy i automobile oraz miejskie dorożki. Wkrótce z bramy wysypali się bridżyści rozprawiający gorączkowo o interesujących rozdaniach.

Wśród nich był Ferdynand hrabia Niezawitowski. Żegnając się ze współgraczami, stał na ulicy, rozglądał się za swoim szoferem i przecierał

mokre okulary.

Ludzie wsiedli do swoich pojazdów, a ulica znów opustoszała. Po kilku minutach pozostała na niej jedynie trójkołówka, która właśnie zawarkotała i wysłała w mokre powietrze solidną porcję spalinowych gazów.

Zakołysała się gwałtownie, kiedy jej szoferkę opuściło dwóch mężczyzn. Zdeptali oni niedopałki papierosów, podeszli z dwóch stron do Niezawitowskiego, a jeden z nich uprzejmie zapytał:

– Podwieźć pana hrabiego do domu? Taka pogoda nieprzyjemna...

Niezawitowski nie musiał nawet zakładać okularów, by przekonać się, że przyjazna propozycja wyraźnie kontrastuje z ponurymi mordami. Odpędziwszy się od nich ruchem ręki jak od natrętnych much, szybko wskoczył do bramy klubu, a następnie chciał wbiec na schody prowadzące do portierni. Ale nie mógł tego uczynić. Ktoś stał u podnóży schodów i blokował mu drogę. Tym razem hrabia włożył na nos mokre okulary. Ujrzał wysokiego i szerokiego w barach mężczyznę, który uniósł kapelusz i poprawiał karnawałową maskę zakrywającą mu pół twarzy. Był ubrany o wiele lepiej od oprychów, którzy proponowali mu przed chwilą podwiezienie. Ten dandys przypominał tyrolskiego łowczego – lśniące od pasty brązowe buty, ciemnozielony lodenowy płaszcz narzucony na ramiona i kapelusz ze sznurkowym otokiem nad rondem. Uśmiechał się do hrabiego, ale w jego oczach było równie dużo przyjaznych uczuć jak w zaropiałych ślipiach pasażerów trójkołówki.

Uczynił nieznaczny ruch ręką i hrabia stracił kontakt z otoczeniem.

***

PO DŁUGIEJ JEŹDZIE, w czasie której Niezawitowski ocknął się i stwierdził, że leży w kajdankach i w worku na głowie w śmierdzącej budzie, pojazd się zatrzymał. Hrabia poczuł, że kilku mężczyzn bierze go na twarde kościste ramiona i dokądś unosi w wielkim pośpiechu. Po chwili

rzucono go jak kukłę i zdarto mu worek z głowy. Po uciążliwej podróży, kiedy obijał się był o żelazną podłogę budy, wypchany słomą siennik, na jakim się teraz znalazł, był mu milszy niż puchowa pościel. Po cuchnącym smołą i benzyną worku zatęchła woń krochmalu, którą teraz wdychał, wydała mu się aromatami Indyj.

Leżał i przecierał oczy krótkowidza do chwili, gdy z mgły wynurzyły się wypielęgnowane palce podające mu okulary. Do jego nozdrzy doszła korzenna woń męskich perfum.

– Wiem, hrabio – dla niepoznaki Popielski mówił piskliwym głosem z żydowskim akcentem – że być może całe to porwanie i przesłuchanie nie przyniesie żadnego efektu... Być może żadne psychologiczne triki nie zmuszą pana do przyznania się do gwałtu... – Wytarł szmatą ceglaną ścianę, aby następnie powiesić tam na kołku płaszcz i kapelusz. – Tak, ja z tych sztuczek po prostu zrezygnuję – piszczał i żydłaczył Popielski. – Przejdę do metod bezpośrednich. Prawda, mój drogi hrabio, ma różne kryteria. Kartezjusz na przykład twierdził, że tym kryterium jest oczywistość, a empiryści, że jest nim doświadczenie. Podzielam ten ostatni pogląd. Otóż oznajmiam panu, że jeśli się pan nie przyzna dobrowolnie do zhańbienia małoletniej Elżbiety Hanasówny, poddam pana eksperymentowi, który wszystko zweryfikuje.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na krześle, złote spinki wyjął z mankietów i schował je pieczołowicie w pugilaresie. Następnie podwinął rękawy i stanął w dużym rozkroku nad leżącym. Ten rozejrzał się wokół. Widoczne pod ścianą krany i zlewy, charakterystyczne dla jakiegoś pomieszczenia gospodarczego – być może pralni – zdawały się hrabiemu narzędziami najwymyślniejszych tortur, rozkraczony nad nim mężczyzna w masce wydawał się katem, a ukryci w cieniu – demonami piekieł. Zaczął drżeć na całym ciele. Na jego czole pojawiły się grube grochy potu.

– Nie będę zatem tracił czasu na przesłuchiwanie pana. No, chłopaki – rzucił w ciemność. – Zaczynamy!

Z mroku wynurzyło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich podniósł hrabiego i posadził go na krześle. Drugi wręczył mu do ręki jakąś kartkę.

– Czytaj! – mruknął pomocnik Popielskiego.

– Co mam czytać? – Oczy hrabiego były rozbiegane, ręce drżały, spod rozpiętego kołnierzyka zaczęła wydzielać się smrodliwa woń przerażenia.

– Czytaj czarne, białe zostawiaj!

– *Powrót taty*, ballada. – Głos Niezawitowskiego się łamał.

– Czytaj wyraźnie i nie płacz! – warknął oprawca i walnął hrabiego w kark.

Cios był na tyle mocny, by skarcić, i na tyle słaby, by nie odebrać tchu. Niezawitowski odchrząknął i zaczął dukać.

> – Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem, / Za miasto, pod słup na wzgórek, / Tam przed cudownym klęknijcie obrazem, / Pobożnie zmówcie paciórek. / Tato nie wraca; ranki i wieczory / We łzach go czekam i trwodze; / Rozlały rzeki, pełne zwierza bory, / I pełno zbójców na drodze. / Słysząc to dziatki biegą wszystkie razem, / Za miasto, pod słup na wzgórek, / Tam przed cudownym klękają obrazem, / I zaczynają paciórek.

– Wystarczy – w ciemności rozległ się nieznany hrabiemu władczy głos – to nie on. Teraz mu ćmagi, ale do syta!

Dwaj mężczyźni podeszli do hrabiego. Jeden nalał wódki do szklanki i podał ją więźniowi. Ten wypił chciwie całą zawartość. Drugi podetknął mu pod nos kawałek chleba i ogórek. Hrabia zagryzł i rozejrzał się wokół. Nie dostrzegł już Popielskiego.

Ten stał w sąsiednim pomieszczeniu obok Zygmunta Hanasa, który z bólem patrzył na córkę, kiedy dwaj inni jego pretorianie wnosili ją po piwnicznych schodach. Kiedy już odwracał oczy od wzdętego płodem

brzucha dziewczynki, ta – wciąż leżąc na ich rękach – uśmiechnęła się do ojca radośnie, a z kącika jej ust wypłynęła wstążka śliny.

Hanas odwrócił się wolno do Popielskiego. W jego oczach lśniły łzy.

– Co się tak patrzysz? – mruknął groźnie. – Ciebie nie wzrusza ten wiersz?

– Wzrusza – odburknął Popielski. – Ale nie tak bardzo jak historia o królewnie Marysi. Gdyby hrabia czytał to, jeszcze teraz bym szlochał.

– To nie on – warknął Hanas, z trudem powstrzymując wściekłość na wodzy. – Elżunia nie rozpoznała jego głosu. Pomyliłeś się, Łyssy! Za co ci, kurwa, płacę?!

– Fałszywy trop – odparł obojętnie Popielski i zaczął zapinać swoją garderobę. – Nie obiecywałem, że od razu trafię...

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– A co tu więcej mówić? – prychnął Popielski.

Hanas poczekał, aż Elżunia zostanie wyniesiona z piwnicy. Potem podszedł powoli do policjanta.

– Wczoraj w nocy pokazałem Tośkowi twoje panie – mówił lodowatym głosem. – Obie smacznie spały. Stanąłem razem z Tośkiem w drzwiach ich pokoju. Odsłoniłem kołdrę z ud i tyłeczka twojej córki... Dwóch ludzi trzymało Tośka, bo tak się do niej rwał... Jak myślisz, co miał przed oczami, kiedy później przez pół nocy strzykał spermą i wył jak zwierz w swojej komorze? – Zapadła cisza przerywana czkaniem hrabiego, któremu goryle wlewali do ust potężne porcje żrącej gorzały. – Obiecaj mi, Łyssy – szepnął Hanas – że to ostatni raz... Że ostatni raz okazałeś mi takie lekceważenie...

– Obiecuję, że to ostatni raz – zabulgotał Popielski, jakby to jego pojono podłą wódką – tak pana zlekceważyłem...

– Skamli pies. – Hanas uśmiechnął się i poklepał Popielskiego po gorącym policzku. – Dobry pies, już nie będzie ujadał na pana.

Goryle Hanasa roześmiali się tubalnie. Hrabia Niezawitowski, w którym bulgotały dwie kwaterki wódki, też prychał śliną.

Usta Popielskiego drżały. Górne wargi odsłaniały zęby. To dygotanie wprawiało w ruch całe jego oblicze. Purpurowa skóra głowy jakby zwiotczała. Przeszły pod nią wolno niewielkie fale. Potem wszystko wróciło do normalnego stanu.

– No, idź już, idź. Do roboty! – Hanas huknął tubalnym śmiechem.

Popielski odwrócił się i boczną klatką schodową wyszedł do ogrodu.

Obietnica „ostatniego razu”, której udzielił Hanasowi, została prawie dosłownie w niedługim czasie potrojona w trzech różnych miejscach we Lwowie.

– To się nigdy nie powtórzy, jaśnie panie hrabio – dwadzieścia godzin później zaklinał się szofer, stojąc przed rozsierdzonym i zdeformowanym przez straszliwego kaca obliczem Ferdynanda hrabiego Niezawitowskiego. – Nie zostawię już nigdy auta poza garażem i żaden łobuz nie przebije mi dętek!

– Przyrzekam, panie szefie! To już ostatni raz pozwalam sobie na takie niedbalstwo, że nie zwracam uwagi na to, kto wchodzi do klubu. – Woźny klubu bridżowego udawał w gabinecie kierownika prawdziwą rozpacz, a musiał bardzo się starać, bo zwitek pięciu banknotów dziesięciozłotowych, którymi go wczoraj skorumpował wysoki facet w masce i w stroju myśliwskim, napawał go dziką radością.

– To był nasz ostatni raz – powiedział Popielski nazajutrz pani Kazimierze Piechowskiej. – Nie lubię się z nikim dzielić moimi kochankami.

XXXIII

– OGŁASZA MI PAN TAK PO PROSTU SWOJĄ WOLĘ. – W oczach Kazimiery Piechowskiej zalśniły łzy. – Jak pan i władca. A jakiż to jest powód? Bo przed panem miałam innego kochanka? A czy pan do spotkania ze mną był prawicem? Pięćdziesięcioletni prawic! – Roześmiała się głośno, budząc zainteresowanie gości przy sąsiednich stolikach.

Papieros drżał w jej wypielęgnowanych palcach. Wolną ręką układała nerwowo woalkę, aż ta zupełnie przesłoniła jej twarz. Zza czarnej koronki paliło Popielskiego jej spojrzenie.

Wytrzymał je prawie minutę. Potem spuścił wzrok. Na marmurowy blat stolika, na łakocie i na kawę. Nie miał ochoty na otoczone kruchym ciastem jabłko, w którego wydrążeniu pływały malinowe konfitury. Nie chciał pić aromatycznej kawy. Pragnął tylko jednego – wyznać swej przygodnej kochance, że hrabia Niezawitowski mówił o swoim z nią romansie w czasie teraźniejszym, nie przeszłym. Ale co to da? Wyobrażał sobie dalszą część takiej rozmowy. Kazimiera na pewno zgromi hrabiego, padną z jej strony oskarżenia przeciwko niemu – o kłamstwo, o erotomanię, o oczernianie dawnej kochanki.

Przewidziawszy takie konsekwencje rozmowy, Popielski wybrał milczenie. W duchu przeklinał swoją chuć, a nade wszystko – swoją butę i pychę, które kazały mu potraktować tę kobietę jedynie jak narzędzie rozkoszy. Nie dostrzegłem w niej człowieka – myślał – a wręcz przeciwnie: uczyniłem z niej przedmiot i objawiłem jej pogardę. Wracając do pracy w policji, do dawnych przywilejów i korzyści, przypieczętowałem erotycznie mój sukces. Dudniłem kułakami po piersi jak zadowolony goryl,

ryczałem jak syty samiec na rykowisku, odtrąbiłem tryumf nad jej wykorzystanym ciałem. Równie dobrze, a nawet lepiej, mógłbym pójść na dziewczynki. Ale nade wszystko zamiast ugniatać tę kobietę w garderobie starego lubieżnika, zamiast tarzać się z nią w pyle kolorowego pudru, powinienem być strażnikiem mojego domu i mojej córki!

Westchnął ciężko. *Quidquid aetatis retro est, mors tenet*. To, co minęło, jest już zanurzone w śmierci, przypomniał sobie zdanie Seneki. To, co się stało, już się nie odstanie – zinterpretował je swojsko. Teraz już tylko trzeba przeprosić moją jednorazową kochankę. Ale za co? Za to, że chciałem tego, czego i ona? Nie – odpowiedział sam sobie – przeproś ją za brutalne słowa rozstania, które doprowadziły ją do łez!

– Przepraszam panią – odezwał się cicho – za moje grubiaństwo. Nie powinienem podawać żadnych uzasadnień naszego rozstania. Byłoby to mniej bolesne dla pani.

– Ach, pan myśli, że mnie dotknął? To paradne! – Kobieta wybuchła śmiechem i wystukała coś czerwono lakierowanymi paznokciami na kartonowym pudełku papierosów Złota Pani. – Pan sobie doprawdy pochlebia! A może podobnie pochlebnie pan myśli o swoich wyczynach erotycznych, co? Ho, ho, ho...

Powiedziała to bardzo głośno. Kilka osób siedzących przy sąsiednich stolikach odwróciło ku nim głowy. Ktoś parsknął śmiechem. To zachowanie ani przez chwilę nie zachwiało zasad Popielskiego, które głosiły, że prawdziwy dżentelmen powinien nawet krótki romans, nawet jednorazową przygodę, wykluczając oczywiście kontakt z kurtyzanami, kończyć godnie, a nie – jak letkiewicz, jak byle casanowa z przedmieścia – unikać spotkań z dawną kochanką lub udawać, że jej nie zna.

– Droga pani – zaczął powoli i szukał odpowiednich słów, aby wygłosić krótki wykład o źle zorganizowanym mieszczańskim świecie, który jest

jednocześnie najlepszym z możliwych światów. O wyrzutach sumienia, o żądzy i o opamiętaniu.

– Tak, słucham pana!

Dostrzegł w jej oczach nadzieję, delikatny uśmiech przez łzy. Nie było szans na aksamitne rozstanie.

– Nie obiecywaliśmy sobie długiego romansu. – Wstał od stolika. – Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Do widzenia!

Piechowska również wstała. Powolnym ruchem sięgnęła po filiżankę i chlusnęła Popielskiemu w twarz jej zawartością. Gorące smugi lały się po jego powiekach, opływały nos i kapały z gładko ogolonego podbródka na krawat, koszulę i marynarkę. Śnieżnobiała koszula i jedwabny krawat od Harrodsa wchłaniały gęsty, słodki, czarny płyn. Kawa rozlewała się po marynarce i po delikatnych splotach bielskiej wełny. Sięgnął po serwetkę, otarł nią twarz i ruszył do baru. Zmusił się, by nie zareagować gniewem na wystraszone spojrzenia kelnerek, by nie widzieć współczujących min kobiet i ironicznych uśmiechów mężczyzn. Słusznie to wszystko przewidział. Klientela cukierni Hel piorunowała go wzrokiem.

Podszedł do baru, przy którym stała obsługująca go przed chwilą kelnerka. Za sobą usłyszał szybki stukot pantofli i głośne trzaśnięcie drzwiami. Podkute obcasy wybiły gwałtowny rytm na chodniku ulicy Hetmańskiej.

– Wyszła? – zadał kelnerce oczywiste pytanie. – Ta kiwnęła głową i spojrzała na niego z niechęcią. Zza jej koronkowej opaski na głowie wymknął się niesforny lok. – Proszę jeszcze kieliszek starki, wypiję tu, przy barze. – Wręczył kelnerce pięć złotych. – To za kawę, ciastka, wódkę i za wszystkie straty, w tym za czyszczenie obrusu i dywanu. Czy wystarczy?

– To będzie aż nadto. – Kelnerka spojrzała na niego w zamyśleniu.

– Reszta jest dla pani.

– A kwiaty, które miałam podać do stolika? Co z nimi? – W oczach dziewczyny nie było nawet cienia wdzięczności. – Kazał pan, by dać tej pani, co wyszła... Ale jej nie ma... I co teraz? Co z nimi zrobić?

– Są dla pani!

– Nie chcę ich! – oznajmiła sucho dziewczyna i wręczyła mu bukiet herbacianych róż. – One przynoszą nieszczęście kobietom!

Kelnerka była zarumieniona i drżąca. Dużo nerwów musiała ją kosztować ta impertynencja.

Popielski uniósł kieliszek do ust i przechylił gwałtownie głowę. Mocna wódka podrażniła mu gardło.

Uśmiechnął się krzywo i poszedł z bukietem róż do ubikacji.

Wszedł tam, położył kwiaty na brzegu umywalki, odkręcił kran i chlusnął sobie wodą w twarz. Potem zmoczył róg ręcznika i zaczął czyścić swą garderobę. Z równym skutkiem mógłby teraz wybiec za Kazimierą i prosić ją o wybaczenie.

– Kurwa jego mać! – przeklął przez zaciśnięte zęby, kiedy ktoś otworzył drzwi tak gwałtownie, że uderzyły go one w bark i pchnęły w stronę małego, zamazanego wapnem okna.

– Niełądnie, oj, niełądnie, komisarzu. – Doktór Pidhirny stanął w progu i powiedział, patetycznie wznosząc głos: – Policjant musi się wystrzegać wszystkiego, co by go wystawić mogło na złośliwe uwagi, obmowę lub na pośmiewisko publiczności!

– Paragraf szesnasty – mruknął Popielski – instrukcji dla Policji Państwowej. Widzę, że zna się pan nie tylko na medycynie. Ale, ale! Gdzież pańskie dobre maniery, doktorze? Nie widzi pan, że zajęte? – Pidhirny wszedł bez słowa do ubikacji i zamknął drzwi na haczyk. Patrzył na Popielskiego uważnie. W palcach ugniatał papierosa. Jego twarz była napięta i widać było wyraźnie, że żartobliwy nastrój jest tylko pozorny. –

Jeśli pan dalej będzie milczał, doktorze – w Popielskim wzbierał gniew – to złamię paragraf dziewiąty, który mówi, że mam się wstrzymywać od słów obelżywych i nieprzyzwoitych.

– Komisarz Zaremba powiedział mi, gdzie pan jest. – Pidhirny włożył do ust papierosa. – Nie chciałem panu przeszkadzać w sytuacji romantycznej...

– W kiblu jest mniej romantycznie – warknął Popielski. – Słucham pana!

– Wczoraj wieczorem okłamałem pana. – Niezapalony papieros poruszał się w ustach doktora. – Nie byłem u żadnego rannego robotnika. Byłem w mieszkaniu, gdzie Hanas trzyma pańską córkę i kuzynkę. Rita jest chora. Wysoka temperatura, dreszcze. Przeziębienie. Niech się pan nie martwi – podniósł rękę w uspokajającym geście – jest pod moją opieką... – Popielski milczał i wpatrywał się intensywnie w doktora. – Nie chce leżeć w łóżku – mówił cicho Pidhirny. – Jest bardzo rozdrażniona, płacze i wciąż kłóci się z ciotką.

– A Leokadia? – wychrypiał komisarz.

– No cóż... – Pidhirny podrapał się po karku. – Siedzi nieporuszona, jakby skamieniała.

Popielski pochylił się nad umywalką, złożył dłonie, nabrał w nie wody i tę prowizoryczną miskę uniósł nad głową. Strumyki zalśniły na łysinie, karku i twarzy.

– Adres tego mieszkania – szepnął. – Natychmiast! Adres!

– Mój syn Iwan junior – Pidhirny również szeptał – ukończył prawo w Warszawie. Wynarodowił się. Teraz nosi nazwisko Jan Podgórny. Śmieje się z wersetów Szewczenki, które mu czytałem nad kołyską. Ale ja dalej go kocham. Wczoraj do mnie telefonował. Chwilę rozmawialiśmy. Był nieswój, dziwnie kaszlał. Kiedy zapytałem go wprost, po co dzwoni, nie

będąc rozmowny, oddał słuchawkę Józefowi Hanasowi. Brat Zygmunta Hanasa powiedział mi, co zrobi z moim synem, jeśli nie zachowam milczenia. A więc na pańskie pytanie o adres, odpowiem panu: nie chcę, by Józef Hanas wybijał mojemu synowi następne zęby.

– To po co pan tu przyszedł? – Popielskiemu rozszerzały się nozdrza. – Czemu pan mnie szukał? Żeby mi oznajmić, że pod wpływem szantażu umywa pan ręce?

– Nie tylko po to. – Pidhirny wyjął z dużego portfela złożoną wpół kartkę, wręczył ją Popielskiemu i wyszedł.

> Lwów, dnia 9 listopada 1933
>
> Niniejszym zezwala się na zaznajomienie p. kom. Edwarda Popielskiego z aktami pacjentów leczonych w klinice chorób nerwowych Uniwersytetu Jana Kazimierza oraz w Zakładzie Kulparkowskim.

Poniżej widniała pieczątka

> Z-ca Naczelnika
> Izby Lekarskiej Lwowskiej, Dr Eugenjusz Doliński,

a jeszcze niżej ręczny dopisek *„z upoważnienia – dr Iwan Pidhirny, pisarz ILL”*.

Popielski wytarł twarz papierem toaletowym, wrzucił go do muszli, zezwolenie starannie złożył i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Kiedy wychodził szybkim krokiem z cukierni, kelnerka zawołała na niego.

– Halo, panie komisarzu, zostawił pan kwiaty w klozecie!

– Tam przynajmniej nikomu nie przyniosą nieszczęścia – odparł Popielski i ruszył na najbliższy postój dorożek.

XXXIV

KIEROWNIK UNIWERSYTECKIEJ KLINIKI CHORÓB NERWOWYCH i umysłowych doktór Eugeniusz Artwiński był szczupłym czterdziestoletnim mężczyzną. Przeczytał upoważnienie podpisane przez Pidhirnego i wyraził krytykę czasów, w których naczelny lekarz miejski przez zwykłego skryptora wydaje zezwolenia jemu, profesorowi psychiatrii i neurologii, kawalerowi Krzyża Gwiazdy Polarnej. Potem rozpromienił się, wypalił dwa papierosy, powypytywał Popielskiego o głośne sprawy, w których ten ostatni odegrał główną rolę, a potem posadził gościa przy swoim biurku i rychło go porzucił, wzywany do obowiązków. Woźny, poinstruowany telefonicznie przez swojego szefa, wysłał zaraz do gabinetu chłopaka z herbatą i cukierkami ślazowymi, aby tymi specjałami pan komisarz skrócił sobie czas oczekiwania na akta. Popielski nie miał jednak wiele do skracania, ponieważ zaraz do gabinetu wkroczył sam woźny. Budzący zaufanie swoją potężną posturą ten – było nie było – pracownik uniwersytecki musiał być niegdyś albo ordynansem, albo kamerdynerem, na co wskazywałyby jego wystudiowane i nieśpieszne ruchy. Skinąwszy głową Popielskiemu, przedstawił się z nazwiska i imienia – w takiej właśnie kolejności „Jaworski Jan” – po czym pchnął brzuchem w stronę gościa szpitalny wózek, na którym piętrzyły się kartonowe teczki i zamykane na klamerki segregatory.

– Mamy tu porządek, szanowny panie – powiedział uroczyście Jaworski. – Szanowny pan życzy sobie akt pacjentów leczonych elektrowstrząsami albo rentgenem? Patrzę do katalogu, wypisuję sygnaturę, idę do właściwej półki i oto one!

– Dziękuję panu, panie Jaworski – wymamrotał Popielski, zgryzając cukierek. – Jest pan nadzwyczaj sumiennym funkcjonariuszem!

Jaworski skinął w podziękowaniu głową – z godnością i bez przesadnej wdzięczności – spojrzał krytycznie na poplamioną garderobę Popielskiego i wyszedł z gabinetu.

Komisarz, klnąc pod nosem na wspomnienie ciemnego archiwum Zakładu Kulparkowskiego, gdzie wśród pajęczyn spędził był ostatnie dwie godziny i niczego nie znalazł, zabrał się teraz żwawo do przeglądania przyniesionych mu akt.

Różniły się one od „kulparkowskich” również i tym, że pacjenci byli w nich opisywani wyłącznie imieniem i numerem akt, a nazwiska były utajnione. Lista rozszyfrowanych nazwisk, jak informowały polskie i niemieckie dopiski na każdej teczce, znajdowała się „w szafie szklanej w gabinecie dyrektora”. Popielski spojrzał na rzeczony mebel i niczego w nim nie dojrzał, gdyż jego szybki były zasłonięte żółtymi aksamitnymi zasłonkami.

Wrócił zatem do przeglądania akt. Trzecia teczka go zelektryzowała. Wycięta była z kartonu, w którym trzymano wcześniej, o czym informował stosowny napis, „tutki cygaretowe Rudolfa Herliczki”. Znajdowało się w niej kilka cienkich kartek kiepskiej jakości, na co wskazywały ich szorstkość oraz wystające tu i ówdzie sprasowane drewienka. Wszystko to świadczyło o deficycie materiałów piśmiennych, który dał się dotkliwie we znaki w czasie ostatniej wojny. To datowanie na podstawie jakości papieru zostało potwierdzone datą i podpisem widniejącymi poniżej. Otóż ekspertyzę tę 3 czerwca 1915 roku wystawił austriacki lekarz wojskowy w randze pułkownika o nazwisku „Hermann von Rauschegg”. Dotyczyła ona osiemnastoletniego poborowego zamieszkałego we Lwowie. Podejrzenia Popielskiego wzbudziło to, że imię owego młodzieńca zostało

w ekspertyzie zalane grubą warstwą granatowego tuszu. Dalsze informacje były ekscytujące. Otóż według doktora Rauschegga, zapach kwiatów sprowadzał na rekruta mimowolne oddawanie moczu oraz silne duszności, które mogły prowadzić nawet do śmierci. Lekarz stwierdzał zatem chwilową niezdolność do służby wojskowej z uwagi na „*Überempfindlichkeit gegen den Duft der Blumen, besonders gegen Salicylsäuremethylester und Nitrofenylethan*” i zalecał terapię elektrowstrząsami. Kolejna notka w aktach informowała, że terapia nie przyniosła oczekiwanych skutków zdrowotnych. Akta kończyły się zwykłym dopiskiem, że nazwisko pacjenta znajduje się na poufnej liście „*im Glasschrank im Direktorzimmer*”.

Popielski starannie zapisał nazwy substancyj, na które ów młodzieniec był uczulony, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu. Zgodnie z instrukcją wypisaną na aparacie dwukrotnie stuknął w widełki. Usłyszał natychmiast głos woźnego Jaworskiego.

– Czym mogę służyć szanownemu panu?

– Kiedy przyjdzie profesor? – zapytał nerwowo Popielski. – Pilnie muszę mieć dostęp do jego oszklonej szafy.

– Profesor wyszedł na obiad – odpowiedział funkcjonariusz. – I nie oznajmił, kiedy wrócić raczy.

– Ma pan drugi klucz?

– Jest tylko jeden jedyny klucz, który profesor zawsze ma przy sobie.

Popielski westchnął ciężko. Oczywiście mógł poczekać na profesora. Ale wiedział jedno – że w czasie długich wybijanych przez gabinetowy zegar kwadransów przed jego oczami, jak widmo, będzie się pojawiała blada i trawiona chorobą twarzyczka Rity.

Spojrzał z nadzieją na szafę biblioteczną. Podszedł do niej i uważnie przyjrzał się zamkowi. Był duży i solidny. Dałby mu radę przeciętny

kasiarz, ale na pewno nie Popielski, którego szczytem umiejętności manualnych było wbicie – nie bez nieudanych prób – zwykłego gwoździa w ścianę.

Pozostawało mu przejrzeć jeszcze resztę akt.

Przeczucia się sprawdziły. Jego uwagę zwróciła jedynie ostatnia teczka, w której znalazł znów ekspertyzę pisaną na maszynie. Zawierała bezużyteczne wiadomości o napromieniowaniu rentgenem głowy kobiety cierpiącej na histerię.

Rzucił dokumenty na biurko, rozparł się wygodnie w fotelu i zaczął wokół błądzić wzrokiem. Spojrzał raz jeszcze na dokumenty i zesztywniał. Zapisane jednostronnie kartki leżały zwrócone swą treścią do blatu stołu. Na ich rewersie widać było lekkie i wcale wyraźne wybrzuszenia, które zostały pozostawione przez uderzenie czcionki.

Olśniło go. Rzucił się na akta rekruta, wyjął z nich zapisane kartki i położył je na blacie biurka niezapisanymi stronami do góry. Jak w aktach histeryczki, tak i tutaj wyraźnie widać było wybrzuszenia pozostawione przez czcionki maszyny. Zaraz znalazł miejsce, w którym zakreślono tuszem imię pacjenta. Pochylił się nad kartką jak ślepiec i wypisał znaki, które były odbiciem lustrzanym liter. Otrzymał wynik „Gustav”.

– Gustav, Gustav – powtarzał cicho, a potem intensywnie głośno myślał. – Teraz pojawia się problem narodowości tego pacjenta. Ten zapis imienia z „v” na końcu jest czeski lub niemiecki. Zakładając, że chodzi o rekruta do wojska cesarsko-królewskiego, pacjent mógł być Austriakiem lub Czechem...

Odwrócił kartkę i spojrzał na nagłówek raportu. Widniało tam wyraźnie „*Lemberg, den 3. Juni 1915*”, a obok nazwiska, „*geboren 1897 und gewohnt in Lemberg*”.

– Miałeś na imię Gustav, urodziłeś się we Lwowie w 1897 – analizował dane pacjenta. – I w momencie badania byłeś tam zamieszkały... Gustav to germańska forma zapisu naszego „Gustawa”. Może tak naprawdę byłeś Polakiem, a ten austriacki lekarz, jak mu tam? – Spojrzał znów w raport. – Hermann von Rauschegg zapisał po niemiecku twoje imię, tak jak niegdyś mnie w Wiedniu pisali „Eduard”... Dobrze... Gustaw, rocznik 1897... To ja już dużo o tobie wiem...

Trzasnęły drzwi i do gabinetu wszedł profesor Artwiński, rozsiewając wokół woń cygar.

– O, pan komisarz jeszcze tutaj... – zdziwił się psychiatra. – Znalazł pan, czego szukał?

– Chyba znalazłem. – Popielski wstał z uśmiechem i podszedł do profesora. – I chciałbym poznać dane pewnego pacjenta. Imię, nazwisko *et cetera*... Jak mówią dopiski na aktach, te wszystkie dane są utajnione i zamknięte w pańskiej szafie... Czy mógłbym poznać dane pacjenta – odczytał z teczki – numer 282?

– Ależ oczywiście. – Artwiński otworzył szafę i wyjął z niej szarą grubą kopertę.

Usiadł przy swoim biurku na miejscu zwolnionym przez policjanta. Z koperty wyjął kartonik z zapiskami. Po dłuższej chwili spojrzał na rozmówcę.

– Niestety, nie mogę udostępnić panu, komisarzu, danych pacjenta numer 282. Bardzo mi przykro...

Twarz Popielskiego stężała.

– A dlaczegóż to, panie profesorze? – zapytał udawanym swobodnym głosem. – Przecież przed minutą był pan gotów mi je udostępnić!

– Nie wszystkie nazwiska mogą być ujawnione, nawet osobom urzędowym. – Artwiński był wyraźnie zasmucony. – W tym wypadku musi

wyrazić zgodę Komisja Etyki Zawodowej Izby Lekarskiej Lwowskiej...

KOMISARZ SZYKOWAŁ SIĘ DO CIOSU. Jego mięśnie zesztywniały. Jednocześnie swym zimnym umysłem rozważał miejsce ataku – skroń czy podbródek?

– Co Izba Lekarska ma do rzeczy? – nie ustępował. – Czyżby pacjent 282 był lekarzem?

– I tak panu zbyt dużo wyjawiłem – westchnął profesor i spojrzał na swego gościa. – A teraz pan wybaczy, komisarzu...

– Bardzo panu dziękuję, profesorze, za wszelką pomoc. – Popielski uśmiechnął się radośnie, z wielkim trudem powstrzymując się od wygłoszenia zdania „właśnie mi pan odpowiedział”. Zamiast tego rzekł:

– Nie zawsze się udaje... Do widzenia, panie profesorze!

– Do widzenia!

Policjant wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Oparł się o ścianę i śmiał się przez chwilę bezgłośnie. Potem ruszył szybko do wyjścia.

– To lekarz Gustaw, rocznik ’97 – szeptał do siebie, przeskakując po dwa stopnie. – Czy trudno mi będzie go znaleźć? O nie! – odpowiedział sam sobie, podbiegając do czekającej nań dorożki. – Ja dobrze znam lekarza Gustawa!

– Słucham? – zapytał fiakier.

– Poczekaj pan! – rzucił dorożkarzowi. – Najpierw zatelefonuję!

Budka telefoniczna stała pod kliniką. Popielski wykręcił numer. Zaremba odebrał po drugim sygnale.

– Sprawdź jak najszybciej – mówił gorączkowo Edward – kiedy urodził się doktór Gustaw Lewicki!

– To jakaś telepatia! – Głos Zaremby zdradzał podobną ekscytację. – Właśnie chciałem ci coś o nim powiedzieć...

– Sprawdź datę urodzin Lewickiego, rozumiesz, Wilek!

– Słuchaj, bracie... Dobra, dobra, zaraz sprawdzę, a teraz słuchaj, czegom się dowiedział właśnie o tym ptaszku... Otóż nie było go w Paryżu na konferencji! Zapytałem o tę konferencję Pidhirnego... A on pokazał mi francuską książkę ze wszystkimi wygłoszonymi tam odczytami. Tam był odczyt Lewickiego... Ale stało, że sam go nie wygłosił, że kto inny, z powodu nieobecności Lewickiego, ten referat przeczytał, rozumiesz, bracie? Lewickiego nie było w Paryżu! Alibi doktora sypie się w proch... A Pidhirny śmiał się z Lewickiego, że on pyszny, zadufany w sobie... W polskiej wersji referatu stoi, że wygłosił go on sam, a we francuskiej, że kto inny! Z LOT-u lada chwila ma przyjść goniec z listami pasażerów... Czuję, że...

– Mamy go! – Popielski odwiesił słuchawkę. Wskoczył do dorożki z takim impetem, że aż przestraszył konia. – Do Ogrodu Botanicznego! – krzyknął.

– Nu tak – mruknął woźnica filozoficznie. – Zimno, deszcz, to ludzi do kwiatuszków ciągni!

XXXV

DOKTÓR GUSTAW LEWICKI pogłaskał Elę Hanasównę po głowie i do pięknej skórzanej aktówki z półokrągłymi zapięciami zaczął chować materiały do ćwiczeń logopedycznych. Były wśród nich kartki z różnymi obrazkami oraz gramofonowe płyty. Włożył już był prawie wszystko, kiedy usłyszał ciche westchnienie Eli. Spojrzał na nią z uśmiechem i uniósł brwi w niemym zapytaniu, wykrzywiając przy tym usta ku dołowi.

Oczywiście był świadom, że powinien zawsze podejmować ze swoją pacjentką wyłącznie słowny kontakt. Ale nie mógł sobie teraz odmówić tej miny. Wiedział, że ona zawsze rozbawi Elę.

Dziecko i tym razem roześmiało się i klasnęło w rączki. Potem wstało, podbiegło do swego lekarza i nauczyciela, chwyciło go za rękę i przytuliło do niej swoją zarumienioną twarzyczkę. Była bardzo niska i kiedy tak stała, opierała swój ciężarny brzuch na jego udzie.

Zrobiło mu się tak przykro, że łzy napłynęły mu do oczu. Nie powinien tracić dystansu do pacjenta i pozwalać na to, by uczucia zamazywały mu terapeutyczną rzeczywistość. Nie mógł pozwolić sobie na żal, zwłaszcza wtedy gdy musiał wykazywać odpowiednią surowość.

Oderwał się od Eli, chwycił ją delikatnie za ramiona i posadził na foteliku. Wełniane pończochy na jej nogach pofałdowały się niesfornie. Stopy, obute w wyglancowane jak lustro buciki z klamerkami, zawisły nad podłogą. Patrzył na nią przyjaznym i pogodnym wzrokiem. Musiał ją teraz przeprosić za swoją surowość, za dzisiejsze zdecydowane, by nie rzec: brutalne, traktowanie.

Podszedł do dziewczynki i otworzył dłoń. W jej wnętrzu leżał balonik. Lewicki zaczął go nadmuchiwać. Dziewczynka krzyknęła i zasłoniła rękami uszy.

– Uspokój się, Elu, już nie będę, obiecuję! – Podszedł do kosza na śmieci. – Patrz! Oto go wyrzucam, już nie będzie nam potrzebny, już się nauczyłaś tego, czego powinnaś była się nauczyć! – Usiadł znów naprzeciwko dziewczynki i pokazał swe puste dłonie. Ela odetchnęła z głęboką ulgą. – Posłuchaj, moja droga Elu – mówił wolno i dobitnie, widząc, jak jego podopieczna oddycha z ulgą i zamyka oczy, co zawsze było u niej znakiem najwyższej koncentracji. – Muszę wyjaśnić, dlaczego zadawałem ci dzisiaj cierpienie. Możesz tego nie zrozumieć, ale i tak muszę to objaśnić. Choćby samemu sobie... Żeby nie zżarły mnie wyrzuty sumienia...

Wstał i przeszedł się po pokoju – schludnym i nowocześnie urządzonym. Ogarnął go smutek, kiedy patrzył na lampę stojącą przy biurku, na którego blacie białe intarsje układały się w sceny dziecięce – z lewej strony blatu dzieci bawiły się piłką, z prawej chłopcy łowili ryby, a w centrum wokół małego urwisa, trzymającego wysoko jakiś smakołyk, tańczyły dwa psy. Lewicki wiedział, że powierzone jego opiece niedorozwinięte dziecko nigdy nie nauczy się języka nawet na tyle, żeby opisać sceny ze swojego biurka, że nigdy nie zapali pięknej lampki w kształcie tulipana, aby odrobić zadanie domowe.

Zamknął oczy, nabrał powietrza do płuc i zaczął.

– Cierpienie jest złem. Kiedy dziecko cierpi, wie, że spotyka je zło, że źle coś zrobiło... O, zobacz, wystarczy, że zagram tę płytę – sięgnął po jedną z tych, które leżały na stoliku i położył ją na kolanach Eli – a ty zaraz sama zorientujesz się, że na tym nagraniu ktoś źle mówi... Ty już nauczyłaś się rozpoznawać zło.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Stał w nich Zygmunt Hanas z dwoma swoimi pretorianami.

– Zechce pan ze mną pójść, doktorze! Musimy porozmawiać o Elżuni! – powiedział Hanas, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Lewicki, przyzwyczajony do obcesowego obejścia ojca Eli, nie zdziwił się specjalnie jego zachowaniem. Zdziwiły go natomiast osobliwe spojrzenia jego ludzi, którzy stali w drzwiach i przyglądali mu się z krzywymi uśmiechami. Jeden z nich, ubrany w zbyt ciasną marynarkę, przerzucał z dłoni do dłoni pęk kluczy i sprawiał wrażenie, że może z niego w każdej chwili uczynić groźny pocisk; drugi, przyodziany tylko w podkoszulek, założył po napoleońsku ręce i uderzał prawą dłonią o silnie wysklepiony lewy biceps.

Doktór Lewicki wziął swoją aktówkę i ruszył zdecydowanie prosto na obu mężczyzn. Ci zrobili mu przejście, ale kiedy wszyscy trzej znaleźli się na klatce schodowej, pretorianie Hanasa ustawili się tak, że Lewicki znalazł się pomiędzy nimi. Schodził po stopniach, mając przed sobą jednego z mężczyzn, a na karku czując obecność drugiego.

Kiedy znaleźli się na samym dole, pierwszy z nich otworzył drzwi prowadzące do piwnicy, wciąż z krzywym uśmiechem pochylił głowę w szyderczym ukłonie i wskazał na ciemne wejście. Skonsternowany Lewicki odwrócił się gwałtownie do stojącego za nim strażnika, a ten pchnął go lekko w stronę piwnicy.

– Co jest, sługusie jeden! – krzyknął wściekle psychiatra. – Won z łapami!

Jednak adresat jego słów nie zwrócił na to polecenie najmniejszej uwagi. Pchnął lekarza tak mocno, że ten wpadł na ciemne schody, z trudem łapiąc równowagę.

Lewicki zdał sobie sprawę z bezskuteczności swych zmagań z gorylami. Pohamował rozsadzającą go wściekłość, zszedł po schodach i znalazł się w piwnicy. Zamknęły się drzwi u góry, a stukot buciorów zadudnił na schodach.

Lekarz rozejrzał się po pomieszczeniu. Słaba żarówka pod poobijaną blaszaną osłoną oświetlała nieotynkowane ceglane ściany i dwoje odrzwi prowadzących do głębszych pomieszczeń piwnicy. W jej poblasku dość wyraźnie było widać siedzącego na krześle Zygmunta Hanasa i stojącego obok niego jakiegoś wysokiego mężczyznę w kapeluszu. Lewicki odwrócił się i ujrzał buty oraz nogawki goryli stojących za nim na schodach. W powietrzu mieszały się dwie wonie: jedna przypominała zapach krochmalu, druga – maści na reumatyzm. Biła ona wyraźnie od dużego kwiatu doniczkowego stojącego w głębi pomieszczenia.

Mężczyzna stojący obok Hanasa zdjął kapelusz. Jego łysą głowę psychiatra widział był wcale niedawno.

– Doktór Gustaw Lewicki. – Popielski się uśmiechnął. – Urodzony w 1897 roku we Lwowie, zgadza się?

XXXVI

– TAK, ZGADZA SIĘ, dokładnie 18 sierpnia 1897 roku – odparł Lewicki.

Zygmunt Hanas wstał i podszedł najpierw do policjanta, a potem do lekarza. Jednemu i drugiemu zaglądał w oczy – długo i głęboko.

– Tu będzie proces. Ten tutaj komisarz Popielski oskarża pana konsyliarza – spojrzał na Lewickiego – o zhańbienie mojej córki. Ma to zaraz tutaj udowodnić, przed moim własnym trybunałem, i wziąć nagrodę, którą wyznaczyłem za głowę zboczeńca. Nie chciałem tego procesu, bo wiem, że Elżunia sama mi wskaże sprawcę, że go rozpozna po głosie... Ale Łyssy się uparł! Ja chcę tylko eksperymentu z głosem, ale ten upiera się i prosi... No, dobrze, myślę, ustąpię mu! – Twarz Lewickiego wyrażała najwyższe oburzenie i niedowierzanie. Hanas przyglądał mu się przez chwilę, a potem przespacerował się kilka razy tam i z powrotem po pustym pomieszczeniu. Spirala papierosowego dymu skręcała się w bladożółtym świetle żarówki. – Jeśli się pomylisz, Łyssy – Hanas na rozkraczonych nogach stanął przed Popielskim – to zapłacisz za to srogo! Elżunia straci najlepszego lekarza i opiekuna, a ty zapłacisz za to! Zbyt dużo ryzykuję, aby ci to uszło na sucho tak jak ostatnim razem... Ale do rzeczy! Chcę tu spokoju! Żebym mógł wszystko dobrze rozsądzić! Ja i tylko ja. – Postukał się paluchem w pierś. – Udzielam głosu i odbieram go, a wy podnosicie palcy, jak chcecie gadać! Sami milczeć! To jest sąd! Zaczynaj, Łyssy!

– Mój współpracownik przejrzał akta meldunkowe i ustalił, że ten tu obecny doktór Gustaw Lewicki urodził się 18 sierpnia 1897 we Lwowie. – Popielski odczytywał te dane z notatnika. – Ja natomiast ustaliłem, że 20 maja 1915 osiemnastoletni Gustaw Lewicki stanął przed komisją poborową.

No, jak to było z tą komisją, doktorze? Został pan uznany za zdolnego do służby w c.k. armii?

Lekarz patrzył na Hanasa i podniósł dwa palce ku górze.

– Tu chodzi najpewniej o dwie różne osoby – szepnął, kiedy sędzia przyzwalająco skinął głową. – Data urodzin się zgadza, ale ja nie stawałem nigdy przed żadną komisją poborową!

Popielski uniósł palec i uzyskawszy podobną koncesję, ciągnął swój wywód.

– Austriacki lekarz wojskowy pułkownik Hermann von Rauschegg zdiagnozował u Gustawa Lewickiego, urodzonego we Lwowie w 1897, niestety daty dziennej urodzin nie zapisał, otóż tenże lekarz wojskowy zdiagnozował „nadwrażliwość na zapach kwiatów szczególnie na – znów spojrzał do notatek – salicylan metylu i nitrofenyloetan”. To przeczulenie skutkowało u rzeczonego Gustawa Lewickiego dusznością, która mogła doprowadzić wręcz do śmierci. Pojawiała się też przy tym okoliczność wstydliwa – mimowolne oddawanie kału i moczu. Czy cierpi pan na takie uczulenie, doktorze Lewicki?

– W żadnym razie – odparł lekarz, otarł pot z czoła i krzyknął: – A co ty, łyse chamidło, sobie wyobrażasz? Że Gustaw Lewicki to takie rzadkie nazwisko? I że nie mogło dwóch Gustawów Lewickich urodzić się we Lwowie tegoż samego roku? Co ty tutaj śmiesz mi...

Nie dokończył. Nagle zakrztusił się i runął na kolana przed Popielskim. Źrenice i tęczówki zniknęły pod jego powiekami. Wymachiwał rękami jak skrzydłami wiatraka, po czym runął na twarz. Na betonowej posadzce obok jego nosa pojawiła się biaława gęsta wydzielina.

Jeden z goryli Hanasa pocierał sobie pięść.

– Ja go fest pu plerach – wyznał nieśmiało. – Ali chiba trochi za mocnu...

– Nie martw się, Staszek, wykonałeś mój rozkaz – mruknął Hanas. – Teraz go ocuć wodą! To konował jeden! Niech wie, że ma się nie odzywać bez pozwoleństwa, jasne?

– Ta, jasny! – odrzekł goryl i dał znak koledze.

Obaj wynieśli ciało do pomieszczenia obok, skąd wnet dobiegł wyraźny zapach krochmalu, szum wody i charczenie przywracanego do życia doktora.

Popielski wzniósł palec do góry.

– Co jest? – warknął Hanas. – Gadaj!

– Staszek ani jego kompan nie mogą go walić po plecach, między łopatkami – powiedział gniewnie Popielski. – Bo nie będzie wiadomo, czy konował traci oddech od uderzenia, czy od tego kwiatka. – Kopnął lekko w doniczkę. – Chcesz wszystko zniweczyć przez tych kretynów!

– Słyszałeś? – Hanas wrzasnął tak głośno, aby usłyszał go Staszek w pralni. – Walić tylko po ryju, jasne!

– Ta, jasny! – odkrzyknął Staszek.

Po dłuższej chwili Lewicki doszedł do siebie. Jeszcze charkał, bulgotał i ciężko dychał, ale krótkimi zdaniami mógł już odpowiadać na pytania.

– Przesłuchania ciąg dalszy – mruknął Hanas. – Prokurator, do roboty!

– Przy Elżuni znaleziono płatki kwiatów, a na jej sukience ślady moczu – mówił komisarz. – Botanik światowej sławy, dyrektor Ogrodu Botanicznego profesor Kulczyński zidentyfikował te znalezione kwiatki jako jaśmin wielokwiatowy. W kwiaciarni Heleny Bodnarowej na Leona Sapiehy dowiedziałem się, że doniczkowy jaśmin wielokwiatowy jest trudny w utrzymaniu i floryści często zamiast niego sprzedają klientom inny doniczkowy kwiat – stefanotis, skądinąd łatwy do utrzymania. Kwiaty te są do siebie niezwykle podobne. W piątek – spojrzał do notesu – 9 czerwca tego roku ktoś z burdelu na Balonowej 12 zamówił telefonicznie u

Bodnarowej jaśmin wielokwiatowy. Bodnarowa nie miała akurat na stanie jaśminu i popełniła drobne oszustwo. Zamiast niego wysłała tam stefanotis. Zapomniałem dodać, że ten kwiat – w odróżnieniu od jaśminu – ma żrący sok, który może pozostawić wybroczyny, a jego zapach, znów w odróżnieniu od jaśminu, zawiera – jeszcze raz spojrzał do notesu – salicylan metylu i nitrofenyloetan. – Spojrzał tryumfująco na Hanasa i na zmienionego na twarzy psychiatrę. – Przypominam, są to substancje uczulające, które działają na jednego – prychnął śmiechem – z nieskończonej liczby Gustawów Lewickich urodzonych we Lwowie w roku 1897. O tym, że w zapachu stefanotis są te substancje, powiedział mi przed godziną wspomniany profesor Kulczyński. Ponadto tenże uczony przyznał bardzo honorowo, że stefanotis i jaśmin wielokwiatowy są tak do siebie podobne, że nawet on wyschnięte płatki jednego mógł wziąć przez pomyłkę za płatki drugiego, tym bardziej że to rozpoznanie miał mu zasugerować jego współpracownik niejaki doktór Migalski. – Popielski zapalił papierosa i wypuścił gęsty snop dymu w światło lampy. – Takie są fakty – kontynuował mowę oskarżycielską. – A teraz prawdopodobny przebieg zdarzeń. Zboczeniec, który zhańbił dziecko, sypał kwiatki na jego ciałko. Najpewniej tak podsycał swoją żądzę! Żrący sok stefanotis mógł pozostawić wybroczyny na udach Elżuni, a zapach mógł wywołać u kogoś nań uczulonego reakcję duszności i oddanie moczu. Przypominam: na sukience dziecka były plamy moczu.

Lewicki podniósł gwałtownie rękę. Hanas kiwnął mu głową.

– Eli zdarzało się popuszczać mocz! – mówił z trudem, chrząkając. – Skąd wiadomo, że to mocz sprawcy?

– Co ty na to, Popielski? – zapytał Hanas. – Nie podnoś palcy!

– Rzeczywiście, nie wiemy, czyj to mocz – odpowiedział. – A teraz cała rekonstrukcja. Sprawca podstępem lub namową zwabia Elżunię do swojego

auta i udaje się z nią do burdelu na Balonową 12, gdzie wcześniej zamówiono jaśmin, a przysłano zamiast niego stefanotis. Zboczeniec hańbi dziecko i sypie na nie płatki kwiatów. Pod wpływem odurzającej woni zboczeniec odczuwa silne duszności, traci przytomność, bezwiednie oddaje mocz i upada z łóżka na ziemię. Tam owiewa go przeciąg i sprawca wraca do przytomności. To, że jest tam przeciąg, sprawdziłem osobiście. Byłem w tym burdelu, schyliłem się po coś pod łóżko i poczułem przeciąg... – Popielski zaczerpnął tchu i zapytał dobitnie: – Kto jest zatem gwałcicielem? Ten, kto jest uczulony na salicylan metylu i nitrofenyloetan! Czyli urodzony we Lwowie w roku 1897 Gustaw Lewicki. Człowiek, który omotał nieszczęsną Elżunię tak skutecznie, że ją uwiódł, o czym świadczy brak obrażeń na ciele dziewczynki, co zwykle przy zniewoleniu przemocą występuje. Jeśli to ten człowiek, który teraz tu charczy, to zaraz otrzymamy dowód niepodważalny. Zapach stefanotis – lekko kopnął doniczkę – zaraz go zacznie dusić. Skończyłem, Hanas.

Twarz sędziego piwnicznego trybunału płonęła. Wydawało się, że krew z białek ocznych tryśnie i rozleje mu się na czole i policzkach.

– Mów, skurwysynu. – Uniósł obrzyn nad głową lekarza. – Czy ty jesteś ten uczulony Gustaw Lewicki, urodzony w ’97, poborowy z ’15? I tak się wszystkiego dowiem, bo albo zaraz zemdlejesz, albo dzisiaj w nocy wyślę moich ludzi, żeby się włamali do pewnej lekarskiej szafy! Mów, udzielam ci głosu!

– To nie ja. – Lewicki sapał ciężko i sprawiał wrażenie bliskiego omdlenia. – To ta kanalia. – Wskazał głową na Popielskiego. – Sam to zrobił i wszystko spreparował, żeby było na mnie! Każ mu mówić, każ mu coś czytać, a dziecko zaraz go rozpozna! To on! To on to zrobił twojej córce! Każ mu czytać, a zobaczysz, Hanas!

– Ja!? – wrzasnął Popielski i odwrócił się do goryli gotów odpierać ich atak za niedozwolone odezwanie się. – Ja zgwałciłem Elżunię?!

– A ty! Właśnie ty! – charczał Lewicki i z trudem łapał oddech. – Lubisz zboczone zabawy z dwiema dziwkami naraz! Cały Lwów wie, że sypiasz z własną kuzynką! To może małe dziewczynki też dostarczają ci podniet! To może i własną córeczkę chędożysz!

Popielski uderzył go tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować. Poczuł, że ciepło rozlewa mu się na kostki dłoni. Prawie czuł, jak puchną mu palce.

Lewicki upadł na pierś z takim impetem, że w pomieszczeniu rozległ się głuchy dudniący dźwięk. Zadrgał i znów zwrócił na beton podłogi jakąś białą wydzielinę.

Popielski chwycił go za kołnierz marynarki i przewrócił na plecy. Patrzył uważnie na jego spodnie. Ku jego rozczarowaniu nie uległy one żadnemu zabarwieniu, które by wskazywało na mimowolną aktywność pęcherza.

– Ocucić go w pralni! – krzyknął Hanas do swych goryli i podszedł do Popielskiego. Ujął go pod brodę dwoma palcami i wpatrywał się uważnie w jego oczy. Blaszana osłona rozkołysanej żarówki pod sufitem rzucała wokół ruchome cienie. Komisarz ani drgnął i zamknął oczy. Epileptyczny atak spowodowany przerywanym światłem był ostatnią rzeczą, której teraz pragnął. – Otwieraj gały! – syknął Hanas. – I patrz na mnie! Popielski go nie posłuchał. Lampa powoli nieruchomiała na swym drucie. – Nie wierzę ci – warczał Hanas. – Nie wierzę już nikomu... A ty mi w oczy nie patrzysz! Tak sprawdzałem zawsze tych, co mi robili agrandę! Mówiłeś, że się przyzna, że smród tego kwiatka... A on wcale go nie zmroczył... Gadałeś tu długo jak jakaś papuga, ale to nie dla mnie gadanie... Bo kwiatek nie zadziałał. Muszę dziś wiedzieć: ty albo on... – Z dziwnym chrzęstem podrapał się po sztywnych włosach. – I najpierw mus sprawdzić, czy on nie

łże, że chcesz go wrobić, i – dodał ciszej – czy nie łże, że to ty zrobiłeś Elżuni... – Z kieszeni marynarki wyjął małą książeczkę. Wręczył ją Popielskiemu. Było to podręczne wydanie Biblii. – Zaczniesz czytać, jak ci każę! – Wszedł do pralni, gdzie Lewicki po raz drugi dochodził do siebie. Wydał krótki rozkaz i zaraz na schodach zadudniły buty jego straży przybocznej. Po chwili obaj pretorianie pojawili się tam znowu. Szli obok siebie, ciężko sapiąc, a na krzesełku splecionym z ich rąk siedziała Elżunia Hanasówna. – Czytaj! – rzucił Hanas. – Cokolwiek!

– Chcesz dowodu, że to nie ja? – mruknął Popielski i dopiero teraz otworzył oczy. – No to będziesz miał niezbity dowód!

Na chybił trafił otworzył Biblię. Był w Księdze Psalmów.

– „Który wypuszczasz źrzódła po dolinach – czytał jeden z nich spokojnym i pewnym głosem. – Pośrzodkiem między górami popłyną wody. Będą pić wszystkie źwierzęta polne, osłowie dzicy czekać będą w pragnieniu swoim. Nad nim mieszkać będą ptaszkowie powietrzni, z pośrzodka skał wydadzą głosy”.

Hanasówna wydała gwałtowny okrzyk, po czym jej ciałem szarpnęły dreszcze. Jej opiekunowie stracili na moment równowagę. Dziewczynka omal nie wypadła im z rąk. Chowała głowę w ramiona i zasłaniała dłońmi uszy.

– Nie chce go słuchać! – wrzasnął dziko Lewicki.

Rozpętała się piekielna kakofonia. Gdyby teraz dziewczynka spadła ze schodów, gdyby wydarły z niej krzyk przedwczesne poronne bóle albo gdyby jakaś jej kość trzasnęła, to i tak nikt by tego nie usłyszał.

Wszystko zagłuszył zwierzęcy chrapliwy ryk.

To nie ona ryczała, lecz jej ojciec. Nie był to ryk wściekłości, lecz wycie tryumfu. Zygmunt Hanas zakończył swoją krucjatę znalezieniem winnego.

Kilka sekund później pretorianin Staszek zaatakował Popielskiego.

Kilka minut później przytomny już zupełnie doktór Gustaw Lewicki opuszczał posiedzenie piwnicznego trybunału, a wewnętrzną kieszeń jego marynarki obciążała nagroda za dostarczenie Hanasowi gwałciciela – koperta wypchana nowiutkimi banknotami.

Kilka kwadransów później Popielski leżał w pralni ze złamaną ręką, którą kurczowo przyciskał do boku, i łańcuchem oplecionym wokół szyi.

Godzinę później w piwnicy domu przy Pohulance znalazła się Leokadia.

XXXVII

POPIELSKI KILKA JUŻ RAZY w swym policyjnym życiu ścierał się z różnymi przeciwnikami – pozornymi na treningach, a autentycznymi w ciemnych lwowskich zaułkach. Lekcje boksu, jakie były obowiązkowym elementem szkoleń policyjnych w wołyńskich Sarnach, sprawiały mu początkowo problemy, a instynkt walki go zawodził. Stary bokser i atleta cyrkowy Wacław Jarosz, który był jego trenerem, powiedział mu kiedyś: „Dobry bokser jest jak zwierzę – opiera się na instynkcie, przeciętny bokser musi polegać tylko na zimnej kalkulacji, a kto nie ma instynktu i zimnej głowy, ten dostaje wpierdol”. Popielski wziął sobie te słowa do serca. Pozbawiony instynktu walki, który by mu umożliwiał skuteczne i szybkie reakcje, postanowił zostać chociaż przeciętnym bokserem. Długo i żmudnie uczył się poskramiać swe emocje, stosując uniki i metodę „liczenia do dziesięciu”. W końcu mu się to udało. Zimna krew nie opuszczała go w walce prawie nigdy, chyba że starciu towarzyszył jakiś element niespodziewany i irracjonalny, na który nie miał wpływu.

Na swoją chorobę – epilepsję światłoczułą – Popielski, owszem, miał pewien wpływ, ale to oddziaływanie było smutne i paradoksalne. Potrafił bowiem zawsze i wszędzie wywołać u siebie atak choroby, lecz zapobiec mu umiał w bardzo ograniczonym stopniu. Zminimalizowaniu ryzyka ataku służyło unikanie rozproszonego lub migotliwego światła poprzez stałe używanie ciemnych binokli.

Staszek, goryl Hanasa, nic oczywiście nie wiedział o przypadłości Popielskiego, ale był pewien, że chybotanie się lampy wprowadzi przeciwnika, nieznającego dobrze piwnicy, w dodatkową konsternację. Zaatakował go zatem, rozkołysawszy pierwej lampę wiszącą na drucie. Nie

przewidział, że blaszana osłona wprawionej w ruch żarówki będzie rzucać cień po ścianach i w ten sposób tańcząca lampa stanie się źródłem światła przerywanego, czyli epileptycznym wyzwalaczem.

Popielski, kiedy zdał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, stracił natychmiast zimną krew. Pozostał mu tylko instynkt, który był u niego bardzo zawodny.

Po raz pierwszy go zawiódł, gdy Staszek rzucił się na niego z prawej strony. Popielski instynktownie zrobił unik w lewo i w tej sekundzie zrozumiał, że napastnik tylko markował cios. Naprawdę atak nadszedł z lewej strony i był potężny.

Głuchy lewy sierpowy trafił Popielskiego w ucho. Komisarz poczuł ciepły pulsujący ból i usłyszał przenikliwy pisk. Miał wrażenie, że jakiś owad brzęczy w jego małżowinie. Osunął się na ścianę.

Staszek nie poszedł za ciosem. Skakał wokół przeciwnika, jakby wypatrywał miejsca, w które może uderzyć – mocno, jednoznacznie i rozstrzygająco. Nagle rzucił głową w prawo i Popielski znów dał się nabrać. Zadał prawy prosty i skosił powietrze. Tymczasem dobrze wymierzony cios wyszedł z przeciwnej strony, lecz to nie Staszek był atakującym.

To Hanas wyskoczył z cienia i podkutym butem najechał z impetem na lewy piszczel Popielskiego. Na szczęście zaatakowany miał ugiętą nieco nogę i w ten sposób gruba blacha obcasa jedynie rozszarpała materiał spodni i naruszyła naskórek, nie powodując złamania.

Niemniej ból był bardzo dotkliwy. Popielski ryknął i rzucił się na oślep w stronę Hanasa. Chwycił go za krawat i rzucił na przeciwległą ścianę. Kiedy poczuł w dłoni trzaskający materiał koszuli, a urwane guziki strzeliły po ścianach, nabrał pewności siebie. Głęboko zaczerpnął powietrza, lecz już nie zdołał go wyrzucić z płuc.

Oddech zabrał mu Staszek, który pochylił się i swoim kanciastym łbem wbił mu się pod żebro. Komisarz zesztywniał i wypuścił Hanasa z rąk.

Wtedy ten chwycił za kręcącą się lampę i pchnął ją w kierunku Popielskiego.

Gorąca żarówka syknęła na jego spoconej głowie i pękła. Popielski ujrzał setki iskier.

I wtedy nastąpił spokój i zapadła cisza przerywana delikatnymi odgłosami wiejącego wiatru. *Ventus epilepticus* wdarł się w mózg Popielskiego. Policjant otworzył szeroko usta, a z nich wylała się gęsta piana. Runął na ziemię w taki sposób, jakby składał się w stawach – najpierw opadł na kolana, potem osunął się na pośladki, a w końcu podparł łokciami. Wtedy szarpnął nim pierwszy spazm i rzucił go na beton. Potem zaczął stękać i jęczeć, a jego ręce i nogi biły o ziemię jak skrzydła zarzynanego ptaka.

Rozwścieczony Hanas z urwanym krawatem i z rozdartą koszulą skoczył na leżącego obiema nogami. Pod blachami jego obcasów znalazła się ręka komisarza.

Gdyby Popielski był przy wszystkich zmysłach, to i tak mógłby swoje odczucia opisać jedynie w bardzo przybliżony sposób – używając wyrażenia „jakby”.

Usłyszałby bowiem w swym łokciu „jakby” chrząknięcie, jakieś nerwy i przewody w jego ręce „jakby” dziwnie się napięły, a potem poczułby, że po jego kończynie rozchodzi się dziwne i „jakby” swędzące ciepło.

XXXVIII

W CZASIE EPILEPTYCZNYCH ATAKÓW mózg Popielskiego zawsze wytwarzał prorocze wizje. Miały one charakter fabularny i przedstawiały zwykle jakąś wędrówkę. W swym widzeniu Popielski zawsze rozdwajał się i jego jedno wcielenie podążało zawsze śladami drugiego. Ta śledząca inkarnacja była mu bliższa, z nią zawsze się utożsamiał, a ta śledzona i obserwowana była mu w dużej mierze obca. Ten drugi i obcy Popielski, obserwowany oczami pierwszego, zmierzał zawsze do jasnego i oczywistego celu, jakim było dotarcie do złoczyńcy. Na swej drodze napotykał jakąś łatwą do sforsowania przeszkodę. Były to najczęściej drzwi, przepierzenia, zasłony lub kurtyny. Drugi Popielski, mając wciąż za sobą pierwszego, dochodził do owej przeszkody, przekraczał ją w błogim i niezachwianym poczuciu, że za nią będzie czekać przestępca, którego tropił w aktualnie prowadzonym śledztwie. I wtedy zawsze następowało rozczarowanie. Po tamtej stronie nie było przestępcy, był za to ktoś mu znany i bliski – zdarzało się, że Wilhelm Zaremba lub kolejni policyjni zwierzchnicy; pojawiali się również najbliżsi – rodzice, których prawie nie pamiętał, albo Leokadia czy Rita. W czasie takiego spotkania dwa wcielenia Popielskiego znów się spajały i wtedy zwykle się budził.

Prorocza moc tych majaków przejawiała się w pierwszych sekwencjach fabularnych – do momentu dojścia do przeszkody. Szczegóły wnętrz lub fragmenty krajobrazów, widziane w wizji, pokrywały się w zupełności z rzeczywistymi, które później widział na jawie – w momencie spotkania z poszukiwanym przez siebie przestępcą. Przeżywał wtedy *déjà vu.* Ono było ukoronowaniem śledztwa, najwspanialszą chwilą w życiu upartego

tropiciela. Odbywało się to w ten sam sposób – oto w czasie żmudnego śledztwa dociera do kolejnego podejrzanego, wchodzi do jakiejś bramy, na jakieś podwórko i doznaje olśnienia. Epileptyczna wizja staje się niezachwianą rzeczywistością. Część proroczego snu zaraz się staje jawą. Ma pewność – zaraz dopadnie przestępcy.

I tak właśnie się dzieje: wyciąga broń, pokonuje przeszkodę na swojej drodze – jakieś drzwi, przepierzenia – i jest w kryjówce zbrodniarza.

W ten sposób często kończył sukcesem swoje śledztwa. Wizja nie pomagała mu jednak nigdy w jego przyśpieszeniu. Choćby skupiał się wyłącznie na poszukiwaniach terenowych, choćby wchodził do wszystkich lwowskich bram i podwórek, nigdy nie udawało mu się trafić na miejsce ze swojego snu. Droga na skróty prowadziła na manowce. Musiał być cierpliwy – wizja w końcu zawsze się urzeczywistniała.

Teraz w swym epileptycznym śnie – jak zwykle – obserwował i śledził sam siebie. Drugi Popielski szedł środkiem jakiejś szerokiej ulicy, która na swym końcu zwężała się i jakby grzęzła w gruzach. Była pusta – szli nią tylko oni dwaj. Wokół ich nóg kłębił się biały dym. Wyglądali tak, jakby kroczyli w gęstej mgle, która unosiła się nie wyżej niż pół metra od powierzchni gruntu.

Za ruinami, leżącymi u wylotu ulicy, widoczne były w oddali wielkie kamienice o płaskich dachach. Lecz nie one zwracały uwagę drugiego Popielskiego, lecz jeden z domów, na którego szczycie siedział kamienny, spoglądający na ulicę anioł z rozłożonymi skrzydłami. Obaj Popielscy weszli do tej kamienicy, mocno zniszczonymi schodami dostali się na trzecie piętro i stanęli pod drzwiami opatrzonymi numerem 5. Uchyliła je jakaś drobna, niewysoka kobieta, otwierając widok na długi przedpokój. W oddali stała Leokadia Tchorznicka. Nie uczyniła żadnego zapraszającego gestu, nie uśmiechnęła się i nie dała poznać po sobie, że ich poznaje. Nagle

wyciągnęła rękę, poczuł dotyk jej chłodnej i suchej dłoni, kiedy go głaskała po głowie, kiedy przyciskała mokrą szmatkę do jego twarzy, kiedy szeptała słowa pocieszenia.

– Nie martw się o mnie – mówiła. – Ja dam sobie radę z tym całym złem, które mi zrobią... A ty leż spokojnie i nie dotykaj tylko swojego łokcia.

Popielski patrzył na Leokadię siedzącą obok niego i usiłował osadzić siebie i ją w czasie i w przestrzeni. Mimo gorączkowych wysiłków umysłowych nie potrafił zrozumieć, dlaczego siedzi w tej piwnicy, dlaczego szyję ma obwiązaną krowim łańcuchem przytwierdzonym kłódką do kratki odpływowej ani dlaczego Leokadia jest naga i ma twarz mokrą od łez.

Jego kuzynka siedziała w ciemnym kącie piwnicy ze skrzyżowanymi rękami i nogami, którymi zasłaniała swoją nagość. Półmrok, kiepsko rozświetlany nędznym kagankiem przytwierdzonym do ściany stanowił zresztą dość skuteczną zasłonę jej wstydu.

– Gdzie Rita? – wyszeptał.

– Jest na górze – odrzekła.

Popielski sięgnął ręką do łańcucha na swojej szyi. Ból, który miażdżył mu rękę, miał w sobie coś materialnego. Gdyby w tej właśnie chwili potrafił wymyślić cokolwiek sensownego, gdyby jakieś resztki intelektu nie wygasły pośród białych ogni migających mu przed oczami, porównałby swój ból do dźwigni, do stalowego, karbowanego pręta, który rozszczepia skórę i tkanki, wkręca się w łokieć i bezskutecznie próbuje oddzielić wyłamane kości. Upadł na zimną, mokrą podłogę i poczuł na twarzy ostre drobiny szkła. Zamknął mocno oczy, by powstrzymać łzy. Nie najlepiej mu się to udało. Wypłynęły na szorstki beton, na pokruszone szkło zbitej żarówki. Były jego drugą wydzieliną, którą zostawił w tej piwnicy. Zimny

dotyk mokrych spodni mówił mu, że pierwszą był mocz uwolniony epileptycznym atakiem.

– Nie ruszaj ręką, masz złamaną – powiedziała Leokadia spokojnym, opanowanym głosem, który kontrastował z jej zapłakanymi oczami. – I nie patrz na mnie! Zamknij oczy i nie patrz na nic, co tu się będzie działo!

Odwrócił wzrok i zadrżał, widząc stwora, który podskakiwał w ciemnym wejściu i długimi małpimi rękami klepał się po kroczu, ciasno opiętym spodniami. Podbiegł do kaganka i zgasił go jednym dmuchnięciem.

– Jest wstydliwy, wiesz, Łyssy. – W ciemności usłyszał głos Hanasa. – Nie lubi dupczyć na oczach innych...

Podkute buty zazgrzytały na szkle. Podszedł do Popielskiego i kopnął go w kostkę. Zabolało, lecz ból ten nie objął swym działaniem tylko nogi. Rozszedł się błyskawicznie jak prąd wszystkimi nerwami i dotarł do zgruchotanego łokcia. Popielski chwycił się za rękę i zacisnął zęby. Rozległy się jego jęk i kaszel.

– A teraz Tosiek wyrucha twoją kuzynkę, Łyssy – powiedział Hanas. – Pozwolę mu tylko na dwa razy, żeby twoją córunię mógł ze cztery!

Usiadł na krześle i zapalił papierosa.

– Robisz agrandę, Hanas – Popielski się dławił.

Wypowiadane przez niego słowa miały urywane przedrostki i wytłumione końcówki. Brzmiały jak „... bisz... grand... nas”.

– Stróż w burdelu rozpozna Elżunię – bulgotał komisarz, zamknąwszy oczy. – I powie, kto ją gwałcił...

Hanas pochylił się nad Popielskim. Odgłosy tupania wskazywały na to, że Tosiek skacze wokół z coraz większą niecierpliwością. Leokadia łkała cicho.

– Zaraz zapalimy światło i będziesz patrzeć, jak ją dupczy... – Hanas potarł w zamyśleniu szczecinę podbródka. – Ale ty pewnie nie będziesz chciał i zaciśniesz powieki. Ale mamy na to sposób... Ja tam się ciebie brzydzę i nie dotknę, ale Tosiek nie jest obrzydliwy. Jak mu każę, to ci powieki pinezkami przybije do czoła.

Hanas zapalił kaganek. Tosiek rozpiął spodnie i zachodził Leokadię to z jednej, to z drugiej strony. Nieszczęsna głowę wcisnęła pomiędzy kolana, a skóra dłoni, którymi ściskała kostki skrzyżowanych nóg, stała się białoszara. Z pośladkami wciśniętymi w kąt i ze splecionymi rękami i nogami broniła dostępu do swego ciała.

Rozeźlony tym idiota uderzył ją mocno w głowę. Cios był tak silny, że rzuciło nią o ścianę. Starannie przycięte włosy rozsypały się i przykleiły do jej mokrej twarzy. Tosiek znów uniósł pięść, ale w tym momencie Hanas wziął zamach i klasnął go z całej siły w mordę.

– Zapierdalaj na górę po pinezki! – krzyknął. – Ali już, pokurczu!

Tosiek z trudem zapiął spodnie i pobiegł na górę. Hanas oparł się o ścianę i zapalił papierosa. Spod zmrużonych powiek przyglądał się swoim więźniom. Popielski leżał na boku, jego przedramię było przesunięte do tyłu, a na łokciu rozlewała się napuchnięta kula.

– Pinezkami. – Hanas się roześmiał. – Pinezkami oczka otworzymy...

Szybkie, lekkie kroki rozległy się na schodach. W piwnicy pojawił się Staszek. Dyszał ciężko, był czerwony na twarzy i spocony.

– Szefie – wysapał. – Coś złego z Elżunią!

XXXIX

HANAS BIEGŁ PO SCHODACH, pokonując po dwa stopnie naraz. Po kilkunastu sekundach znalazł się na piętrze. W progu pokoju dziecinnego stała nowa guwernantka. Jej twarz wykrzywiało przerażenie. Ujrzawszy Hanasa, teatralnym gestem wskazała ręką otwarte drzwi.

Hanas odepchnął ją i wpadł do środka.

Spoczęły na nim dwie pary oczu. Jedna z nich zdradzała najwyższą grozę, druga – ulgę i wesołość.

Płyta kręciła się na patefonie, który był nastawiony na pełną głośność. Dziecinny pokój napełniał się spokojnym i równym męskim głosem.

Elżunia siedziała w kucki pomiędzy komodą a łóżkiem. Małe pulchne dłonie przyciskała do uszu. Jej usta były półotwarte i wykrzywione w podkówkę. W ich kącikach zebrały się pajęczynki śliny. Z wielkich szeroko otwartych oczu toczyły się łzy. Ela wydawała z siebie szybkie i urywane westchnienia.

Hanas wiedział, że w zestawie jej nieartykułowanych sygnałów oznacza to silny strach.

Druga dziewczynka wcale się nie bała. Siedziała przy biurku i spoglądała na ojca Eli z lekkim uśmiechem.

To go uspokoiło i jednocześnie rozdrażniło.

– Co tu się dzieje?! – warknął. – Dlaczego Elżunia płacze?!

Dziewczynka przy stole przestała się uśmiechać.

– Chciałam ją czymś zabawić... – odpowiedziała drżącym głosem. – Tak długo razem siedzimy od czasu, jak ciocię zabrali... To nudno... I zagrałam pierwszą lepszą płytę na patefonie. A Elka zaczęła krzyczeć wtedy, płakać

i dyszeć... Pokazywała palcem jakiś balonik w koszu na śmieci... Ja nie wiem, co się z nią stało...

W rękach Hanasa wnet znalazł się wspomniany przedmiot.

– Elka bardzo nie lubi balonika – mówiła przejęta dziewczynka. – Ja nie wiem dlaczego...

Hanas wiedział. Doktór Lewicki nauczył go kilka lat temu, jak oduczyć Elżunię złych nawyków i zachowań.

– Kiedy Ela coś złego zrobi – mówił wtedy doktór – nie można na nią krzyczeć ani, co gorsza, bić... Wystarczy potrzeć balonikiem o szybę... Ona nie znosi tego dźwięku. Jeśli coś skojarzy z tym piskiem, to będzie się później tego czegoś bała.

Hanas pamiętał dobrze scenę sprzed roku, kiedy udał się razem z Elżunią do cukierni Dudka przy placu Mariackim. Dziewczynka rzuciła się na witrynę z ciastkami i zaczęła lizać szybę. Klienci lokalu patrzyli z oburzeniem na całą scenę. Wtedy on – idąc za radą lekarza – wyjął z kieszeni balonik, poślinił go i potarł o witrynę. Elżunia zatkała uszy i przerażona usiadła na podłodze cukierni. Od tego czasu zatykała uszy i krzyczała, gdy tylko zbliżali się do placu Mariackiego, gdy tylko w oddali zamajaczyła statua Mickiewicza. Hanas miał oto wyjaśnienie dzisiejszego zachowania córki – doktór Lewicki grał na gramofonie tę płytę, a potem pocierał balonikiem o szybę. Tylko po co? Tylko po co to robił?

Przysłuchiwał się przez chwilę. Nagrany głos mężczyzny był znajomy.

Dziewczynka przy stole roześmiała się głośno i klasnęła w ręce z ukontentowaniem. Hanas spojrzał na nią groźnie, a potem zbliżył się wolnym krokiem. Rozdarta koszula odsłaniała skłębione włosy na piersiach. Przekrzywiony krawat wisiał na urwanym kołnierzyku.

– Z czego się śmiejesz, ty wstrętna gówniaro?! – krzyknął. – To ładnie tak śmiać się z chorego dziecka?!

– Ja... ja śmiałam się nie z Elki, bo... bo... – dukała dziewczynka. – Ja z radości się śmiałam. – Wskazała ręką tubę patefonu. – Bo to mój tatuś mówi, a ona się boi głosu mojego tatusia!

W dusznym powietrzu pokoju rozchodził się spokojny, równy głos Edwarda Popielskiego.

– Nie bój się. Ja tylko żartowałem. To nieprawda, ja takich wcale nie prześladuję. Chciałem tylko cię podejść. Tak naprawdę, to jestem taki sam jak oni... Kocham dzieci... Mój numer telefonu to 243-15. Zapamiętasz? 243-15. Zadzwoń, jak spotkasz kogoś do mnie podobnego. Chcę się z takim spotkać, wymienić wspomnieniami... Spróbuj się czegoś więcej o takim dowiedzieć, żebym mógł go odnaleźć... Moja ty biedna dziecino! Mój ptaszku ukochany!

Hanas wyłączył gramofon. Elżunia wytarła oczy piąstkami i uśmiechnęła się do ojca. Już się nie bała.

Ale bała się Rita Popielska, kiedy Hanas usiadł koło niej. Skuliła się, kiedy patrzył jej w oczy. Odetchnęła, kiedy zobaczyła na jego twardej dłoni miętowego dropsa. Z ociąganiem poczęstowała się cukierkiem.

– Zaraz pójdziesz, kochanie, do domu – szepnął do niej. – Razem z ciocią. A tatuś dojdzie do was wkrótce...

– Kiedy? – zapytała Rita.

– Kiedy tylko mu kupię w prezencie nowy garnitur – odrzekł. – Bo ten brudny trochę...

XL

NAD RANEM LEON STAWSKI ZAWSZE PODLICZAŁ UTARG i odejmował z niego stały procent na poczet swego honorarium. Potem odsuwał się od biurka, otwierał umieszczony w szafce sejf, wyjmował plik kwitów bankowych i wciąż liczył swoje oszczędności. Można by wykonać tę czynność raz na jakiś czas, aby doliczyć wpływy bieżące do tych już zgromadzonych. Ale Stawski robił codzienne rachunki, bo były mu one pocieszeniem i nadzieją. Dzięki doliczanym dniówkom słupki liczb powoli rosły i mówiły mu, że coraz bliższy jest dzień, kiedy spłaci dług wobec Izydora Neua, swojego dawnego wspólnika, a dziś pracodawcy. Oto nadejdzie chwila, gdy porzuci ten brudny burdel i pojedzie do Ameryki, gdzie swe życie zacznie całkiem od nowa.

Również i dziś wykonał rachunki, wynik podkreślił wężykiem, po czym schował dokumenty do sejfu. Zapalił cygaretkę i spojrzał na zegarek. Już po trzeciej, zarejestrował, trzeba zamykać, nikt tak późno nie przychodzi tu w dni powszednie.

Mijała kolejna zwykła noc – nie gorsza i nie lepsza od pozostałych. Jeden klient był pijany i niewypłacalny, a inny – wróg higieny osobistej – mocno się awanturował, bo prostytutka nie chciała uczynić mu zadość w taki sposób, w jaki sobie życzył. Z pierwszym poradzili sobie strażnicy, a drugiego przekonał osobiście, aby się starannie umył. Liczbę gości uzupełnił dziś gimnazjalista przebrany w płaszcz i kapelusz, pewien młody piekarz, który przyniósł paczkę chrupiących bułek, oraz najpewniej ojciec rodziny, który odwiedził był „świątynię muz” w chustce zawiązanej na twarzy. Oto zwykła i przewidywalna codzienność – ktoś się upił, ktoś krzyczał, ktoś się wstydził.

Kiedy zastukano głośno do drzwi, Stawski właśnie chodził po pokojach i oznajmiał dziewczętom fajrant. Na odgłos dobijania się wyszedł znów na korytarz, aby zobaczyć, czy nocny gość ma poważne zamiary, czy też jest jednym z wielu pijaków, którzy przybywają tu nad ranem, by żądać usług za niższą cenę.

– To nie jatka – mawiał zwykle tym utracjuszom – gdzie pod koniec dnia kupuje się skrawki za grosze. To jest świątynia muz, pierwszorzędny *puff*.

Dwaj strażnicy stali w drzwiach podparci pod boki i zaśmiewali się z jakiegoś pijanego i okrytego szmatami żebraka, który palcami jednoznacznie pokazywał, na co ma ochotę.

– Nie gadać z tym łachudrą! – zeźlił się Stawski na strażników. – Won z nim i fajrant!

Nagle poczuł na karku żelazo.

– Okien nie domykasz, mechesie – rozległ się złowrogi szept. – A za progiem przecież zimno, deszcz, listopad... – Stawski zastygł w przerażeniu. – Nie odwracaj się i ani pary z ust, jeśli ci życie miłe! – usłyszał.

Widział, jak strażnicy na końcu korytarza biorą żebraka za bary i wychodzą z nim na zewnątrz. Potem usłyszał chlupot błota i wody w kałuży – żebrak najpewniej w niej wylądował. A później z podwórka dobiegły głuche uderzenia i jęki. Na koniec zapadła cisza, lekko rozpraszana piosenką *Całuję twoją dłoń, madame*, którą jakaś z dziewczyn puszczała na gramofonie.

Stawski wciąż stał z żelazem przy głowie i patrzył, jak jego dwaj strażnicy, uwalani błotem i z rozbitymi głowami, są wciągani przez kilku mężczyzn w płaszczach i kapeluszach. Jeden cerber cicho jęczał, drugi leżał całkiem bez zmysłów. Po chwili obaj zostali związani i zakneblowani.

– Cicho ma być tutaj, mechesie – stojący za nim chuchnął czosnkiem i przetrawioną wódką. – Żadna z kurew ma nawet nie pisnąć! Powiedz im to i pozamykaj je na klucz! W jednym pokoju!

Kierownika mocno pchnięto i poleciał na biurko. Obejrzał się i zobaczył kwadratową obrzmiałą twarz nieznanego mu mężczyzny.

– No, bier klucz! – mówił napastnik. – I zamykaj kurwy!

Stawski zrobił, co mu nakazano. Wystraszone i zmęczone kobiety apatycznie przeszły do jednego z pokoi, gdzie kierownik je zamknął. Potem podał klucz zbirowi. Ten włożył go pomiędzy palce i zacisnął pięść na uchwycie. Spomiędzy palców wystawała kwadratowa końcówka z trzema nierównymi zębami.

Wolną ręką pchnął Stawskiego na fotel przy biurku, a sam usiadł na jego brzegu i chrapliwie oddychał, rozsiewając wokół woń czosnku i gorzały.

– Siadaj i grzecznie odpowiadaj na pytania, bo ci tym kastetem – wskazał na klucz – buzię przefasonuję!

– Dobrze. – Przerażonemu Stawskiemu oczy wychodziły z orbit. – Wszystko powiem, co wiem!

Napastnik wsadził w usta dwa palce i gwizdnął przenikliwie.

Do domu wszedł wysoki mężczyzna z ręką na temblaku, w ciemnych binoklach i w płaszczu narzuconym na ramiona. Przedarł się przez grupę kilku mężczyzn tłoczących się przy drzwiach, omal nie nadepnął na jednego z leżących strażników, aż w końcu zbliżył się do biurka Stawskiego. Przysiadł na jego krawędzi i zdjął kapelusz. Podciągnął wysoko nogawki świeżo zaprasowanych nowiutkich spodni, aby nie wygnieść ich kolan. Położył kapelusz na biurku i zapalił papierosa. Stawski natychmiast go poznał. Nazywał go „panem 243-15” od numeru telefonu, który mu podał za jedynej tutaj swojej bytności.

– Kiedy ostatni raz tu byłem – mężczyzna odpalił papierosa od drogiej zapalniczki – ktoś nagrał to, co mówiłem do niejakiej Anielki. Mam do ciebie dwa pytania. Pierwsze: kto to nagrywał? Drugie: gdzie jest nagranie?

– Mamy mikrofony w pokojach – odpowiadał wystraszony Stawski. – One są podłączone przewodami tutaj, do małych głośników... – Wstał, odsunął kotarę, która osłaniała dużą tubę i ustawione rzędem głośniki opatrzone numerami pokojów. – Kiedy wchodzi klient – mówił dalej kierownik burdelu – to ja włączam właściwy głośnik i podstawiam go do tego fonografu. – Wskazał na tubę. – A jeden ze strażników staje tu koło mnie i kręci korbą. Wszystko się nagrywa na tych oto krążkach. – Machnął ręką w stronę czystych ebonitowych płyt ułożonych w równy stosik. – To, co uznam za interesujące, oddaję panu z amplifikatorni Polskiego Radio... A on zwiększa prędkość nagrań, łączy je, likwiduje szumy i trzaski, a potem gotowe płyty oddaje mojemu szefowi panu Izydoru Neu... Co, ładnie wszystko powiedziałem?

– „Izydorowi” – poprawił go mężczyzna. – Tak się mówi!

– Nie czas teraz, Popielski, na szkółkę niedzielną! – warknął człowiek o kwadratowej twarzy i ścisnął mocno klucz, który ledwo wystawał z jego pięści.

– Nazwisko tego radiowca! – krzyknął przesłuchujący.

– Jan Kukla.

– Powtórz!

– Jan Kukla, toż mówię!

Popielski wstał i podszedł do kompana. Zbliżył swoją twarz do jego napuchniętej gęby.

– Masz kolejny dowód, Hanas – wysyczał, tłumiąc wstręt, jaki w nim wzbudzał odór czosnku. – Kilka dni temu rozmawiałem z Lewickim. Powiedział mi, że płyty z szumem morza, lasu i śpiewem ptaszków

nagrywa mu niejaki Kukla z amplifikatorni Polskiego Radia! Ten specjalista likwiduje trzaski i szumy, czyli robi to, o czym mówił ten meches. To najpewniej Kukla obrobił mój głos i przekazał albo sprzedał płytę swojemu dobremu znajomemu, doktorowi Lewickiemu. Ten zaś straszył moim głosem twoją córkę! Pocierał balonikiem o szybę i kazał jej słuchać tych bzdur, które wygadywałem dziwce o imieniu Anielka... Wszystko jasne teraz, Hanas?!

Ostatnie pytanie Popielski wywrzeszczał swemu kompanowi wprost w twarz. Ten splunął i pochylił się nad siedzącym Stawskim.

– Nie wszystko jasne – zwrócił się do kierownika burdelu i uniósł pięść z kluczem. – Gadaj, czy doktór Lewicki tu przychodził!

– A przychodził, przychodził – odparł szybko Stawski, zasłaniając się łokciem przed rozwścieczonym Hanasem. – Przychodził do Anielki. Często tu przychodził!

– Gdzie jest Anielka?! – zapytał Popielski.

– Gdzie Anielka, gdzie Anielka? – Stawskiemu najwyraźniej było przykro, że w tej materii nie może pomóc. – Chora, nie wiem, nie przyszła dziś do pracy... Telefonowała, że chora!

Hanas odepchnął Popielskiego. Ból złamanej ręki nie był zbyt dotkliwy. Działała morfina, którą mu wstrzyknął doktór Pidhirny wezwany godzinę temu do willi Hanasa.

Król przemytu jednym szybkim ruchem chwycił Stawskiego za ucho. W małżowinę wcisnął ostre paznokcie i wraził je głęboko w skórę. Ścisnął go mocno i pociągnął ku górze. Kierownik tkwił w tych kleszczach – w półobrocie, ni to siedząc, ni to stojąc.

– Czy był tu z inną kobietą? – pytał cicho Hanas. – Może z jakąś dziewczynką? Taką, którą sobie sam przyprowadził? No gadaj!

– Tak, tak – przymilnie mówił Stawski. – Zwykle wybierał Anielkę, ale kilka razy przychodził tu z innymi... I płacił wtedy dubeltowo za pokój, bo szef nie lubi, jak się z innymi dziewczynkami do nas przychodzi... Ostatnio był z taką nienormalną! Trzymał ją dwa albo trzy dni! Jedzenia dużo zamawiał... Nocnik musieliśmy często wynosić... Lubi zeżreć taka pokraka!

Hanas, trzymając Stawskiego wciąż za ucho, wyjął z kieszeni nóż sprężynowy.

– Wiesz, com robił nad Prypecią tym, co obrażali mnie albo moje dziecko? Ot, com robił!

O blat biurka klasnął kawałek ludzkiego ciała, a potem w drewnie utkwił nóż sprężynowy.

Stawski wył. Z miejsca, gdzie było ucho, chlustała krew. Zasłonił ranę dłonią. Spomiędzy palców wylewały się strugi posoki, tryskały po szyi i sklejały sztywne szpakowate włosy. Stawski zwinął się w kłębek i runął na ziemię. Jego krzyk usłyszały kobiety zamknięte w pokoju. Zaczęły się dobijać do drzwi.

– Tosiek! – Hanas zarechotał. – Czesać się i brylantynką pomadować... No cho no tutaj, masz ruchanko gratis!

Do burdelu wskoczył niewysoki łachmaniarz uwalany błotem.

Popielski wyrwał nóż ze stołu zdrową ręką i pchnął Hanasa na ścianę. Ten był tak zaskoczony, że dał się ponieść inercji swego ciężaru. Popielski doskoczył do niego i kolano wraził mu w krocze. Hanas zakaszlał i ukląkł na podłodze. Wtedy dostał kopniaka w szyję i rozłożył się bez tchu. Zaskoczeni goryle ruszyli ku Popielskiemu, który ściskając złamaną rękę i jęcząc z bólu, postawił but na grdyce Hanasa.

– Jeden wasz ruch – ostrzegł, wysuwając nóż w stronę dwóch pretorianów i Tośka – a poderżnę mu gardziel!

Stanęli w bezruchu. Popielski, wciąż trzymając się za rękę, zrzucił z siebie płaszcz i ukląkł na piersi Hanasa.

– Zostaw te kobiety w spokoju – wycedził. – Dość już narobiłeś świństw, ty ruski skurwysynu! Porwałeś mi dziecko, złamałeś rękę, obciąłeś ucho temu człowiekowi. Gdzie twój honor przemytnika?

Po tych słowach Popielski, nie czekając na odpowiedź, podniósł się z Hanasa. Ten też wstał i ciężko dyszał. Z jego twarzy odpływała sina barwa, a oczy powoli się zmniejszały.

– Nie znasz się na żartach, Tosiek? – powiedział. – Dymać to ty kurczaki sobie możesz!

Potem odwrócił się, zgarnął płaszcz Popielskiego z biurka i podszedł do komisarza.

– Odwróć się, Łyssy – polecił. – Łapę masz przetrąconą, sam nie włożysz mantla.

Zarzucił mu na ramiona wierzchnie okrycie z wielbłądziej wełny i poszedł do swoich ludzi.

Edward Popielski, niezatrzymywany przez nikogo, wyszedł z burdelu. Wracał do domu na piechotę, nie zważając na ból ręki i drobny deszcz. Chciał jak najszybciej ucałować Ritę i Leokadię.

Leon Stawski patrzył na swoje obcięte ucho i powtarzał przez łzy:

– Gdzie jest Anielka, no gdzie jest Anielka?

XLI

ANIELKA, UMALOWANA STARANNIE i ubrana w elegancką niesymetryczną sukienkę, pantofle na obcasie i kapelusik z koronkową woalką i takież rękawiczki do łokci, nie przypominała zalęknionej dziewczynki, jaką była do tej pory. Siedziała w wagonie restauracyjnym pierwszej klasy szybkobieżnego pociągu do Warszawy i w milczeniu, przez obłok papierosowego dymu, patrzyła na towarzyszącego jej mężczyznę. Ze swoim szlachetnym profilem, ostrym nosem i wąskimi ustami przypominał jej Jana Kiepurę. Nie mogła dostrzec jego oczu, ponieważ utkwił je w oknie, za którym przesuwał się szary deszczowy krajobraz jakiejś podlubelskiej wsi. Pogłaskała go delikatnie po dłoni.

– Nie odwracaj się ode mnie, Guciu – szepnęła. – Chcę widzieć twoje oczy! Takie dobre i kochane!

Za głową doktora Gustawa Lewickiego migały nędzne, pokryte słomą chałupy. On ich jednak nie widział. Przyglądał się swojemu odbiciu w szybie, otoczonemu przez smużkę papierosowego dymu. Przypominał on dymek z kadzidełka, które widział dwadzieścia lat temu, upalnego lipcowego dnia w Obroszynie.

Spędzał wtedy swe kolejne letnie wakacje u stryja Zygmunta, który był c.k. policjantem tamże. Pewnego dnia został przez niego wysłany do letniego pałacyku hrabiostwa Niezawitowskich z ważną przesyłką sądową i z przykazaniem, by w zamian przyniósł kwit odbioru własnoręcznie podpisany przez pana hrabiego lub jego żonę Laurę. Wprowadzony do przedpokoju przez służącego dzierżył kwit w dłoni i czekał cierpliwie, aż ktoś z państwa przyjść do niego raczy. Po kwadransie czekania stracił swe onieśmielenie. Przeszedł się po salonie i obejrzał wszystkie meble i obrazy.

Po dwóch kwadransach zaczął kląć pod nosem, po trzech – postanowił wyjść bez podpisu. Wtedy w salonie zjawił się pan hrabia Niezawitowski, który wziął kwit od chłopca i nakazał mu przyjść za kilka minut do swojego gabinetu na piętrze. Po upływie wyznaczonego czasu Lewicki został poinformowany dokładnie przez służącego, dokąd ma się udać. Kiedy znalazł się w nakazanym miejscu, zrozumiał, czemu służący, objaśniając mu drogę, dziwnie się uśmiechał.

W zaciemnionym gabinecie wśród blasku świec unosiło się wąskie pasemko dymu z kadzidełka. Na szezlongu leżał na brzuchu Ferdynand hrabia Niezawitowski. Jego nagie ciało pokrywały sine cienkie pręgi.

Narzędzie, jakie pozostawiło te ślady – bat na długim trzonku – tkwiło w pięknych dłoniach hrabiny, która – w koronkowym rozpiętym szlafroku narzuconym na nagie ciało, z jedną nogą, opartą na szezlongu – roztaczała przed siedemnastoletnim chłopcem całe spektrum swojego bezwstydu.

– Gwiżdżesz *Tango milonga*, Guciu – powiedziała Anielka. – Nasze ulubione... Będziemy zawsze przy nim tańczyć, nawet kiedy będziemy już starzy...

– Posmaruj mnie tam jajkiem. – Hrabina uderzyła batem męża, a potem wypięła się w kierunku Lewickiego, kiedy już zrzucił ubranie. – Tak rozdziewiczają przyszłe gejsze japońscy samuraje.

Lewicki nabrał w garść kurze białko i żółtko, wypełniające porcelanową miseczkę. Potem natarł na obnażone pośladki hrabiny. Prawie natychmiast stał się mężczyzną. W momencie, o którym tyle wcześniej marzył, omal nie stracił przytomności od gorąca i od duszącej woni kwiatów, jakie stały wokół w doniczkach.

– No proszę, jak szybciutko dziecko się pośliniło! – Hrabina zaśmiewała się rozłożona na szezlongu.

Lewicki łykał łzy upokorzenia, kiedy patrzył na jej bujne owłosienie i na rozlane pośladki. W duchu przysięgał, że nigdy już nie dotknie tak tłustej kobiety. Że już nigdy żadna nie będzie miała nad nim przewagi.

– Guciu, deser podano – szczebiotała Anielka. – A tyś taki duchem nieobecny...

Kiedy kilka dni później tego samego upalnego lata siedemnastoletni mężczyzna Gustaw Lewicki błąkał się wieczorem po obroszyńskim lesie, natknął się na grupkę dzieci zbierających maliny. Przestraszył się wtedy własnych myśli, jakie wzbudził w nim uśmiech jednej z dziewczynek.

– Myślisz o niej? – zapytała Anielka. – Przecież wiem, że ta twoja narzeczona nie istnieje tak naprawdę! Że zdjęcie, które zawsze masz ze sobą, to jakaś twoja dawna miłość, która już nie żyje...

Lewicki myślał o wizycie w burdelu rok po swej inicjacji.

Czuł wtedy, że już dłużej nie wytrzyma. Że spali się z tej wstrzemięźliwości, którą sobie narzucił przerażony swoimi myślami w obroszyńskim lesie. Pewnej nocy pojechał do domu publicznego w Zimnej Wodzie. Zadrżał na widok młodziutkiej prostytutki. Posiadł ją wtedy dwukrotnie, ale nie przeżył tak wielkiej rozkoszy jak podczas swej inicjacji u hrabiostwa Niezawitowskich. Następnego dnia zawitał w ich willi przy Herburtów. Hrabia przyjął go ozięble, myśląc, że obroszyński posłaniec chce od niego wyłudzić jakieś pieniądze. Niezawitowski, nie pytając o nic, dał mu na odczepnego jakąś kwotę i dawne zdjęcie swej małżonki. Ale Lewicki nie dał się zbyć i dokładnie wypytał hrabiego o sposoby zwężenia wejścia do kobiecego antrum amoris *oraz o nazwę kwiatu, który wtedy w gabinecie rozsiewał duszący zapach. Tego samego dnia w burdelu w Zimnej Wodzie kazał młodziutkiej prostytutce posmarować się ałunem i patrząc na zdjęcie swej pierwszej w życiu kochanki, przeżył ekstazę wśród woni jaśminu wielokwiatowego.*

Wszystko byłoby dobrze, gdyby realizacje swych fantazyj ograniczył do kobiet sprzedajnych, co czynił przez kolejne dziesięć lat. Niestety Gustaw Lewicki, świeżo upieczony lekarz po specjalizacji pediatrycznej, zrozumiał, że nie musi za to płacić. Na nieszczęście powierzonych swej opiece dziewczynek.

– GUCIU – ANIELKA MIAŁA ŁZY W OCZACH. – No powiedzże mi coś dobrego! Coś serdecznego! Nie patrz ciągle w to okno! Zjedz coś, kochany!

– Zamknij się, mała ladacznico. – Lewicki odwrócił się od okna i piorunował ją wzrokiem. – Ty myślisz, że masz do mnie jakieś prawo? Że jesteś moją narzeczoną? Wybieraj: możesz być moją służącą albo się wynoś i wysiadaj zaraz!

– Jak ty tak możesz? – W oczach Anielki pokazały się łzy. – Ja dla ciebie piersi ściskałam bandażem, ja ałunem się smarowałam, ja nawet to biedne dziecko porwałam... Pozwól mi chociaż służyć sobie! – Po chwili uspokoiła się i zapytała zimno: – Naprawdę chcesz, żebym wysiadła? Oto Lublin, mogę wysiąść i zatelefonować do pana Hanasa...

– Ja tylko żartowałem. – Uśmiech upodobnił Lewickiego do „chłopaka z Sosnowca”. – To tak z nerwów... Omal dzisiaj nie zginąłem z rąk mego prześladowcy... To tak z nerwów... – Pochylił się przez stolik i pocałował ją w szyję. – Idź do naszej salonki, przebierz się, jak lubię, a ja za chwilę tam będę!

Anielka roześmiała się, złożyła buzię w ciup i poszła, dokąd jej polecił.

Doktór poczekał, aż podejdzie do niego kelner.

Panie starszy, mam do pana osobliwą prośbę. – Uśmiech Jana Kiepury robił wrażenie nie tylko na kobietach. – Czy mógłby mi pan sprzedać surowe jajko?

LETE

Lethe, einer von denen höllischen Flüssen, welcher insonderheit die Kraft hatte, daß, wenn derer Verstorbenen Seelen daraus truncken, sie so wohl des Elends vergassen, welches sie auf der Welt ausgestanden, als auch derer Herrlichkeiten, die sie in denen Elysaeischen Feldern genossen, um solchergestalt mit destoweniger Unzufriedenheit in die ihnen von neuem definirten Cörper zu fahren.

Lete, jedna z piekielnych rzek, która taką ma moc, że duchy zmarłych, kiedy jej wodę piły, zapominały zarówno o nędzy, jaką cierpiały na ziemi, jak i o przyjemnościach, którymi się napawały na Elizejskich Polach; [służy to temu], by w ten sposób dusze z możliwie jak najmniejszą niechęcią wcielały się w nowe ciała.

Lethe, [w:] Johann Heinrich Zedler, *Grosses vollständiges Universal-Lexicon* (1732–1754)

XLII

– EGO TE ABSOLVO – POWIEDZIAŁ POPIELSKI i stuknął dwa razy w drewnianą ściankę konfesjonału.

Mijały długie minuty. Eberhard Mock poruszył się niespokojnie. Deski klęcznika zatrzeszczały.

– Zasnąłeś tam, Edi?

– Nie – odparł Popielski. – To już wszystko minęło, teraz...

– Teraz pomówimy o tym, co dalej? – Mock wszedł mu w słowo.

W kościółku Świętego Idziego było już ciemno i prawie pusto. Starsza kobieta odmawiała Litanię do Najświętszego Serca Pana Jezusa, jakiś młody człowiek wyglądający na studenta cicho łkał przy ołtarzu, elegancka platynowa blondynka ściskała różaniec tak mocno, że bielały jej przy tym smukłe palce. Wrocławianie przedstawiali Opatrzności swe prośby, składali obietnice, żałowali za grzechy i próbowali negocjować z nieruchomym, doskonałym Bogiem, który patrzył na nich chłodnym i mądrym okiem ze swoich krystalicznych perspektyw.

Fałszywy kapłan, widząc autentyczną żarliwość wiernych, poczuł w gardle żółć. Wstrętem napełniało go oszustwo, jakiego się dopuszczał, będąc tym, kim nie był.

– Nie mogę go tropić, kiedy całe miasto tropi mnie – szepnął do fałszywego penitenta. – Znajdź go, Ebi. On jest w tym przeklętym mieście.

– Skąd o tym wiesz?

– Ktoś go widział i o tym mi powiedział.

– Kto?

– Ktoś ze Lwowa, kto tego samego dnia, kiedy mnie rozpoznał pod księżą szatą, przyszedł do mnie z informacją, że widział Lewickiego. Wtedy ja – sam ścigany przez UB, nie mogłem nawet palcem kiwnąć w tej sprawie... A teraz mam ciebie do pomocy, a ten ktoś tu jest, w tym kościele...

Popielski wychylił się z konfesjonału i uchwycił spojrzenie platynowej blondynki. Kiwnął jej głową. Wstała i podeszła do mężczyzn. Z bliska widać było, że jest już w wieku balzakowskim.

Mock, aby jej się przyjrzeć, aż usiadł na klęczniku konfesjonału. Popielski rozejrzał się po kościele i ujrzawszy ludzi zatopionych w modlitwie, znów kiwnął jej głową.

– Bez niej nic bym nie wiedział – powiedział poważnie. – Panna Ludwika Wiszniewska jest moim najlepszym agentem.

– Byłam guwernantką Elżuni Hanasówny – szeptem odezwała się po niemiecku do Mocka. – Skrzywdzoną na całe życie przez sługę jej ojca. Marzę o zemście na porywaczu. Co pan chce wiedzieć?

– Najpierw chcę wiedzieć, gdzie go pani widziała – oznajmił Mock. – A potem, czy ma dziś pani wolny wieczór...

XLIII

EDWARD POPIELSKI, UBRANY W SUTANNĘ, czarny płaszcz i takiż kapelusz, spacerował po ulicy Kanoniej, wzdłuż zniszczonego muru Ogrodu Botanicznego. Choć w swej ręce trzymał otwartą Biblię, uważny obserwator zaraz by dostrzegł, że niewiele poświęca uwagi świętemu tekstowi. Bardziej interesował go zryty bombami teren za parkanem, katedra, na której wypalonym gmachu ustawiono już rusztowanie dla dekarzy, a już najchętniej swój wzrok kierował w stronę kilku studentek, idących krok w krok za wysokim mężczyzną i zapisujących w zeszytach informacje o – jak zdołał Popielski usłyszeć – charakterystycznych cechach stylu romańskiego. Wywód wykładowcy był co chwila przerywany jakimś pytaniem, a nawet – co nie licowałoby z powagą normalnej sali uniwersyteckiej – śmiechem i dokazywaniem studentek.

Październikowy dzień był ciepły i bezwietrzny. Ta ostatnia jego właściwość niezwykle cieszyła Popielskiego, ponieważ nie znosił wrocławskiego wiatru. On nie był rozkosznym Zefirem, lecz raczej wyziewem Hadesu, nie przynosił wytchnienia, lecz rozwiewał dymy i sadzę, a wszystko zatruwał miazmatem zaszczurzonych piwnic i odorem spalenizny.

Toteż choć musiał tego ciepłego dnia często podnosić kapelusz i osuszać chustką głowę, i tak był w dobrym nastroju, zwłaszcza że nigdy nie psuł mu humoru widok jesiennych liści i młodych rozszczebiotanych dziewcząt. Ponadto czekały go dwie rozmowy, po których wiele sobie obiecywał. Pierwsza z nich miała się rozpocząć, jak stwierdził, patrząc na swojego naręcznego schaffhausena, dokładnie za dwie minuty.

Po upływie połowy tego czasu znalazł się w stojącym w Ogrodzie Botanicznym budynku z czerwonej cegły. Był on, jak głosił świeży szyld, siedzibą Katedry Morfologii i Systematyki Roślin Uniwersytetu Wrocławskiego oraz miejscem urzędowania dyrekcji Ogrodu. Ponadto, o czym już szyld nie mówił, w gmachu tym najszybciej można było spotkać rektora obu połączonych wrocławskich uczelni – uniwersytetu i politechniki.

Kolejną minutę do umówionej godziny spotkania wypełniła mu krótka rozmowa z woźnym, który mówił z wyraźnie niemieckim akcentem, oraz pokonanie dość stromych schodów.

Równo w południe zasiadł przed obliczem rektora, nie zdjąwszy kapelusza. Choć z profesorem Kulczyńskim widzieli się tylko raz i to w dodatku dwanaście lat temu, Popielski obawiał się, że jego łysina, pozbawiona nakrycia głowy, będzie łatwym znakiem rozpoznawczym. Natomiast nie bał się zupełnie posądzenia o brak dobrych manier. Był przekonany, że botanik jest dżentelmenem w dobrym starym stylu, zgodnie z którym w czasie oficjalnych wizyt kapelusze nie powinny opuszczać ani świeckich, ani – tym bardziej – duchownych głów.

Popielski z przyjemnością rozglądał się po gabinecie profesora, gdzie było mnóstwo pamiątek z dawnego, zniszczonego wojną świata – wielka austriacka mapa Galicji i Lodomerii, sztychy rejestrujące widok Lwowa z Wysokiego Zamku oraz portret poważnego pana w monoklu, do którego profesor był nader podobny.

Z miłym zdziwieniem oraz nie bez pewnego poczucia zazdrości zauważył, że profesor w ciągu tych dwunastu lat prawie wcale się nie zmienił. Jego szczupła, pociągła twarz, zwieńczona wysoką gęstą czupryną, była prawie zupełnie wolna od zmarszczek. Na pierwszy rzut oka widać było jedynie dwie, które biegły od nosa do kącików ust.

Kulczyński poczęstował gościa papierosem, a potem przypatrywał się uważnie nieznajomemu, jakby starając się wyczytać w jego oczach cel przybycia.

– Ach, już sobie przypominam! – zakrzyknął nagle. – Od księdza Blicharskiego, tak! Mam w notesie zapisany termin tej wizyty, ale nie pamiętam jej celu... Gdyby ksiądz zechciał mi przypomnieć...

– W rzeczy samej – odparł Popielski. – Przyszedłem odebrać kwiat doniczkowy, o który pan profesor wystarać się raczył na prośbę księdza doktora...

Kulczyński obszedł biurko dokoła i jeszcze raz przyjrzał się uważnie swojemu gościowi, który właśnie wydmuchiwał kłąb dymu.

– I ksiądz jest pełnomocnikiem infułata Milika do spraw bibliotecznych, tak? Dobrze zapisałem? Ksiądz doktór Franciszek Łysiak?

– Tak jest.

Kulczyński zgasił niedopałek i znów przyjrzał się Popielskiemu. Ten poczuł dreszcz – zwiastun niebezpieczeństwa rozpoznania.

– Czy mogę zapytać, w jak dużym pomieszczeniu będzie stał ten kwiat i dlaczego ksiądz doktór Blicharski życzył sobie właśnie stefanotis?

– Stać on będzie w czytelni. – Popielski nasunął kapelusz na oczy i poczuł wilgoć na czubku głowy. – Ksiądz doktór chciałby właśnie tam mieć piękny, reprezentacyjny kwiat, który by cieszył oczy alumnów... A cóż może pasować lepiej niż piękny okaz przyrody do miejsca, gdzie się studiuje między innymi o *creatio ex nihilo*?

Zaraz pożałował tego wytłumaczenia. Nie znał poglądów Kulczyńskiego, ale i tak mocno wątpił w to, czy jako biolog i naukowiec podziela on religijną koncepcję o „stworzeniu świata z niczego”. Zaklął w duchu. Nie spodziewał się pytania o miejsce przechowywania kwiatu i nie przygotował sobie lepszej i – nade wszystko – prostszej odpowiedzi.

– Duża jest ta czytelnia? – dopytywał wciąż profesor.

– Duża – odparł Popielski i rozejrzał się wokół. – Dwa razy większa od gabinetu pana profesora...

– Zazdroszczę takiej przestrzeni naukowej. – Kulczyński się uśmiechnął. – Ale i cieszę się z niej... Im więcej powietrza, tym lepiej... Wie ksiądz, ten kwiat, stefanotis, miewa szkodliwy wpływ na ludzi, którzy są uczuleni na jego silny zapach... W dużym pomieszczeniu jego szkodliwe działanie jest oczywiście słabsze...

– Bo zapachy idą ku górze?

– Dla porównania: kadzidło w kościele pachnie o wiele krócej niż w jakiejś komórce... W nawie kościoła jest mniej stężone. Gdyby taki uczulony znalazł się z tym kwiatem w jakiejś dziurze, to mógłby nawet stracić oddech i...

– Umrzeć?

– Tak, nawet umrzeć – odparł profesor i spojrzał na zegarek. – Przepraszam, niewiele mam czasu... Obowiązki rektora... – Podszedł do aparatu telefonicznego i nacisnął widełki. – Panie Form, proszę przynieść spod okna stefanotis dla księdza... dla księdza...

– Łysiaka – podpowiedział Popielski, gratulując sobie w duchu przenikliwości. Nazwisko „Łysiak” dla łysego mężczyzny było tak nieprawdopodobne, że mogłoby być prawdziwe. Nikt poszukiwany nie przyjąłby przecież nazwiska, które by ułatwiło zdemaskowanie.

Profesor Kulczyński odłożył słuchawkę i podszedł do swojego gościa. Ujął go lekko pod ramię i odprowadził do drzwi gabinetu.

– Z Bogiem, księże Łysiak. – Uśmiechnął się lekko. – A może księże Łyssy?

Pierwsza dziś ważna rozmowa Popielskiego nie skończyła się całkiem po jego myśli.

XLIV

RIKSZA ZAJECHAŁA NA ULICĘ KANONIĄ kwadrans na trzecią. Zatrzymała się pod kamienicą, której brama zwieńczona była symbolami wolnomularskimi. Popielski, ubrany już po cywilnemu, wyszedł z niej i wsiadł do rikszy. Na siedzeniu obok postawił donicę ze stefanotis.

Riksza ruszyła brukowaną uliczką prowadzącą do kościoła Świętego Krzyża. Skręciła przy nim w prawo, w ulicę Świętokrzyską.

– Patrz, Edi – powiedział rikszarz, starszy już mężczyzna o twarzy pooranej białymi i różowymi bliznami po oparzeniach. – W tym zrujnowanym domu przy Kreuzstrasse 5 mieścił się kiedyś pierwszorzędny burdel...

– To blisko doń mieli uczniowie z tej szkoły. – Popielski wskazał dłonią na budynek szkolny na Sienkiewicza. – Mogli szybko zdobywać męskie szlify, nieprawdaż Ebi? Między greką a matematyką.

– Tu nie było gimnazjalistów. – Mock, z wysiłkiem pedałując, pochylił się nad Popielskim i szeptał mu do ucha: – Tu była *Volksschule*... Jedyne przyjemności, jakie uczniowie mieli podczas przerwy, to świeża bułka kupiona w piekarni naprzeciw. A teraz mów, stary przyjacielu, po co ci, do cholery, ten kwiat? Czy moje informacje są niewystarczające?

– Muszę mieć pewność, że to Lewicki. – Popielski w poszukiwaniu szpicli przyglądał się uważnie mijanym, nielicznym o tej porze dnia przechodniom. – Na razie wiemy tylko tyle, co ty ustaliłeś, dzięki zeznaniom Wiszniewskiej i twoim tropicielom...

Zatrzymali się na rogu Sienkiewicza i Świętego Wojciecha, przy murze Ogrodu Botanicznego, aby przepuścić sznur ciężarówek wiozących

sowieckich żołnierzy. Jechały one powoli w stronę Odry i skręcały w lewo, w Szczytnicką.

Mogli teraz rozmawiać swobodnie i bezpiecznie z dwóch powodów: po pierwsze, Mockowi minęła zadyszka, a po drugie, nikt postronny nie usłyszałby ich słów w huku silników i w ryku żołnierskich gardeł wyśpiewujących jakąś skoczną piosenkę.

– Jeszcze ci mało? – zapytał Mock. – Znalazłem lekarza, który na Piastenstrasse leczy muzyką i hipnozą nerwowe dzieci. Panna Wiszniewska rozpoznała w nim Lewickiego. Mówi z całą stanowczością, że to on, przecież dobre dwa lata, jak twierdzi, pracowali razem nad Elżunią i nawet wymieniali uwagi i doświadczenia... Zna go dobrze! Czegóż chcesz więcej? Łapiemy skurwysyna, pakujemy go w tajne i bezpieczne miejsce, dokąd ściągamy Brzozowskiego! Czego jeszcze chcesz?

– Chcę pewności, Ebi, pewności – odpowiedział z naciskiem Popielski. – A na razie mam tylko jedną przesłankę. Stawski powiedział, że Lewicki często przychodził do burdelu na Balonowej. Tylko że Stawski był śmiertelnie przerażony i zdradziłby nawet własnego ojca... Dobrze to pamiętam. Hanas go zapytał: „Czy Lewicki tu przychodził”, a Stawski odpowiedział: „Ależ tak!”. Gwarantuję ci, Ebi, że odpowiedziałby twierdząco, gdyby go zapytać: „A Mock tam przychodził?”, albo: „Czy Stalin tam przychodził?”.

Zatrąbił za nim jakiś stary ford, przypominając, że droga już jest wolna. Po przejechaniu skrzyżowania Mock zwolnił i znów pochylił się nad Popielskim.

– A ten znajomy Lewickiego z radio to nie dowód?

– Znajomy z Radio Lwów, niejaki Kukla, to oczywiście dowód na to, że Lewicki nagrał mój głos i nauczył dziewczynkę histeryzować na jego dźwięk. Jest to pośredni dowód na to, że chciał od jej ojca wydobyć

pieniądze za złapanie rzekomego gwałciciela. Ale nie jest to dowodem winy Lewickiego...

– A zapach tego kwiatu – powiedział Mock, wskazując wzrokiem donicę – będzie rozstrzygającym dowodem, tak?

– *Dixisti* – odparł Popielski i rozparł się wygodnie w rikszy.

Przejechali następne skrzyżowanie i zagłębili się w kanion wśród ruin, tak wąski, że z trudem mijały się w nim niezbyt szerokie pojazdy, takie jak motocykle czy riksze, a większe od nich automobile i furmanki musiały czekać, aż cały odcinek pomiędzy Górnickiego a Reja będzie pusty.

Po chwili wjechali już na teren zamieszkany, pomiędzy dwa rzędy wysokich kamienic. Popielski, wygodnie rozparty w rikszy, patrzył na ich szczyty. Na widok dwóch orłów siedzących po obu stronach frontonu jednej z nich drgnęła jego przepona. Wydawało mu się, że już je gdzieś widział. Cierpliwie czekał na olśnienie. Nie nadchodziło.

Skręcili w prawo, w ulicę Piastowską i zatrzymali się mniej więcej w jej połowie.

– To tutaj – szepnął Mock. – Piastenstrasse 25, mieszkanie 5. Tutaj mieszka z żoną. Tylko we dwoje w mieszkaniu.

Popielski milczał. Rozszerzonymi źrenicami wpatrywał się w kamiennego anioła, który siedział na frontonie kamienicy numer 25 i spoglądał w dół.

Był mu znany. Już go kiedyś widział w jakimś epileptycznym śnie.

Wstał i przyciskając do boku doniczkę ruszył za Mockiem do bramy. Spojrzał w dół ulicy i przeżył kolejny wstrząs. W tym samym śnie widział też stojące za skrzyżowaniem wysokie domy o płaskich dachach.

– Co jest, Edi? – Mina Mocka była zatroskana. – Źle się czujesz?

– Idziemy, każdy z nas wie, co ma robić – odparł Popielski i wszedł pierwszy do bramy, przy której blaszany szyld informował:

Leczenie nerwów muzyką
Dr Eugeniusz Stabro
pediatra i psycholog dziecięcy
przyjmuje codz. od 2 1/2 do 4 1/2

Po otwarciu bramy stanął jak wryty. Wszystko to widział w swoim epileptycznym śnie. Podest o kilku stopniach tworzący rampę, do której pewnie podjeżdżały wozy przeprowadzkowe wyładowane meblami. Poręcz okalająca ową rampę i schodki z drugiej jeszcze strony. Trzy mieszkania na parterze, wejście na pierwsze piętro i drzwi po prawej stronie oznaczone numerem 5. To wszystko wtedy widział.

Ostrożnie odstawił doniczkę na stopień schodów. Kiedy naciskał przycisk dzwonka i usłyszał pytanie: „Kto tam?”, a potem własną głośną odpowiedź: „Ja z dzieckiem do doktora!”, przeżył ostatnie olśnienie. Już wiedział, gdzie i kiedy o tym śnił. Dwanaście lat wcześniej w piwnicy Hanasa.

Dwanaście lat temu, kilka dni przed atakiem *grand mal* w piwnicy, we lwowskim burdelu na Balonowej widział tę kobietę, która teraz otwierała mu drzwi. Bezlitosny czas bardzo lekko odcisnął na niej swe piętno, ograniczając się wyłącznie do podkreślenia mimicznych zmarszczek. Była bardzo drobna i szczupła – jak wtedy, gdy szlochała w jego objęciach.

Mock był bardzo szybki. Mocno chwycił kobietę za małą drobną buzię i ścisnął ją. Napadnięta zdążyła wydać z siebie jakiś piskliwy dźwięk, który jednak nie przedostał się na klatkę schodową, bo Popielski wtoczył się do mieszkania z kwiatem doniczkowym i zatrzasnął drzwi.

Pisk kobiety zaalarmował jednak doktora, który wyszedł z gabinetu do przedpokoju i patrzył na łysego intruza przerażonym wzrokiem.

Czas nie obszedł się z nim tak łaskawie jak z jego żoną. Gęste niegdyś włosy miał teraz mocno przerzedzone, policzki wzdęte tłuszczem, a oczy

podpuchnięte dwiema fałdami. Na jego wydatnym brzuchu opinał się fartuch. Z otwartych drzwi gabinetu dobiegała spokojna muzyka – fragment ćwiczeń klawesynowych Bacha.

Lewicki nie zdążył nawet zrobić ruchu, gdy Popielski go dopadł. Po mocnym, dobrze wymierzonym ciosie w szczękę doktór odwrócił się na pięcie i runął twarzą na ścianę. Lekko się po niej osunął, rysując paznokciami jasny tynk. Popielski chwycił go za kołnierz fartucha i szarpnął ciężkie ciało w stronę otwartych kuchennych drzwi, do których było mu najbliżej. Pod wpływem gwałtownego ruchu kołnierz się urwał, a Lewicki ryknął potężnym głosem.

Na szczęście leżał już twarzą do ziemi i jego krzyk został wytłumiony przez puszysty chodnik rozciągający się wzdłuż całego przedpokoju.

Popielski skoczył mu na plecy, kolanami wbijając się w łopatki. Lewicki wygiął się jak naciśnięta butem dżdżownica. Wtedy otrzymał cios kantem dłoni w miejsce, gdzie obojczyk styka się z szyją. Kaszlnął i znieruchomiał.

Popielski odsapnął i spojrzał na scenerię nierównej walki.

Mock jedną dłonią trzymał Anielkę za kark, a drugą – z wysuniętym palcem wskazującym – przyciskał do swoich ust, nakazując jej tym powszechnie znanym gestem całkowite milczenie.

– Kiedy przyjdzie jakiś pacjent – powiedział Popielski – masz go spławić, rozumiesz? Kiwnij głową na znak, że rozumiesz!

Kiwnęła.

– Jak go spławisz? – zapytał.

– Że doktór chory – wyjęczała.

– Powtórz!

– Doktór chory!

– Zapamiętasz to, Ebi?

– Oczywiście – odparł Mock z uśmiechem. – Wasz język jest trudny, ale chyba nie masz mnie za idiotę?

– Jeśli powiesz coś innego – Popielski znów zwrócił się do kobiety – mój przyjaciel tak cię ściśnie za kark, że udusi... Zgniecie cię jak wesz...

Anielka pokiwała ze zrozumieniem głową, a wielkie oczy omal nie wylazły jej z oczodołów.

Popielski ukucnął nad głową Lewickiego i chwycił go za kołnierz koszuli, licząc, że jej materiał jest mocniejszy niż płótno fartucha. Nie pomylił się. Ciężko dysząc, wciągnął go po podłodze do wnętrza kuchni. Potem zamknął drzwi, związał mu ręce i nogi kosmatym silnym sznurkiem, w który zaopatrzył był go Eberhard, a potem zdarł mu z nóg buty i skarpetki. Zakneblował go nimi skutecznie.

Wrócił po stefanotis i postawił go na podłodze. Rozejrzał się po pomieszczeniu, dłużej zatrzymując wzrok na spiżarce. Wszedł do środka i rozpromienił się, widząc niewielkie jej rozmiary. Wstawił tam doniczkę, po czym ruchem ślizgowym wsunął bezwładne ciało. Ostatnią czynnością, jaką wykonał, było zamknięcie okna w spiżarce i wylanie na głowę Lewickiego pół wiadra zimnej wody, co go natychmiast ocuciło.

Popielski usiadł przy stole z papierosem i czekał. Mijały minuty, a on palił jednego za drugim. Ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Anielka odpowiedziała tak, jak obiecała. Minął kwadrans. Ze spiżarni zaczęły dochodzić gniewne okrzyki Lewickiego, który złorzeczył Popielskiemu w najgorszych słowach.

Po drugim kwadransie Popielski przestał rozróżniać wykrzykiwane wyrazy. Dźwięki stały się nieartykułowane, a krzyk zamienił się w charkot.

Otworzył drzwi do spiżarni. Buchnął z niej dławiący zapach stefanotis. Lewicki leżał na boku. Związanymi rękami usiłował dostać się do ust. Jego nogi podrygiwały.

Po chwili do duszącej woni kwiatu dołączył smród amoniaku, a na spodniach Lewickiego rozlała się wielka ciemna plama.

***

KILKA MINUT PÓŹNIEJ na biurku pułkownika UB Placyda Brzozowskiego w jego willi na Kasprowicza rozdzwonił się telefon. Wielka mięsista dłoń sięgnęła po słuchawkę.

– Halo!

– W sprawie pańskiej córki Lucyny Brzozowskiej – rozległ się spokojny męski głos.

– Słucham, słucham!

– Mam porywacza i gwałciciela! Dam go panu!

– Wiesz, ilu już takich do mnie dzwoniło? Wiesz, ilu ma chętkę na moje pieniądze?

– Nie to nie!

Placyd Brzozowski przyklepał przetłuszczone fale swych siwych włosów. Jego twarz rozpromienił uśmiech. Spod mięsistych warg wyszły małe ostre zęby.

– Gdzie i o której?

– O ósmej wieczorem w kościółku na Miłej. Ale najpierw wygoń z niego Cyganów!

Połączenie zostało przerwane.

XLV

NA NAJNIŻSZYM POZIOMIE BUNKRA na ulicy Ładnej było pewne pomieszczenie, któremu z pozostałymi łączność zapewniała jedynie żelazna drabina. Nic nie wiedzieli o nim rezydujący tu od czasu zdobycia twierdzy Wrocław polscy i sowieccy żołnierze. Cel jego wybudowania był wyraźnie defensywny. Zostało ono mianowicie zbudowane po to, aby umożliwić ucieczkę komendantowi bunkra. W sytuacji bez wyjścia mógł otworzyć jedynie sobie znane drzwi, skąd żelazna drabina prowadziła cztery metry w dół – do rzeczonego tajnego pomieszczenia. Ono z kolei miało dwa wyjścia, za którymi były dwa niskie korytarze. Jeden z nich prowadził do pewnej piwnicy na Grunwaldzkiej 2, drugi zaś – do małego kościółka Świętego Wawrzyńca, stojącego przy dawnym cmentarzu na Miłej. Przybytek ten, zrujnowany i pozbawiony dachu, był dzisiaj nazywany „cygańską stajnią”, ponieważ przedstawiciele tej właśnie nacji trzymali w nim swe konie.

Eberhard Mock mógłby się nie znać na niczym, ale Wrocław nie miał przed nim żadnych tajemnic. Doskonale wiedział o „pokoju do ucieczki” w bunkrze na Ładnej.

Rozparty wygodnie na jednym z dwóch stojących w pomieszczeniu krzeseł palił papierosa i z troską przyglądał się Popielskiemu. W jego oczach było znacznie mniej zatroskania, kiedy patrzył na Lewickiego przykutego kajdankami do obrotowego koła, służącego do otwierania betonowych drzwi.

– Daj się przekonać, Edi, żebym poszedł tam z tobą – przemawiał z żarem Mock. – Ten Brzozowski to bożek zbrodni. Może zrobić z tobą wszystko... Nie zgodzi się na wypuszczenie Leokadii i capnie też ciebie...

Bój się Boga, sam wleziesz w łapy policji politycznej! Myślisz, że Brzozowski będzie miał jakieś opory, żeby cię zaaresztować? Wiem, powiesz mi zaraz: no to mu ucieknę do tego bunkra! A co będzie, jeśli ci się nie uda? Jeśli odkryje przejście w kościele? Idę z tobą, a to ścierwo – spojrzał na Lewickiego – poczeka tutaj, aż mu kata przyprowadzimy...

– Nie, Ebi, nie pójdziesz ze mną. – Popielski się zadumał. – Ja znam takich ludzi jak on... Taki sam był ten Hanas, o którym ci opowiadałem w konfesjonale: bezwzględny okrutnik, a gdy rzecz dotyczyła jego córuni, był jak rozgotowane jajko... Tylko ja do niego pójdę, nie będę cię narażał... Ciebie też szuka całe polskie gestapo... To postanowione i nieodwołalne.

Spojrzał na zegarek. Była ósma. Poprawił krawat, zapiął marynarkę, strzepnął z rękawów niewidoczne pyłki, chustką do nosa przetarł zakurzone buty.

– Nie musisz się czyścić – oznajmił ponuro Mock. – Nie idziesz na randkę, Edi.

– Ze śmiercią też trzeba godnie się przywitać – odparł Popielski.

Mock zakręcił kołem i otworzył drzwi. Z czarnego korytarza dobiegło chłodne piwniczne powietrze, które nie niosło jednak ze sobą woni spalenizny ani rozkładu. Eberhard włożył maskę na twarz i podał rękę Popielskiemu.

– Pamiętaj, Plesserstrasse 22, piwnica – powiedział. – Nie jestem w stanie wymówić waszej nazwy. Będą na ciebie czekać wódka i golonka na zimno. Wypijemy za...

– Za co? – Popielski wszedł mu w słowo.

– Za zdrowie Leokadii. – Mock patrzył nań uważnie znad jedwabnej maski.

Popielski uścisnął przyjaciela i ruszył. Po kilku minutach powolnego marszu zimnym betonowym tunelem dotarł do kamiennych schodów

zaopatrzonych z obu stron w żelazną poręcz.

Wszedł na nie. Na ich końcu była mała drewniana klapa.

Otworzył ją, a potem starannie za sobą zamknął. W całkowitej ciemności wspiął się cicho po drewnianej drabince, której szczebelki nie trzeszczały, co dzisiaj już był sprawdził doprowadzony tu przez Mocka.

Znalazł się pod prezbiterium. Przez szpary, które wraz Mockiem byli dziś poszerzyli, widział zrujnowane wnętrze kościoła – połamane ławy, z których Cyganie zbili żłoby dla swych koni, rozbite kamienie – resztki chrzcielnicy i roztrzaskanego pociskami ołtarza. Większą część podłogi, z której powyrywano płyty, pokrywały siano i końskie łajno.

Pułkownik Placyd Brzozowski uważnie je omijał, chodząc po kościółku. Ręce założył na plecy, a głowę z grzywą białych włosów zadzierał wysoko. Na jego wyprasowanym mundurze widoczne były pasma siana.

Popielski wyszedł zza ołtarza. Brzozowski natychmiast go zauważył. Do ust wsadził dwa wielkie paluchy. Gwizdnął głośno. Po sianie i po końskim gównie zaklaskały żołnierskie buciory.

– Jesteś mój – wycedził Brzozowski.

– Mam Lewickiego, Hanas – powiedział wolno Popielski.

XLVI

TWARZ BRZOZOWSKIEGO STĘŻAŁA NA MOMENT, lecz zaraz się rozluźniła. Poprawił mundur na brzuchu, po czym przyklepał włosy.

Popielskiego otaczali żołnierze Ludowego Wojska Polskiego i mierzyli do niego z pepesz.

Brzozowski rozsunął pierścień żołnierzy i podszedł do poszukiwanego przez siebie człowieka. Spojrzał nań obojętnie.

– Sprawdzić wszystkie dziury w tej kruchcie! – krzyknął. – Za minutę mam wiedzieć, którędy się dostał ten skurwysyn! – Wyjął broń i skinął nią na żołnierzy otaczających pojmanego. – Skuć go – wycedził. – A ja sam go popilnuję... – Żołnierze zrobili, co im nakazał, a potem rzucili się do przeczesywania kościoła. – Mylisz mnie z kimś innym. – Brzozowski uśmiechnął się do Popielskiego. – Ale ja lubię różne *qui pro quo*...

– Zmieniłeś się, Hanas, nabrałeś ogłady... *Qui pro quo*... Fiu, fiu, fiu... – Popielski ironicznie zmrużył oczy. – Ale nie fatyguj się i odwołaj swych ludzi... Sam ci mogę pokazać, jak się tu dostałem. Za ołtarzem wejdziemy w podziemia, a potem pójdziemy długim korytarzem, na którego końcu będzie betonowa ściana z betonowymi drzwiami... Można je otworzyć tylko od wewnątrz... A wewnątrz w tej chwili już nie ma nikogo... Chcesz się przekonać, Hanas?

– Mnie tak naprawdę nie to interesuje, łysielcu – Brzozowski wyjął mały grzebyk i rozczesał bujne włosy – jak tu się dostałeś... Mnie interesujesz po prostu ty! Porucznik AK Edward Popielski, pseudo Cyklop, w 1939 walczący przeciwko radzieckim towarzyszom, a potem do 1941 w Jarosławiu. Mała dywersja, mały przemyt broni i materiałów

propagandowych. Od 1941 znów we Lwowie. Jako były policjant szkoli AK-owców, by umieli śledzić, rozpoznawać szpicli, przesłuchiwać i likwidować przeciwników. Od ’42 do ’44 szef plutonu egzekucyjnego i dowódca w akcjach odwetowych przeciwko ukraińskim faszystom... Od ’44 walczysz wspólnie, ramię w ramię, z Ukraińcami przeciwko ludowemu państwu... Jesteś zdrajcą, Cyklop... – Brzozowski zapalił papierosa i wypuścił dym wysoko w ciemne niebo, które rozpinało się nad pozbawionym dachu budynkiem. – Tak długo cię szukałem – westchnął. – I w końcu dopadłem... Jesteś mój... Na zawsze...

– Odesłałeś żołnierzy, by poszukali tajnego przejścia, a sam tu sobie stoisz i ze mną gawędzisz. – Popielski skutymi dłońmi otarł czoło z mżawki, którą rozpylało nocne niebo. – Dlaczego? Czyżbyś się bał świadków, Zyga? No to powiem ci bez świadków. Na przyszłość lepiej dobieraj sobie strażników. Jeden z nich miał słabość do pewnej dziewczyny i zapraszał ją do twojego domu, kiedy ty wyjeżdżałeś na szaber. A dziewczyna była bardzo spostrzegawcza i natychmiast ujrzała obrzyn wiszący nad twoim biurkiem! Powiedziała mi o tym...

Kilku żołnierzy zbliżyło się do Brzozowskiego.

– Towarzyszu pułkowniku! – zakrzyknął jeden z nich. – Melduję, że znaleźliśmy przejście pod ołtarzem. Wchodzić tam?

– Wchodzić! – warknął Brzozowski.

– Leokadia za Lewickiego, Hanas, oto wszystko, co miałem ci do powiedzenia! Dzisiaj o północy moja kuzynka wyjdzie z więzienia, a na Kleczkowskiej będzie na nią czekał młody Niemiec w rikszy. I ona z nim oddali się w nieznanym kierunku. Nikt jej nie będzie śledził... A od jutra i ja, i moja kuzynka chcemy się czuć bezpieczni w tym mieście... Godzinę później, po tym jak zwrócisz mi Leokadię, zza tego ołtarza – wskazał głową na strzaskany stół Boży – wypełznie doktór Gustaw Lewicki we własnej

osobie, gwałciciel twojej córki Elżuni. Jest twój... – Wyciągnął do Brzozowskiego skute ręce. – Może byś tak mnie w końcu rozkuł, co, Hanas?

– Wiedziałem, że jesteś we Wrocławiu, Łyssy – wysyczał Hanas. – I postanowiłem zrobić z ciebie gwałciciela... Mojemu najlepszemu człowiekowi własną córkę kazałem porwać, a dla całkowitego utajnienia trzymałem ją jedną noc w piwnicy, gdzie ona płakała i było jej smutno, a on jej pilnował, ten cham i gbur... A Arturek jest łysy jak ty... Naraziłem na strach moją jedyną córkę! To musiało wyglądać jak autentyczne porwanie... Dopiero następnego dnia wysłałem do niej moją starą... A wszystko po to, byś nie domyślił się podstępu! Cały Wrocław cię szukał, najgorsza gadzina węszyła za tobą... Ale nikt mi ciebie nie przyprowadził... W zamian pchali mi w łapy różne łachudry... a w końcu ty sam do mnie przyszedłeś i przyprowadziłeś mi człowieka, którego ścigałem całe życie... Który zhańbił mi córkę i oszukał mnie, króla Podola! Mam być teraz pułkownikiem Urzędu Bezpieczeństwa czy ojcem, który ma pomścić pamięć nieżyjącej córki i gadu oczy wydrzeć?

– Możesz nie być ani jednym, ani drugim – oznajmił Popielski. – Bo mogę cię oszukać. Ale ja cię nie oszukam, Hanas!

– A skąd ja o tym niby wiem? – Hanas bryzgnął śliną.

– Bo ja nie robię agrandy! – odpowiedział Popielski. – I pamiętaj, od jutra jestem bezpieczny w tym mieście.

Zapadło długie milczenie.

– Będziesz bezpieczny – obiecał cicho Hanas. – Jutro się ukaże ogłoszenie, że moja córunia Lusia cała i zdrowa, a porywacz złapany. Będziesz bezpieczny w tym mieście, dopóki ja w nim będę.

– A co z gadem? – zapytał Popielski.

– Gadu oczy wyłupię łyżeczką – odparł Hanas. – Bardzo powoli i starannie wykonam ten wyrok. Ale najpierw z daleka pokażę mu Lusię... Niech się dobrze napatrzy na swoje dziecko...

LXVII

PIWNICA DOMU NA ULICY PSZCZYŃSKIEJ 22 pierwotnie była spiżarnią, w której przed wielu laty stryj Eberharda Mocka przechowywał wyroby swej sztuki masarskiej.

Teraz siedzieli w niej dwaj przyjaciele i wdychali tytoniowe aromaty. Ubrani byli odświętnie. Mock miał na sobie granatowy dwurzędowy garnitur, białą koszulę i krawat w czerwone i żółte pasy, Popielski zaś – świetnie skrojony czarny garnitur, czarną koszulę i koloratkę. Gorąca herbata, którą pili, i z jednego, i z drugiego wyciskała krople potu, toteż gospodarz poluzował krawat, a gość rozpiął koloratkę – sterczała mu teraz z obu stron szyi jak rogi niemodnego ceratowego, przypinanego kołnierzyka.

– Nie chcę cię krytykować, stary byku – Popielski nabił na widelec grubo ukrojony kawał golonki na zimno – ale kolory twojego krawata, czerwony i żółty, nie najlepiej harmonizują z bielą koszuli i granatem marynarki.

Mock nie odpowiedział na tę garderobianą krytykę, lecz sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Wydobył z niej krawat w pasy czerwone i niebieskie.

– A oto prezent dla ciebie. – Podał mu pas delikatnego jedwabiu. – Kupiłem kilka dni temu na szaberplacu... Również nie pasuje do czerni twojej koszuli... Mimo to załóż go, Edi!

Popielski zrzucił koloratkę i pod kołnierzykiem zawiązał zgrabną pętlę.

– Pamiętasz, bracie, grecki mit o rzece zapomnienia? – zapytał Mock.

– Coś ty, Ebi, jesteś dzisiaj jakiś roztargniony – mruknął Polak. – Najpierw dajesz mi krawat, potem odpytujesz z mitologii... Co ma jedno z drugim wspólnego?

– Ma bardzo wiele wspólnego – powiedział poważnie Niemiec. – Ludzie wypijali wodę z Lete, jednej z rzek Hadesu. Zapominali wtedy całego swojego minionego żywota – po to, aby wcielić się w nowe ciała. Moje dotychczasowe życie to były te dwie barwy – uderzył się dłonią w pierś – które mam na krawacie. Żółć i czerwień, barwy Wrocławia...

– A to są moje barwy – Popielski spojrzał na swój krawat. – Barwy Lwowa...

– Zostawiamy już na zawsze nasze miasta. – W oczach Mocka zalśniły łzy. – Nigdy już do nich nie wrócimy. Ty już wyjechałeś na zawsze, a ja wyjeżdżam jutro... – Mock wstał i sięgnął na jedną z półek. Chwilę grzebał wśród słoików, a potem wyciągnął spośród nich kwadratową butelkę wódki Baczewskiego.

– Kupiłem ją we Lwowie osiem lat temu po sprawie Minotaura – wyjaśnił. – Czekałem z nią na ciebie...

– To nasza woda z Lete – szepnął Popielski.

Mock napełnił wódką szklanki. Powoli wypili całą ich zawartość. Potem nabili na widelce kawały golonki i grube krążki cebuli.

U góry usłyszeli jakieś dwa głosy. Oba mówiły po niemiecku. Męski płynął swobodnie, kobiecy zacinał się i trącił wyraźnie polskim akcentem. Popielskiemu rozszerzyły się oczy.

– No idź – Mock się uśmiechnął. – I powitaj swoją kuzynkę Leokadię!

Epilog

Wrocław 1946

DESZCZ WALIŁ CIĘŻKIMI KROPLAMI po nadodrzańskim bulwarze.

Człowiek z papierosem w ustach zbliżył się do swojego trupiego wózka i odsłonił prześcieradło. Cygan Kało Ciureja przyglądał się zwłokom przez dłuższą chwilę.

– Wiem, co mówiła ta Cyganka – rzekł w zamyśleniu. – Że w tym człowieku siedzą złe duchy. I że wzięły one we władanie jego ciało. Dlatego nikt nie chciał podejść i go zidentyfikować. Ze strachu przed duchami.

Deszcz zalewał twarz trupa, nad którym Ciureja się pochylał. Woda rozpuszczała zaschniętą krew i wlewała się wraz z nią do dziur, jakie pozostały po wyrwaniu oczu i odcięciu nozdrzy i uszu.

– Co wy tu chrzanicie, towarzyszu! – krzyknął młody ubek. – Jakie złe duchy! Co to, w średniowieczu żyjemy?!

– Wierzenia mojego ludu mówią – powiedział poważnie Ciureja – że duchy dostają się do ciała trupa przez otwory w nosie i przez uszy. Dlatego natychmiast po śmierci zalewamy woskiem te otwory. Tutaj nosa i oczu nie ma w ogóle... Te dziury są jeszcze większe. Stara Cyganka była pewna, że zdążyło tam wiele demonów nawłazić... – Ciureja odwrócił się do ubeka. – I co ważniejsze – rzekł powoli – stara mogła się nie mylić.

Powieść ukończyłem 27 grudnia 2011 roku o godzinie 16:27.

Podziękowania

AUTOR POWIEŚCI KRYMINALNEJ, tworząc plan intrygi, musi odpowiedzieć sobie na najważniejsze pytanie: jaki był motyw sprawcy? Odpowiedź na to pytanie jest właściwym pomysłem na powieść, jej dominantą, podstawą i najpierwotniejszą warstwą. Z tego pomysłu dopiero wynika psychologia sprawcy i zawiązanie akcji. Wypracować pomysł (nie piszę „wpaść na pomysł”, ponieważ trąci to przypadkiem, iluminacją, weną twórczą, natchnieniem, słowem wszystkim, co w moim wypadku nie występuje) to wielki pisarski trud. Kiedy jest się autorem dziesięciu powieści i nie chce się powielać dawnych rozwiązań, trud ten niekiedy zamienia się w mękę.

W *Rzekach Hadesu* motywacja zboczeńca alergika wynika z jego nieudanej inicjacji seksualnej. Tego pomysłu nie wypracowałem, poddał mi go dr Jerzy Kawecki. Gorąco Mu dziękuję w tym miejscu za to, że uwolnił mnie od literackiego znoju.

Akcja *Rzek Hadesu* toczy się w dużej mierze we Wrocławiu A.D. 1946. W odtwarzaniu realiów zrujnowanego i zaludnianego przez Polaków miasta okazali mi nieocenioną pomoc dwaj wrocławscy pionierzy:

– kpt. poż. Ignacy Rożek i p. Bronisław Wetulani.

Swoją wiedzą i życzliwością służyli mi też eksperci:

– z zakresu historii i topografii powojennego Wrocławia – dyrektor Muzeum Politechniki Wrocławskiej Marek Burak,

– z zakresu historii drugiej wojny światowej – dr Tomasz Głowiński z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego,

– z zakresu medycyny i medycyny sądowej – wspomniany powyżej dr Jerzy Kawecki z Katedry Medycyny Sądowej Akademii Medycznej im. Piastów Śląskich we Wrocławiu,

– z zakresu historii działalności Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu – dr Paweł Piotrowski z Biura Edukacji Publicznej Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu,

– z zakresu chemii produktów naturalnych – dr Antoni Szumny z Katedry Chemii Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

Nie mogę tu nie wspomnieć (*omissis titulis*) o Zbigniewie Kowerczyku i o Przemysławie Szczurku, z którymi w marcu 2011 konsultowałem plan powieści. Dzięki ich wnikliwym i licznym uwagom udało mi się uniknąć wielu narracyjnych uchybień.

Wszystkim wyżej wymienionym konsultantom i ekspertom bardzo dziękuję. Oświadczam, że za ewentualne błędy, które popełniłem, wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność.

Marek Krajewski

Słowniczek wyrazów i zwrotów dialektycznych i obcojęzycznych

à la vache – (fr.) jak krowę, od tyłu

a limine – (łac.) od razu

antrum amoris – (łac.) grota miłości

aufs Klo gehen – (niem.) iść do klopa

bałakać – (dial.) mówić

beserer bagriff – (jid.) lepszy pomysł

bezdurno – (dial.) niezasłużenie, niesprawiedliwie

bratrura – (dial.) piekarnik

chawira – (dial.) dom

creatio ex nihilo – (łac.) stworzenie (świata) z niczego

curik – (jid.) z powrotem

chytrak – (dial.) policyjny agent

ćmaga – (dial.) wódka

de gustibus non est disputandum – (łac.) o gustach nie należy dyskutować

dixisti – (łac.) rzekłeś

dziunia – (dial.) dziewczyna, prostytutka

ego te absolvo – (łac.) ja ci odpuszczam grzechy

eo ipso – (łac.) tym samym

expressis verbis – (łac.) wyraźnie, bez ogródek

fest – (dial.) mocno

geboren 1897 und gewohnt in Lemberg – (niem.) urodzony w 1897 roku i zamieszkały we Lwowie

git – (jid.) dobrze

grand mal – (fr.) napad epilepsji

hecny – (dial.) zabawny

in saecula saeculorum – (łac.) na wieki wieków

in spe – (łac.) w przyszłości

im Glasschrank im Direktorzimmer – (niem.) w oszklonej szafie w gabinecie dyrektora

Janua Hebraeae Linguae Veteris Testamenti – wrota do języka hebrajskiego Starego Testamentu

kulos – (dial.) noga

laudetur Iesus Christus – (łac.) niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

Lemberg – (niem.) Lwów

Lembrik – (dial.) Lwów

mantel – (dial.) płaszcz

mazak – (dial.) gęba

meches – (dial.) przechrzta

meszty – (dial.) półbuty

meszugene – (dial.) wariat

nakirany – (dial.) pijany

nomina sunt odiosa – (łac.) nazwisk nie należy wymieniać

Nuptiae Philologiae et Mercurii – (łac.) zaślubiny Filologii i Merkurego

oder – (jid.) nieprawdaż?

plery – (dial.) plecy

pokatulać się – (dial.) pójść

poruta – (dial.) wstyd

resumé – (fr.) streszczenie

silentium est suprema lex – (łac.) milczenie jest najważniejszą zasadą

sine qua non (conditio) – (łac.) warunek niezbędny

sumyr – (dial.) chleb

szneka z glancem – (dial.) bułka z lukrem, uformowana w kształ spirali

szum wort – (jid.) ani słowa

tłumok – (dial.) służąca

Überempfindlichkeit gegen den Duft der Blumen, besonders gegen Salicylsäuremethylester und Nitrofenylethan – (niem.) nadwrażliwość na zapach kwiatów, szczególnie na salicylan metylu i na nitrofenyloetan

Ventus epilepticus – (łac.) wiatr epileptyczny

Volksschule – (niem.) szkoła ludowa

Słowniczek nazw wrocławskich ulic

Kreuzstrasse – dzis. Świętokrzyska

Piastenstrasse – dzis. Piastowska

Plesserstrasse – dzis. Pszczyńska

Stalina – dzis. Jedności Narodowej

Św. Wojciecha – dzis. Wyszyńskiego

Zbożowa – dzis. Pereca

Projekt okładki
Katarzyna Borkowska
kb-design@o2.pl

Fotografia na okładce
© Wolf/Corbis/FotoChannels
© Fabrice Alexandre – Fotolia.com

Opieka redakcyjna
Karolina Macios

Adiustacja
Urszula Horecka

Korekta
Małgorzata Biernacka
Kamila Zimnicka-Warchoł

Copyright © by Marek Krajewski

ISBN 978-83-240-2263-2

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie I, Kraków 2012

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com